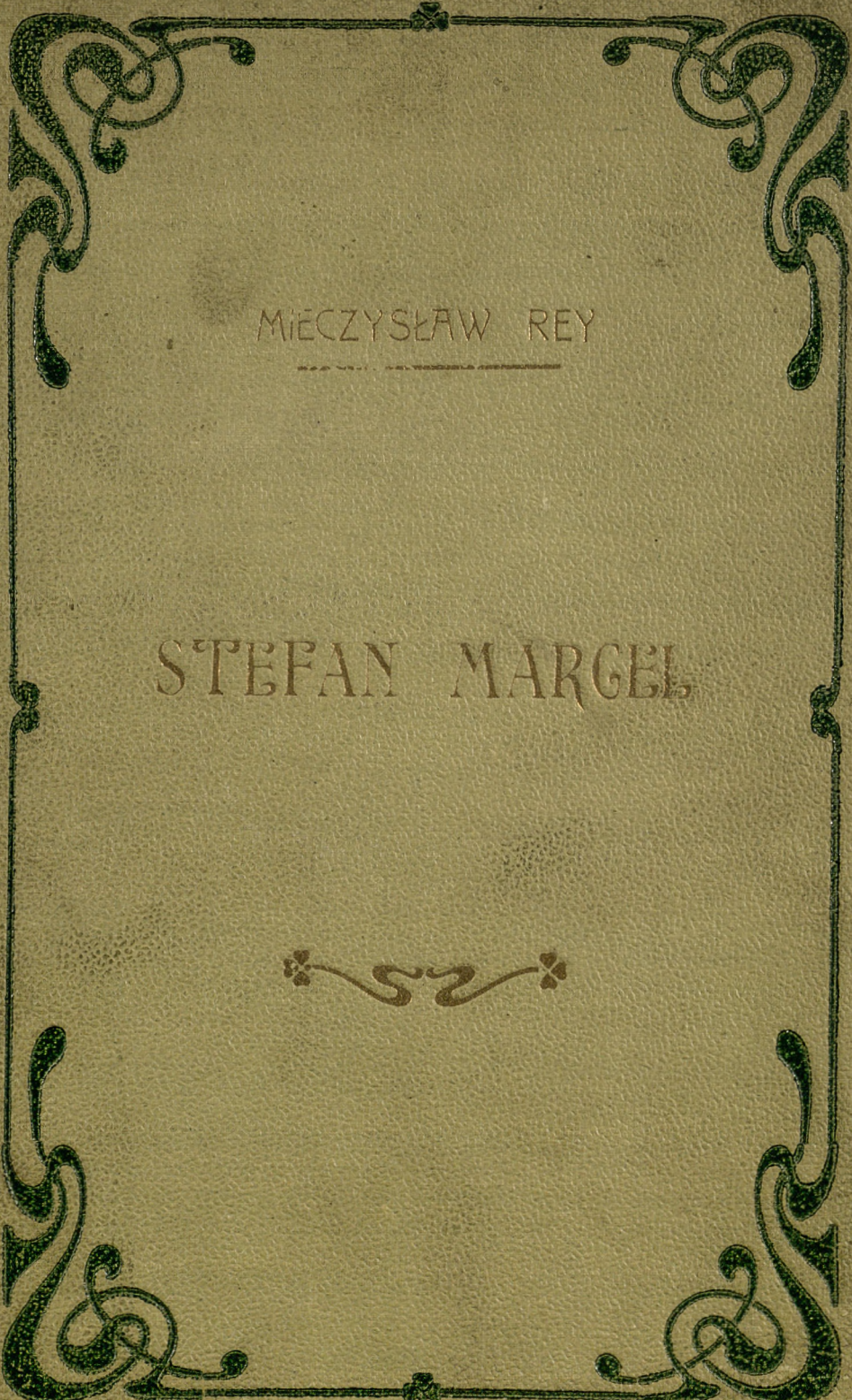




MIĘCZYŚŁAW REY

STEFAN MARGEL





J. TILLINGER

introligator

SWÓW. ul. Karola Ludwika 5.

3962/76



MIECZYŚŁAW REY.



STEFAN MARCEL



WE LWOWIE.

NAKŁADEM AUTORA

I. Związkowa drukarnia we Lwowie, ulica Lindego 1. 4.

1906.

1.50

LP I 3c

477674

11

K-76/3962

6.4. 301-

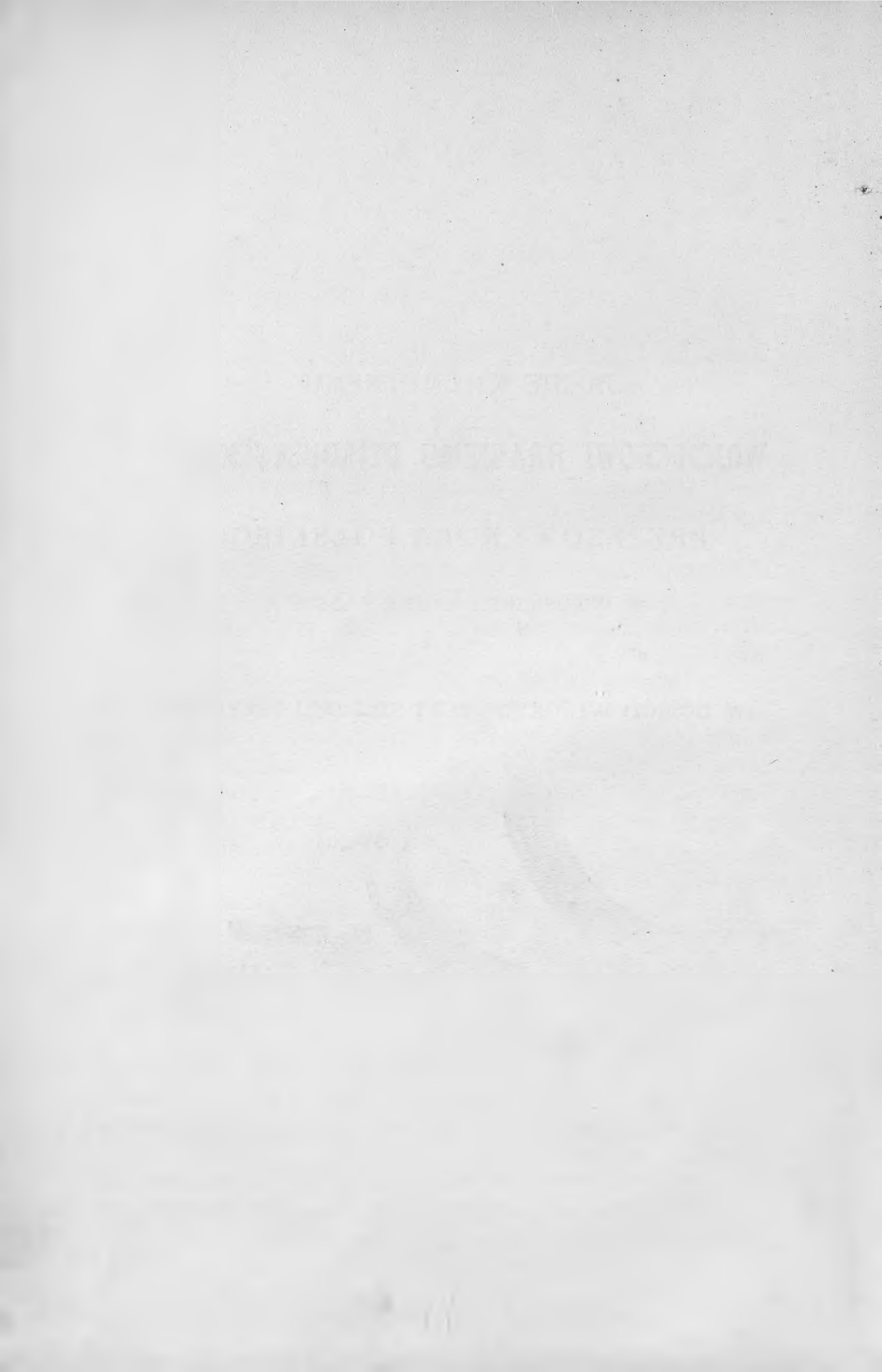


JAŚNIE WIELMOŻNEMU
WOJCIECHOWI HRABIEMU DZIEDUSZYCKIEMU
PREZESOWI KOŁA POLSKIEGO
W WIEDENSKIEJ RADZIE PAŃSTWA

W DOWÓD WYSOKIEJ CZCI I SZCZEREJ PRZYJAŹNI

POŚWIĘCA

AUTOR.



KOCHANY WOJCIECHU!

Zdziwisz się, że człowiek, który do 68-go roku życia swego nie popełnił ani wiersza w dziedzinie beletrystyki, zaczął teraz pisać i jeszcze ośmiela się poświęcić Ci jedną z prac swoich.

Brak zdrowia zmusił mnie do wycofania się z czynnego życia politycznego i do odpoczynku. Ale że myśl odpoczywać nie może i coś płodzić musi, więc dla dania jej odpływu, wziąłem się na starość do pracy zupełnie mi obcej — literackiej.

Bawiąc w Gmunden, dla zaleconego mi spoczynku, przypomniałem sobie nasze dawniejsze, nie kończące się nigdy rozmowy o historii, polityce, filozofii, szkolnictwie, ekonomii społecznej i o wszystkim; zaczęły mi się one krystalizować około paryskiej rewolucyi z roku 1358-go, około jej twórcy, i tak powstał »Stefan Marcel«, którego ośmielałem się Tobie poświęcić w dowód niezapomnianych, tak miłych chwil przebytych z Tobą.

Jeżeli w dziedzinie materyi nic nie ginie, ale przeobraża się ciągle, rozpoczynając byt nowy w zmienionej formie, to taksamo dzieje się i w dziedzinie ducha. — W niej myśl jedna zapładnia drugą, a jeśli ona wcieliła się w czyn, bodaj w próbę tylko, poruszającą ludzkość z bierności i wiodła je na nowe tory, to już ta myśl, choćby pogrzebaną się zdała, wcześniej czy później odrodzić się musi, dając życie nowemu ruchowi ducha i czynów ludzkich.

Myśl, czucia i czyny przeszłe muszą oddziaływać na obecne i przyszłe.

Łańcuchowość idei jest prawem, tylko wcielenie się jej bywa różne, odpowiednio do stopnia rozwoju ogólnego i okoliczności mniej lub więcej sprzyjających.

W wieku XIV. społeczeństwo francuskie nie mogło w żaden sposób przystosować się do wielkiej myśli Marcela, więc ona i on upaść musieli jako przedwcześnie porożony płód.

Lecz gdyby był Marcel nie wywołał żakeryi, z którą połączyła się i czerń paryska, tylko ginąc pozostawił czyn swój wolnym od zmazy krwi i gwałtów, kto wie, czy i wielka rewolucya francuska, równie jak i Marcela wzniosła w założeniu, czy i ona byłaby wylała tyle krwi niewinnej, że stawszy się aż ohydna, wywołała konieczność Napoleońskiej dyktatury. Znowu zaś z braku tego złego przykładu może i dalsze wysiłki ludzkości o polepszenie politycznego i społecznego bytu, nie zakażałyby się krwią, nienawiścią klasową, gwałtem i całym aparatem anarchistycznym, kończącym się zwykle na jakiejś tyranidzie.

Czy najstarsza tradycya ludzka: »Abla i Kaina« ma być wiecznotrwałą? Czy ona jest i nigdy nie przestanie być identyczną z życiem? że 19-cie wieków chrześcijaństwa nie starło dotąd jej śladu i wpływu!

Tego ja nie wiem! ale czuję, że walka dobrego ze złem jest może i wiecznotrwałą.

Gmunden, 31. grudnia 1905.

Mieczysław Rey.

PROLOG.

Zło jest złem samo przez się i do złego wiedzie, zarówno czy ono pochodzi z istniejącego stanu rzeczy, czy ze sposobu dobijania się o nowy, choć lepszy!

Noc letnia. Powietrze parne i duszne, jak przed burzą. Po niebie przewalają się czarne chmury, to zasłaniają, to odsłaniają kawał błękitu, na którym mruga gwiazd kilka. Sierp księżycy bladym światłem oblewa ruinę rzymskiej baszty na wzgórzu, wywołując z ogólnej pomroki jej czarne spękane głązy, pół-łukowe otwory okien i zieleń w szczelinach ruin rosnącą. Przelotny snop blasku kładzie się srebrem na zakręcie Sekwany, lub mknie po wieżach odległego, uspionego Paryża. Na lewo pas nieba goreje łuną pożarną, potężniejącą ciągle, rzucającą to słabiej to silniej krwawe i żółto czerwone światła na ciemne tło chmur.

Od strony prawej lecą trzy piekielne JĘDZE z rozczochranym włosem, z rozżarzonymi oczyma.

PIERWSZA JĘDZA.

Lećmy, spieszymy rozdmuchać pożar, aby pochłonął wszelki dobytek ludzki! Niechaj niewiasta pozbawioną będzie dachu, starzec łoża, niemowlę kołyski!

DRUGA JĘDZA.

Lećmy, spieszymy rzucić zatwardziałość w serca grabieżców, aby nieoszczędzali mężów, niewiast, starców, dzieci; aby grabili wszystko, gasili wszelki żywot! Niechaj krew czerwieni ziemię, a łzy bólu i niedoli niechaj splukają tę czerwień!

TRZECIA JĘDZA.

Lećmy! spieszmy, aby w pokrzywdzonych budzić nienawiść do krzywdzicieli; aby ostatniem ich uczuciem było pragnienie zemsty, ostatniem słowem przekleństwo!

WSZYSTKIE.

Lećmy, spieszmy siać piekielny posiew zniszczenia bezwzględności, nienawiści, zemsty! (*Przelatują w stronę pożarnej łuny*).

GŁOSY wydobywające się z pod ziemi.

Biada, biada dzieciom tej ziemi!

Brutalna przemoc z pychą na czole, z okrucieństwem i chciwością w sercu zapanowała na planecie i ginie ród ludzki!

Ci, co zakuci w żelazo mieczem mieli bronić uciśnionych, wnet uciekać będą z pola bitew, miecz niewyszczerbiony chować do pochew i ucztować na ruinach miast i siół. Wraz z obcym najezdcą i jego rozbójniczymi bandami wyciskać będą ostatni grosz ludu i tak już umierającego z nędzy i głodu, żyjącego po jaskiniach jak dzikie zwierzęta.

Niktże nie stanie w obronie ginących?

Nikogoż nie powołasz, Panie, aby mieczem Archaniola ochronił ludzkość od zagłady?

Nigdyżę już nie wstanie „Królestwo Boże na ziemi“ i Twojej miłości prawo, o Chryste!?

(Na chmurze z promieni księżycy kształtuje się olbrzymia postać VERCINGETORIXA, o smutnem i zboliałem obliczu, w pełnej galickiej zbroi i skrzydlatym hełmie).

DUCH VERCINGETORIXA.

Gdzieście się podzieli bracia Gallowie; długowłose, wąsate olbrzymy, przed których naporem drżała Hellada, a hetejskie ludy składały wam dań ofiarną?

Gdzie wy pogromce i pożarnicy Romy, wspinający się na skały Kapitolu?

Gdzie wy? Czyż i pamięć po was zginęła już na tej ziemi noszącej dzisiaj inne miano?

Niegdyś uzbroidłem ramiona wasze żelazem, a serca męstwem. Mężów ze stu dolin powiodłem w bój z najazdem Romy

światowładnej, z ludem o sercu kamiennem, woli spiżowej, o ramieniu ze stali, wiedzionym przez rzymskie Fatum i—Cezara.

Krew ich i naszą laliśmy na stu polach bitew. Marliśmy nie drżąc i nie mrużąc oczu — aż pękł miecz mój. Fatum — i Cezar zwyciężyli!

A matkę naszą, świętą Gallię, zakuto w łańcuchy niewoli, wypalając na jej czole piętno hańby: „Niewolnica“.

W Mamertyńskich podziemiach lat kilkanaście czekałem na topor tryumfatora Cezara, zbierając w mem sercu wszystkie bole wasze i miłość Gallii za miliony jej synów.

Obronić nie podołałem Cię Gallio, ni ja, ni skon tysięcy najdzielniejszych synów obrońców Twoich — ni całopalenia ofiarne, ni modły kapłanki Henny składającej młodą krew serca swego na ołtarzu ofiarnym.

Wy bogowie przyjęliście ofiary krwi i ognia — i wy obojętnem okiem patrzyliście na zagładę wolnych bretońskich Gallow pod Vanne, a nie powstrzymaliście ostatecznego ciosu śmierci zadanej narodowi przed murami Alezyi, rodzinnego mojego grodu.

Tyle wieków duch mój targa się w męce, patrząc jak niewola ludu mego przeżera w nim skarby duszy i serca, jak z ludzi wolnych, dumnych swą wolnością, czyni bezmyślną zbydlęconą horde, więcej do zwierząt, niż do ludzi podobną, jeno łzy łać umiejacą, jeno cierpieć w upodleniu!

Ty Boże dzisiaj panujący, Ty Boże chrześcian, dozwól mi raz jeszcze walczyć za lud mój, choćbym miał i ledz w tej walce, byłem nie patrzył beczynn timer na jego upodlenie!

DUCHY ZIEMI.

Biada! Biada!

Cierpienia Gallii nie mają końca! Po czterech wiekach osłabło gniotące ramię Romy. — Rzymianie i Galle, uciskani przez wspólnego wroga, poczułi wspólność swą w obronie, odbili najazdy barbarzyńców i zaczęli czuć się dziećmi jednej ziemi, jednego dobrego Boga. — Znikął powoli ucisk jednych, a niewola drugich — i podniósł głowę naród Galloromanów. Pod Wiktoryi dżademem, pod osłoną mieczów jej syna i wnuka zaczęłaś odżywać, Gallio! Niema Wiktoryi, Wiktora i Wiktoryna.

Czarna noc nad nami, a w tej nocy słyhać jeno zgrzyt zębów, łkanie piersi i pękanie serc milionów. Biada! Biada!

Czyż się nie skończy męka trzynastu wieków?

Czyż nie wszędzie słońce wolności i miłości, nie rozjaśnia piekła naszego!

O Chryste! Chryste zmiłuj się nad nami!

(Po promieniu księżycowem spływa ku dołowi anioł i zatrzymuje się ponad duchem VERCINGETORIXA).

ANIOŁ.

Uciszcie się duchy boleści pełne i biadania! „Królestwo Jego nie jest z tej ziemi“.

On nadał ludziom prawo miłości bliźniego, ale ludzkość sama musi wywalczyć sobie panowanie tego prawa na ziemi, przez pracę, bole wieków, udoskonalanie się ciągle, zwyciężanie samolubstwa!

On tylko błogosławi tej pracy.

Przez cierpienie uszlachetnia się człowiek; przez własne uczy się odczuwać bole innych, byle nienawiść nie kałała jej dobroczynnego wpływu.

Z miłości rodzi się sprawiedliwość, ze sprawiedliwości spokój, bezpieczeństwo i szczęście, tak pojedynczych ludzi, jako i całych narodów.

Wy nie wzywajcie powstania jednego obrońcy z mieczem Archanioła, bo miecz broniący jednych, niesie śmierć innym, gdyż Bóg nie żąda śmierci grzesznika, ale pokuty, poprawy i miłości ogólnej.

Cierpienia z poddaniem i pokorą znoszone, mogą odkupić winy Wasze, ale tylko cierpienia w imię wielkiej i czystej miłości stanowią zasługę i odkupują ludzkość.

Wyście musieli cierpieć, aleście nie przebaczyli i nie kochali!

CHÓR DUCHÓW ZIEMI.

Biada nam, biada!

Cierpieliśmy jak wół wprzęgnięty w jarzmo, smagany biczem! Niedorośliśmy do miłości, wszędzie zwierz ciała panuje nad duchem bożym!

DUCH VERCINGETORIXA.

Kochałem cały naród wolnych Gallów, walczyłem za miliony mych braci daremnie!

ANIOŁ.

Za to żeś kochał bodaj tylko Gallów wolnych ludzi twego narodu, dano Ci będzie wcielić się raz wtóry i walczyć w obronie ludu raz wtóry. Ale jeśli zapomnisz, że:

Miłość tylko jest płodną, a gwałt i rozbudzanie nienawiści i zemsty nieplodzą życia, legniesz raz wtóry z rozpaczą w sercu!

DUCH VERCINGETORIXA (*schyla głowę i znika*).

Dzięki Ci, Panie!

ANIOŁ (*znikając*).

Pokój wam cierpiące dusze! Proścież Boga o nastanie królestwa miłości w sercach ludzi, bo bez niej nie nastanie królestwo Jego na ziemi jako jest w niebie!

(ANIOŁ powoli niknie. Nastaje cisza, księżyc zachodzi za chmury jeno oddalona łuna pożaru oświeca czerwono południowy skrawek nieba).

CZEŚĆ I.

(Pustelnia Zacharyasza. Wnętrze starej rzymskiej baszty z wyburzoną częścią od frontu, otwór zasłonięty płachtą, gołe szare mury, dwa otwory okien w górze oświecają wnętrze. W drugim końcu stoją dwa tapczany, pokryte derkami, a na boku wygasłe ognisko, założone na ziemi, ponad niem otwór w sklepieniu dla przepuszczenia dymu).

Zacharyasz siedzi na zydlu przy prostej desce, opartej na dwóch pniakach. Na niej księgi i manuskrypta, nad stołem na ścianie przymocowany duży krzyż z Chrystusem rozpiętym. Zacharyasz w pustelnicznym habicie, starzec z siwą długą brodą, na pół łysy z resztą długich włosów, spadających na plecy. Po czytaniu zamyka książkę.

ZACHARYASZ (*zamyśla się*).

Więc z jednej pary pochodzą te ludy wszystkie — te miliony człowiecze. Z jednej pary ojców króle, kapłani, rycerze i cały lud niewolniczy. Więc wszyscy jesteśmy braćmi! Tak pisze biblia. Tak stwierdza i ta (*pokazuje na inną księgę*) Ewangelia święta! Sam Chrystus każe ludziom uważać się za braci — a gdzież to braterstwo?

Żyję już wiek cały. Szukałem światła prawdy po wszystkich ziemiach, między pogany i chrześcijanie. Geneza wszędzie jedna i ta sama, i jedna była we wszystkich religiach, jedna od stworzenia świata. Wszędzie jedni rodzice całej ludzkości, ale wszędzie mocniejszy stawał się panem srogim dla słabszego i zwyciężonego, ukradł mu braterskie prawo, a łańcuchem przykuł go do służby swojej. (*Patrząc na krucyfiks*).

Dlaczegoż Ty, Chryste, dopuszczasz panowania przemocy braci nad bracią? Czyż krew Twoja najświętsza na krzyżu przelana była daremną? nie zapłodniła w ludziach miłości, ale dała jeno nowe prawo mocniejszym uciskania słabych.

Gdzie jesteś Ty, Synu Boży? Gdzie Twoi święci? czemu nie dźwigniesz słabych i pokornych, a piorunem mocy Twojej nie zmiażdżysz dumy zaborców urągających prawu Twojemu, krwi i ofierze Twojej, celowi Twego przyjścia na świat?

Gdzie jesteś Synu Boży? i kiedyż przyjdzie godzina Twego panowania na ziemi?

(Wchodzi EWON młody 18 letni chłopiec, chowający się u pustelnika, niosąc koszyczek zwieńczonych fiołków).

EWON (*mówi ze smutkiem*).

Patrz Ojczy, co się stało z Twemi ukochanymi pączkami fiołków. Posadziłeś je w południowym zakątku tej ruiny, słońce na nie grzało tak silnie, że przed czasem zaczęły żyć, gdy wszystkie jeszcze rośliny spały snem zimy. Te kwiatuszki ożyły pierwsze i już kwiatowe pączki wczoraj puściły. Cieszyłeś się Ojczy na ich kwiaty i woń cudowną, a dzisiaj w nocy przyszedł mróz i zwarzył na śmierć Twoją nadzieję. Patrz dobry Ojczy, jakie one umarłe (*podaje mu koszyk*).

ZACHARYASZ (*biorąc koszyk i patrząc nań*).

Prawda — ach prawda — wszystkim odebrał życie mróz — wszystkie pomarły i nadzieja moja przedwczesnego cieszenia się ich barwą i wonią — pomarła z nimi! Biedne kwiatuszki!

Zostaw mi je, Evonie, zasuszę je chociaż na pamiątkę mojego niecierpliwego pragnienia, aby przyspieszyć prawa przyrody.

W tym słonecznym kąciuku nasłałem pod roślinki czarnej tłustej ziemi na kamiennym podkładzie, aby promienie słońca przechodząc przez ziemi cienką warstwę, ogrzewały kamyki i dawały korzeniom ciepło. Rosły, rosły szybko, a teraz mróz je zwarzył. Szkoda!

Idź dzieciątko i zamknij naszą kozę żywicielkę, aby i jej mróz nie zaszkodził.

EWON.

Idę, Ojczy i wezmę ją z pastwiska, bo też tam niema ona jeszcze nic do skubania, a zimno jest — idę (*odchodzi*).

ZACHARYASZ (*sam — po chwili*).

Chciałem zmusić prawo przyrody — i otrzymać kwiaty przed czasem, przez nią naznaczonym; spotkał mnie bolesny zawód. Tak człowiek musi z cierpliwością umieć czekać, aż Bóg i przyroda da mu to i wtedy, gdy tego chcą, a nie gdy człowiek tego pragnie.

Ha! Więc zapewne i tak samo musi być, o Chryste, z Twoim posiewem miłości pomiędzy ludźmi i ich równego do szczęścia i wolności prawa, ten Twój, o Panie, posiew musi mieć swój czas kiełkowania, wzrostu, okwiatu i owoców. Nam śmiertelnym wydaje się on za długim, bo pragniemy, bo cierpimy, bo nasze życie jest krótkie, a Ty w niezbadanych wyrokach Twoich każesz nam czekać i cierpieć. Ty wieczny! Ty niemierny, inną posiadasz miarę czasu od nas. Dla Ciebie wieki są dniami, trwanie pokoleń ludzkich chwilami. Ale słowo Twe jest nieomylnem. Królestwo Twoje przyjsć kiedyś musi na ziemię, jako jest w niebie.

Wybacz mi, Panie, że grzeszyłem niecierpliwością wobec prawa przyrody, a tem bardziej wobec Twoich Boże wyroków.

Wybacz, że tę moją niecierpliwość wszczepiłem w duszę młodą a wielką Marcela. Poznałem mądrość wieków i Twoje objawiane prawa.

Patrzyłem też Panie na tyle niedoli, na tyle gromadnego ludzkiego cierpienia przeciwnego Twemu prawu, Chryste, i ono wżarło się w me serce goryczą bezmierną, aż umysł mój zachwiał się w równowadze i miarze.

W pysze mojej nie tylko ludzkość, ale i Ciebie przedwieczny chciałem sądzić i przeciw Twej mądrości a cierpliwości wyrzekać.

A oto los tych małych kwiatuszków nauczył mnie, że wszystko na ziemi ma swój czas przez Twe wyroki oznaczony w losach przyrody, a niezawodnie i w dziejach synów Adama.

Mogąż te ludy tak łatwo i rychło przyswoić sobie Twą boską naukę sprzeczną ich zwierzęcej naturze? Trzeba wielu pokoleń, aby człowiek opanował swój egoizm i w stosunku do bliźniego stał się chrześcijaninem. Trzeba dwa razy tyle czasu, aby naród silniejszy uszanował prawo Twoje Chryste w słabszym i jego przemocy poddanym. Więc jeszcze wieki minąć

muszą, zanim prawo boże stanie się prawem człowieka i prawem całej ludzkości.

Miłości bliźniego! Wszak to przeciwieństwo przyrodzonej każdemu stworzeniu miłości siebie samego,—a ja chciałem, aby taka przemiana stała się rychło!

Ty dopiero Chryste nakazałeś ludziom pozbyć się ich zwierzęcej natury i kochać bliźnich jako siebie samych. Tyś ich zrównał przed Bogiem! Czyż oni mogą tę równość tak rychło przenieść aż na ziemię wobec siebie samych?—Wieków—wieków potrzeba, aby duch zapanował nad zwierzęcem ciałem!

Ty, Panie, nie chcesz dokonać tej zmiany przez cud, ale przez pracę wieków. Ty dałeś całej przyrodzie jedno prawo, i ona niezmiennie się nim rządzi. Człowiekowi zaś dałeś zwierzęce ciało — a tylko duszę na podobieństwo Twoje stworzoną.

Walkę postawiłeś wszędzie jako ogólne prawo. Więc i walkę w człowieku dwóch jego natur i ona będzie trwała zawsze, a tylko bardzo powoli i z Twoją, Panie, pomocą, może duch przewalczyć egoizm ciała!

Skróć ten czas, Panie! — Przyspiesz panowanie królestwa Twego na ziemi — błagam Cię o to, a mnie przebac grzech niecierpliwości — grzech chęci sądzenia zarządzeń Twoich (*klęka modląc się dalej*).

(Wchodzi Etienne Marcel — lat 45, wysoki, z małą czarną brodą).

MARCEL.

Zamodlił się mistrz mój — duch jego potężny wzłata do Boga, ścieląc się w pokorze przed jego tronem, błagając litości nad cierpiącą ludzkością. Tobie ojciec ducha mojego — Tobie pozostała jeno modlitwa! Mnie zaś czynu trzeba, czynu potężnego, który zatrzęsnałby świat w swoich posadach, zdruzgotał tyranie wszelką, zapalił słońce szczęścia dla wszystkich śmiertelnych.

Myśl ma dojrzała! wszelkie wahanie ustąpiło z umysłu mego — serce stało się mężne. Teraz czyn przedemną jeno. Zwycięzę albo zginę!

ZACHARYASZ (*podnosząc się, spostrzega Marcela*).

A to ty, Stefanie — a ja kajałem się Bogu za niecierpliwość moją — za śmiałość sądzenia Jego zarządzeń — za grzech, że i w twoją duszę wszczepiłem to samo zło.

MARCEL (*całując go w ramię*).

Miłość, pragnienie panowania sprawiedliwości, są najszczytniejszymi uczuciami, a nie grzechem, a Ty Ojciec jeno tym uczuciom dopomogłeś rozwinąć się we mnie. Cześć Ci należy się odemnie i od ludzkości całej, że mnie przygotowałeś na jej obrońcę i mściciela!

ZACHARYASZ.

Obrońcę dobrze! — ale ani mściciela, ani nawet sędziego.

Sąd do Boga należy. Mściwym czyniły go jeno fałszywe pojęcia żydów o naturze Jehowy.

Mściwym nie może być Bóg będący ojcem swego stworzenia — a i sędzią jest on pełnym miłosierdzia i miłości.

MARCEL.

Nieprzychodzę dzisiaj dociekać z Tobą Ojciec natury najwyższej istoty, ani jego zarządzeń rozbierać. Przychodzę jeno po Twoje błogosławieństwo na drogę czynu, bo po niej od tej chwili kroczyć będę!

ZACHARYASZ.

Błogosławieństwo starca jest zawsze z Tobą — ale...

MARCEL.

Czyż znowu wahanie opanowało Twe serce? Rozumiem, że wiek i tak długie życie cierpień choć wzmogło Twój umysł — ale osłabiło Twą energię do czynu.

To prawo starości i nawet Ty Ojciec podlegać mu musisz, ale jam młody, mnie nie zadowoli sama boleść — mnie czynu trzeba, czynu równego sile jaka wzbudziła się we mnie — równego pragnieniu jakie mnie pali. Postanowienie me jest niezłomne!

ZACHARYASZ.

Więc co chcesz czynić?

MARCEL.

Obalić przemoc tyrańską ludzi nad ludźmi — a w jej miejscu postawić zasady chrześcijaństwa: sprawiedliwość, równość i wolność!

Naród cały uczynię królem, a króla jeno najwyższym urzędnikiem tego narodu, wolę jego i jego rozkazania wypełniającego — a te rozkazania muszą być sprawiedliwe i dobre dla wszystkich, bo z wolą wszystkich wydawane będą.

ZACHARYASZ (*zamyślony*).

Tak! Tak bywało w Grecyi — tak bywało w najlepszych czasach Romy — ale tylko dla cząstki wolnych obywateli, gdy cała reszta cierpiała niewolę.

MARCEL.

Bo nie istniała Chrystusa nauka, równająca duchy ludzkie wobec Boga, a więc tem bardziej i wobec siebie samych.

ZACHARYASZ.

Ale czy ludzkość dojrzała już do pojęcia tak wzniosłej zasady? A szczególnie do jej wykonywania?

MARCEL.

Ludzkość dosyć nacierpiała się już, a cierpienie jest mistrzem najskuteczniejszym.

ZACHARYASZ.

Nie zawsze!

Wyjątkowe organizmy wyrabiają się w męce, jak złoto czyści się w ogniu — ale ogół — ale całe masy pozbawione wszelkiego światła? Te masy przez cierpienie samo stają się bezmyślną, zdziczałą, zbydlęconą hordą!

MARCEL (*ze zdziwieniem*).

Skąd przyszły wam, Ojcze, raptem takie zwątpienia? Wszak wczoraj jeszcze drżeliście z niecierpliwości nadejścia chwili wolności! Byłżeby to u was strach przed chwilą czynu?

Ale nie! ów strach bywa tylko u ludzi słabych przekonań i tchórzliwego serca, które pragnąć i planować umie, a czyn go przeraża.

Nie, to u was być nie może! Wyście Ojcze nie nauczyli się drżeć przed niczem w długim Waszem życiu!

ZACHARYASZ.

Tak! o siebie nie lękałem się nigdy, ale dziś lęk ten budzi się w mem sercu, czy czas już nadszedł. Czy ludzie rozumieją Ciebie, czy Cię poprą i wytrwają. Lęk mnie bierze, czy nie przesądziłem wyroków Opatrzności. Czy owoc dojrzał, aby go zerwać?

Jeżeli pomyliłem się w mej niecierpliwości i wolę człowieka chciałem przeciwstawić woli bożej, — wtedy i twój wysiłek będzie daremny, a Ty i tysiące przez Ciebie uwiedzionych ludzi zapłaci krwią za przedwczesny poryw. Przez wieków parę walczyli w Galii Bagody przeciwko najazdowi Franków i Wizygotów i wytępiono ich wszystkich.

Ebroin może niezupełnie szczerze podniósł w IX wieku prawa ludu i upadł sromotnie.

Bagody zaczęli zapóźno — a Ebroin za wcześnie.

Czy i Ty Marcel nie zaczynasz zawcześnie?

Ja tego nie wiem, ale się tego lękam!

MARCEL.

Rzekłeś Ojczy „taka jest wola Boża“. Mamże żądać, aby On przemówił do mnie z ognistego krzaka, lub zesłał mi anioła z oznajmieniem swej woli?

Wszak On swoje prawo podał nam w dekalogu — a syn jego uzupełnił je żywym słowem i poparł krwią swoją.

Więc wola Boża jest nam objawioną od dawna — a od ludzi dobrej woli zależy zmusić ludzi złej woli do szanowania i pełnienia owego prawa.

ZACHARYASZ.

Prawda! masz słuszość — Bóg nie może zesłać aniołów swoich na walkę człowieczą, a nawet Syna swego obłócił w ludzką powłokę, gdy go posłał nauczać ludzi.

On potrafi inaczej, ale On chce ludzi poprawiać przez podobnych im ludzi, a nie przez siebie samego.

Bóg z Tobą, synu ducha mego. Czyń jak czujesz, że On ci każe!

MARCEL.

Słońce ogrzało nieco świat, a tutaj Ojciec u Ciebie zimno—
chodźmy na pole pod jego promienie, a opowiem Ci cały mój
plan działania.

ZACHARYASZ.

Mnie nigdzie nie jest gorąco, bo mróz starości jest we
mnie — ale chodźmy, gdy żądasz (*wychodzą*).

* * *

(EWON wprowadza Jolantę de Roque, — kobietę lat 50, nio-
sącą kosz).

EWON.

Zechciejcie Pani zatrzymać się w tej celi Ojca Zacha-
ryasza, On w tej chwili powróci.

JOLANTA (*oglądając się*).

Więc to tutaj, w tej ruinie mieszka święty pustelnik —
zawsze chętny dopomódz i zaradzić każdej biedzie — pocie-
szyć każdą duszę strapioną, a uleczyć każde chore ciało?

EWON.

Tutaj mieszka i modli się ten dobry Ojciec.

JOLANTA.

A ty, dziecko, jesteś dawno z Ojcem Zacharyaszem?

EWON.

Już 18-ty rok.

Matka moja przyszła do Ojca Zacharyasza, gdy on był
jeszcze około Le Maans — i tutaj umarła, gdy liczyłem rok
życia. Odtąd On był mi matką, ojcem i wszystkim — a dobroć
jego dla mnie nie ma i nie miała granic. Na imię mi Evon.

JOLANTA.

Weźże, mój śliczny Ewonie, ten kosz, w którym przynio-
słam świętemu pustelnikowi trochę chleba, sera, masła, mąki,
wina i jarzyn.

EWON.

Bóg wam zapłać Pani! bo my żyjemy jeno tem, co nam dobroć ludzka udzieli, a gdy braknie chleba, to żyć musimy korzonkami z lasu.

Ale Ojciec Zacharyasz nieraz dobę całą niespyta o jadło, jeno czyta te księgi, myśli i modli się, jeżeli nie leczy, albo nie doradza przychodzącym do nas po leki i pociechę (*bierze kosz i stawia w kącie*).

JOLANTA.

Dokądże wyszedł święty pustelnik?

EWON

Poszedł do lasu ze Stefanem Marcelem.

JOLANTA.

Więc jest tutaj i sam Marcel, naczelnik cechu kupców paryskich?

EWON.

Często on przychodzi do Ojca Zacharyasza i razem czytają księgi, i on też nie jednemu przychodzącemu po radę i pomoc do Ojca, dopomoże, doradzi i pocieszy, mówiąc, że lepsze czasy nastaną dla ludzi, w których sprawiedliwość i miłość będą rządziły. Dobrym jest też dla wszystkich sir Marcel.

JOLANTA.

W Paryżu lud bardzo go kocha i słucha, jakby był wyrocznią jaką — i też wierzy mu we wszystkim, rachując, że on wiele dobrego zrobi dla paryżan i ludzi mniejszych. Pomógł on też nie jednemu, szczególnie, gdy rycerstwo, albo radcy królewscy ciemnili lud. Serwy też okoliczne acz nie śmiało garną się pod jego opiekę. Ale coż on poradzi biednym „Jakubkom“ (Jaques) na ich smutną dolę? Szczęście, że i on jest u pustelnika. Może oni obydwu dadzą mi jaką dobrą radę w nieszczęściu mojem. (*Wchodzą ZACHARYASZ i MARCEL*).

EWON (*do Zacharyasza*).

Ojcze jakaś dobra niewiasta z Paryża przyszła po radę do Was, a tu przyniosła Wam kosz z pożywieniem, jakiego już niema w Waszej pustelni — oto ona tam stoi.

ZACHARYASZ (*zbliża się do Jolanty*).

Bóg z wami, Pani, co żądacie od starca samotnie żyjącego?

JOLANTA (*całuje go w rękę*).

Rady, dobry Ojczy, bo ludzie mówią, że Wy jej nie odmawiacie nigdy opuszczonym przez los i Boga!

ZACHARYASZ.

Bóg nie opuszcza ufających w Jego pomoc i miłujących Go. — Czego żądacie?

JOLANTA.

Jestem Jolanta, żałosna wdowa po sir Robertcie de Roque, mieszkająca w Paryżu, bo nasz zameczek zajął siłą zły sąsiad Hugue de Bries, on zabił mi męża i dwóch synów.

ZACHARYASZ.

Siadajcie, nieszczęsna Pani (*pokazuje jej pniak i sam też siada*), i opowiadajcie mi wszystko.

JOLANTA.

Sir Robert padł ciężko ranny pod Crésy i mówiono, że zabity jest. — Sir Hugue zaś powrócił do sąsiedniego Bries, a widząc, że ja sama bezradna wdowa zamieszkuję w Roque z synkami, napadł nas, zajął zameczek, a mnie z dziećmi wygnał w szeroki świat.

ZACHARYASZ.

Jakim prawem?

JOLANTA.

Powiedział, że w wigilię bitwy sir Robert darował mu całe Roque, a gdy go zapozwalam przed sąd, powtórzył to samo, oświadczając, że sądem bożym dowiedzie prawdy swojego twierdzenia. Wiedział niecnota, że za mną i dziećmi nie ma się kto ująć i podnieść jego rękawicy.

ZACHARYASZ.

Ohydna to rzecz, a prawo ją toleruje, a nawet uswięca! Mów Pani dalej!

JOLANTA.

W dwa lata powrócił sir Robert, bo dobrzy mnisi z sąsiedniego klasztoru odnaleźli go żywego jeszcze na polu bitwy i wygoili. Oczywiście zażądał on zwrotu zameczku i ziemi od grabiciela, przecząc wszelkiej darowiźnie, bo niecny Hugon już dzień przed bitwą poszedł gdzieś na rabunek i odstąpił wojska królewskie. Hugon wysmiał się z jego żądania, mówiąc, „dowiedź prawdy słów twoich sądem bożym“. Robert słaby jeszcze po ciężkich ranach padł w sądzie bożym, a umierając nakazał mi, aby każdy z naszych trzech synów pozywał Hugona, gdy tylko dojdzie do sił męskich i walczył z nim o prawo do Roque.

ZACHARYASZ (*spogląda na Marcela*).

Oto bezradność społeczeństwa nadużywająca imienia i sprawiedliwości bożej.

MARCEL.

Nie! To zawsze jedno i to samo: zasada siły przed prawem. A słabszy zawsze ofiarą tylko, bezbronnem jagnięciem na rzeź i karmę silniejszego przeznaczonem.

JOLANTA.

Tak, dobry Panie! Tak słaby nie ma prawa do niczego, a jam tej prawdy doświadczyła dwa razy jeszcze.

ZACHARYASZ.

Jeszcze? mówcie!

JOLANTA.

Synowie nasi znają przykazanie umierającego ojca i wiedzą, że spełnić je im trzeba. To też pierworodny mój Robert silny był i krwi burzliwej; żądał on odemnie, abym mu dozwoliła walczyć z osiemnastym skończonym rokiem życia. Nie chciałam zezwolić, ale Ojciec Onufry od Notre Dame ujął się za żądaniem chłopca, mówiąc, że Bóg i jego sprawiedliwość i wszyscy święci, a nie siła zwycięży; więc młody Robert zwycięży wroga tak, jak z pomocą bożą Dawid olbrzyma Goliata.

Poszliśmy w szranki, gdy ujrzałam Hugona w zbroi o głowę wyższego i dwa razy szerszego od mego synka; serce

moje zamarło z trwogi, a groza zmusiła mnie zasłonić przerażone matki oczy, gdy je odsłoniłam na odgłos trąb nie miałam już syna!

A Bóg nie stanął w słabszego obronie, choć z głębi serca błagałam go, aby zesłał Michała Archaniola, by dziecko me osłonił swą tarczą — wszystkich świętych błagałam o pomoc. — Daremnie! (*zakrywa twarz i płacze, po chwili mówi*).

Gdy mąż i syn mój pierworodny stawali z mieczem w dłoni do boju przeciwko gwałtowi i bezprawiu Hugona, jam wierzyła, że stają oni przed trybunałem najwyższego, a zawsze sprawiedliwego sędziego, Boga samego.

Jam wierzyła, że nie żelazo i siła mięśni rozstrzygać będą w walce, ale sprawiedliwość boża powali w proch gwałt i przemoc, i one padną na ziem od słabej dłoni, którą Bóg będzie kierował we wszechmocności swojej.

Jam wierzyła w objawienie się cudu w tej walce sprawiedliwości, bo tak wierzyli przodki moje. — Jam ufała! a Bóg milczał i dozwolił złemu pokonać dobre i sprawiedliwe. (*po chwili*).

Gdy po upływie dwóch lat — drugie dziecko moje 18-to letni Arnulf szedł w szranki sądowe ze strasznym człowiekiem, serce me drżało jak liść osiny, bo wiara w pomoc świętych, w sprawiedliwość tego bożym zwanego sądu uciekła z serca, a straszna wątpliwość wpłynęła doń.

Na moje zaklęcia Hugona, na zbawienie jego duszy i sąd pośmiertny, na moje prośby, aby oddał nam zgrabione przemocą mienie, a nie mordował słabe jeszcze me dzieci — roześmiał się szatańskim chychotem i odrzekł mi, że Bóg jest siłą i siłą tylko błogosławi, a jeżeli syny moje są słabe, to niechaj ustępują sile i cierpią w pokorze — lub giną!

MARCEL.

Oto przekłeta zasada podboju — Vae Victis! a wkoło nas świecą błyszczące krzyże Chrysta! usta milionów ochrzczonych pogan bezmyślnie powtarza codziennie słowa modlitwy pańskiej!

ZACHARYASZ.

Straszną jest opowieść Pani — ale ją ukończ.

JOLANTA (*przemagając wzruszenie*).

Za krótką chwilę trzymałam w matki objęciach drugie dziecko moje z przesyta piersią patrząc jak noc śmierci gasiła światło ocz jego, a usta szeptały „umieram w rozpacz, że zostawiam Cię matko słabą i bezbronną, bo Bóg nie dopomaga słabym“.

ZACHARYASZ.

Nie Jolanto, nie! Bóg jest sprawiedliwym, a cierpienia ludzkie liczy i kiedyś za nie zapłaci. Ale Bóg nie może ciągle działać cudów i cudem bronić uciśnionych jak to w naiwności swojej głoszą jego kapłani. Bóg nadał prawa ludziom, ale oni dotąd słuchać nie chcą tych praw. Gdyby Bóg miał za każdego wykonywać pracę, strzedz go i bronić, człowiek stałby się niezdarnem stworzeniem, pozbawionem własnej woli, a tem samem i odpowiedzialności za czyny swoje. Wnet nadejdzie godzina, że słuchać praw bożych będą ludzie musieli, ale dotąd siła rzadzi i naprzeciwko niej trzeba postawić siłę inną i nią zmusić złych do stania się lepszymi.

JOLANTA.

Daj Boże nastanie panowania Jego na ziemi! — jako jest w niebie: Ale co ja nieszczęsna mam teraz zrobić?

Najmłodsze dziecko moje, a dzisiaj już jedyny mój słodki Ludwik skończył lat 18-cie, wszyscy mu mówią, a i on sobie mówi, że musi stanąć do walki z Hugonem, dziecko jest słabe ciałem, choć sercem mężne; — żbroi on nieudźwignie, ni mieczem ciężkim władnąć zdoła; — zatem od pierwszego starcia paść musi — a już nie wierzę, aby Bóg zesłał mu jak Fabianowi anioła swego do pomocy. Poradźcie mi ojcze co mam czynić? miejcie litość i poradźcie!

Łzami nie odwiode Ludwika od spełnienia rycerskiej i synowskiej powinności. Wie on, że zginąć musi, ale też, że musi pozwać w szranki zabójcę ojca i braci, grabiciela naszego mienia

Miejcie litość nad mą niedolą, nad rozpaczą mego serca i doradźcie nieszczęsnej matce. Ratujcie ją od rozpacz! (*składa ręce i klęka*).

ZACHARYASZ.

Cóż ja starzec nad grobem stojący mogę Ci pomódz, nie-
szczęsna matko?

MARCEL.

Bezsensowne prawo o oreźnym sędzie bożym, dopuszcza
słabszemu zastąpić się silniejszym, to też istnieją adwokaci po-
dejmujący się walczyć w zastępstwie słabych.

JOLANTA.

Wiem — ale któż zechce narażać swe życie w boju ze
straszyn Hugonem dla sprawiedliwości jeno zwycięstwa, a ja
nie mam czem opłacić takiego bojarza, bo Hugon zabrał nam
całe mienie.

MARCEL.

Zdajcie Jolanto wszystko na mnie, Ludwik niechaj szle
wyzwanie na sąd waszemu ciemieżcy, a ja wam dostawię takiego
bojarza, że na sam jego widok Hugon uzna się za zwyciężo-
nego, lub krwią zapłaci za wszystkie wasze bole!

Wczoraj przybył do Paryża Iwon z Brestu najsłynniejszy
adwokat w sądach bożych — postrach wszystkich złych ludzi,
a opiekun uciśnionych.

On za Ludwika walczyć będzie.

JOLANTA (*z najwyższą radością*).

Iwon z Brestu! Och! Sir Marcel dajecie mi więcej, niż
życie. Tylko sercem bez granic Wam oddanem wywdzięczyć
się Wam mogę. Nie darmo ludzie mówią, że sir Marcel nikogo
nie opuścił w niedoli! (*klęka raptem i całuje go w rękę*). Bóg
wam zapłać! Bóg wam błogosławił jak nieszczęsna matka wam
błogosławi!

Dziecko moje będzie żyło, a zabójca i grabiciel zostanie
ukarany jak na to zasłużył.

ZACHARYASZ.

Widzicie Jolanto, że Bóg was nie opuścił, ale Bóg tylko
ludziom przez ludzi dopomagać chce i może.

JOLANTA.

Bóg i Sir Marcel!

MARCEL.

Idźcie Jolanto i czekajcie mnie w moim domu. Wieczorem powrócę. Bóg z Wami!

JOLANTA (*całuje w rękę Zacharyasza, kłania się raz jeszcze Marcelowi*).

Oczekiwać Was sir będę jak zbawienia! (*odchodzi*).

MARCEL.

Dobrze rzekliście, Ojczy, tej nieszczęśliwej kobiecie, że gdyby Bóg miał ciągle wkraczać w czynności ludzkie — ludzie przestaliby być odpowiedzialni za własne czyny. Przestaliby myśleć, działać, a przez myśl i czyn podnosić się ciągle i podnosić ludzkość do wyżyn, na jakich stanąć ona kiedyś musi przez własną zasługę pracy duchowej, oraz myśli, pojęć i fizycznej działalności. Ludy, jak muzułmańskie, podlegające fatum przeznaczenia, nie wzniosą wyżej ludzkości. Tylko wiara w siebie, tylko uwolniona z wszelkich okowów nadprzyrodzonych wolna ludzka wola, mogą przez wysiłki doprowadzić ludzkość do wyżyn przez Boga jej przeznaczonych, a uchronić ją od zaginięcia w fatalizmie.

ZACHARYASZ.

Tak jest, ale nie dziw się Ty, Marcelu, że w zaraniu cywilizacji człowiek-dziecko zdaje trudne dlań do rozstrzygnięcia sprawy na jakiś sąd nadziemski i czeka pomocy nadprzyrodzonej!

MARCEL.

Zapewne! ale czas już, aby człowiek zaniechał zabobonu pozostałego z mylnego pojmowania stanowiska Boga w stosunku do człowieka, i zadał sobie pracę wypełnienia tych czynności sam przez siebie, na co go już stać.

Wszak były najdoskonalsze czasy sądownictwa grecko-rzymskiego ludu. Czas tedy, abyśmy odszukali te wzory treści i formy doskonałej i zastosowali je do potrzeb życia codzien-

nego. Ja też to uczynię — utworzę sądy regularnie działać muszące, dając im racjonalną podstawę oceny czynności człowieka w stosunku do praw drugiego człowieka.

ZACHARYASZ.

Z wielkim trudem można już będzie stawiać pierwsze kroki w sądzie o własność fizyczną, ale wierzaj mi synu, że idea sądu bożego wieki jeszcze trwać będzie w sprawach trudnych do rozstrzygnięcia, a nie materyalnych.

MARCEL.

Tak, bo siła, jako czynnik rozstrzygający, owa zasada barbarzyństwa wszelkiego, przewagi zwierzęcia po nad duchem, będzie broniła się od poddania duchowi i jego prawom w człowieku i ludzkości.

* * *

EWON (*wchodzi*).

Ojcie Zacharyaszu znowu dwoje ludzi i kobieta młoda przyszli do was po radę i pomoc.

ZACHARYASZ.

Niech wejdą! (*EWON wychodzi i wprowadza Wilhelma CAILLET, chłopca 40-letniego, MAŁGORZATĘ, dziewczynę 20-letnią ładną, MAZURKA, chłopca 24-letniego*). Bóg z wami, dobrzy ludzie, skąd jesteście i czego żądacie?

CAILLET.

Bóg z wami dobry, Ojcie! My jesteśmy aż z Beauvais, jak widzisz Ojcie — serwy, których zowią Jakubkami. Ja się zwę Caillet, a to siostra moja Małgorzata, a ten parobek to Mazurek. Myśmy poddani sir Jana de Vertmont.

ZACHARYASZ.

Cóż was sprowadza aż tutaj z tak dalekich stron?

CAILLET.

A cóżby Ojcie, jeżeli nie nieszczęście; człek szczęśliwy siedzi doma, bo mu w nim jest dobrze, a jeno niedola gna

ludzi z dala od rodzinnej strzechy! Tej też niedoli jest teraz tyle, że niema piędzi ziemi, aby ona na niej nie zasiadła owa blada i zła wiedźma wyżerająca serca ludziom, a wyciskająca łzy z oczów.

ZACHARYASZ.

Niedoli wiele jest na świecie, a teraz więcej, niż dawniej; ale jakąż jest wasza niedola?

CAILLET.

Oto siostra moja od dziecka miłuje się z tym oto sąsiadem, a dziewczka jest dobra, robotna i czysta jakby dopiero wczoraj światło dzienne ujrzała. Mieli się oni pobrać, ale trzeba na to zezwolenia sir Jana, pana naszego. Sir Jana na nasze nieszczęście ujrzał Małgorzatę i zapragnął jej urody. Sir Jan dał zezwolenie, ale pod warunkiem, że, jak ja to rzeknę, że przed ślubem oddam mu Małgorzatę na cały dzień i noc (*Małgorzata zakrywa oczy*).

MARCEL (*do Zacharyasza*).

Stara pogańska ohyda „jus primae noctis“.

ZACHARYASZ (*kiwa głową, z westchnieniem przeciąga ręką po czole*).

Więc cóż wy obmyśliliście?

CAILLET.

W naszym kraju jest pamięć po was dobry Ojciec jeszcze z czasów, gdy pustelnia wasza stała w lesie. Dla tego więc my idziem do was z prośbą, abyście dali ślub tej młodej parze, bo żaden ksiądz nasz tego uczynić nie chce, bez zezwolenia sir Jana.

ZACHARYASZ.

Dobrzy ludzie, dla pomocy nieszczęśliwym naraziłbym się chętnie każdemu, ale ja nie jestem księdzem, jeno pustelnikiem, więc nie mogę udzielać sakramentu, bo byłoby to świętokradztwo z mej strony, a też takie małżeństwo nie miałoby żadnej prawnej wagi.

MAŁGORZATA (*gwałtownie*).

To ja wolę się zabić.

MARCEL.

Czy wy macie zamiar powrócić do waszej zagrody?

MAZUREK.

A już! przecie nie mogę opuścić ziemi żywicielki i pójść w świat o żebranym chlebie, bo i wtedy odstawiono by nas przemocą do naszej wsi i do naszego pana.

MARCEL (*do Zacharyasza*).

Dajcie im Ojciec list do plebana w Chôme i proście, aby im dał ślub, lub pouczył, aby udali się do sądu i poparł w nim sprawę tej nieszczęśliwej dziewczyny. Prawo to ohydne można przecie jakoś obejść, zaś może sąd nie będzie chciał uczynić przeciwko wstawieniu się tego powszechnie szanowanego kapłana.

Ja też z mej strony uproszę przeora Jakubinów paryskich, aby i on wstawił się do proboszcza i powagą swą poparł ich w sądzie.

MAŁGORZATA.

Panie niechże Ci Bóg płaci za tę łaskę i Wam Ojciec Zacharyaszu. Ja wolę śmierć, śmierć sto razy, niż taką hańbę znieść.

ZACHARYASZ.

Dobrze, dam wam list.

MAZUREK.

Bóg wam zapłaci milion razy.

CAILLET.

Choć za tę nadzieję składam wam dzięki. Gdzie mamy was sir odszukać w wielkim Paryżu i po ów list się zgłosić.

MARCEL.

Nazywam się Stefan Marcel i każdy spotkany człowiek w Paryżu wskaże wam dom mój. Jutro z południa zgłóście się do mnie.

CAILLET.

Ach! To wy jesteście sir Marcel, o którym wszędzie lud cicho szemrze, że wy sir przyjdziecie uciemieżonym z pomocą. Bóg niechaj Was błogosławi!

MARCEL.

A może który z paryżan mówił wam co o mnie?

MAZUREK.

Na odpusćcie w Chôme mówili o Was kupcy paryscy, ale czyż Wy sir mielibyście dopomódz biednym Jakubkom uciśnionym jak nigdy dotąd!

MARCEL.

Czy podołam? nie wiem, ale zrobię wszystko możebne, aby i waszej ulżyć doli, ale na to potrzeba mi będzie może i waszej pomocy.

CAILLET.

My nie już do stracenia nie mamy, więc i nędzne życie ryzykować możemy.

Od tej nieszczęśliwej wojny, w której nasze rycerstwo bić się nie chciało, ale brać w niewolę Anglikom chętnie się pozwoliło, od tego nieszczęścia poznaliśmy, że to my płacić musimy na wykup tych tchórzliwych rycerzy, puszczonego na słowo, że okup złożą. Biją nas też i dręczą, abyśmy ostatni grosz oddali, mówiąc, że tylko pięścią zmusić można chłopą, aby z niego wycisnąć Bóg wie jak ciężko zapracowany ostatni pieniążek.

MARCEL.

Wiem o tem, że z was wyduszają cały okup za siebie, a pod Poitiers było ich przecie sześć razy tyle co Anglików.

MAZUREK.

To mało jeszcze sir. Ledwie wyszedł poborca i zabrał przemocą i katuszą ten ostatni pieniążek, wpada banda Anglików i zabiera wszystko bydło, trzodę, drób i co tylko jest do zjedzenia.

CAILLET.

Ledwie odeszli łupieżcy zamorscy, zwała się nowa banda zbrojna rycerskich żołdaków, bije i męczy za to, że już nie ma co zabrać, gdyż przed chwilą zabrał Anglik wszystko.

MAZUREK.

Dzień ostateczny nastał dla nas, mrzemy z głodu sami nic już nie mając do włożenia do ust. Więc za to, że nic już od nas wydrzeć nie można, morduje nas głodne żołdactwo. Śmierć już lepsza od takiego życia.

CAILLET.

Wioski nasze stoją pustką, a lud cały kryje się z resztą zapasów i dobytku po skalnych pieczarach, drżąc ze strachu, aby i tej jego kryjówki łupieżcy nie odkryli.

MARCEL (*do Zacharyasza*).

Mamże czekać Ojcie, aż reszta francuskiego ludu zamrze głodem i z rozpaczcy wpadnie w obłęd dzikości? Mamże czekać?

ZACHARYASZ.

Nie pytaj mię teraz synu, bom i ja jest pod strasznem wrażeniem tych opowieści, więc nie rozum, ale uczucie oburzenia dyktowałoby mi odpowiedź.

MARCEL.

Ja dłużej czekać nie chcę i nie mogę! (*do chłopów*) Wy czekajcie, aż list spisze wam Ojciec Zacharyasz, zaś jutro przyjdźcie do mnie po drugi list — w Paryżu pomówimy jeszcze o waszej biedzie. Bóg z wami!

CHŁOPI (*razem*).

Bóg Wam obu odplać za litość Waszą nad niedolą naszą i za chęć pomocy! (*wychodzą*).

MARCEL.

Biedna Francya, biedny jej lud i biedną jest ta dziewczyna szlachetna! — Zawsze jedno, siła tworząca prawo dla

siebie. Jedno ciało własnością drugiego ciała. Ależ na Boga! w tem drugim poddanem ciele jest jeszcze coś więcej, jest dusza na podobieństwo Boże stworzona. Czyż i ona ma być własnością panującego zwierza człowieka? a ta dziewczyna czuje, że ma duszę i woli zabić ciało, aby przez nie nie splamić i nie upodlić tej bożej duszy!

I Wy Ojcie chciecie, abym czekał jeszcze? Gdy we Francyi i ten zły, wadliwy ład wali się w gruzy. Chcesz Ojcie, abym czekał, gdy po całym obszarze kraju jak niszczące bałwany morskie przewalają się bezkarnie milionowe tłumy łupieżców — to swoich, to obcych, zbrojnych w kły i pazury wilków. Regent dziecko rady sobie dać nie może, a Francya w bezrządzie leży u stóp zwycięzcy Anglika i tylko patrzeć jak te bandy drapieżne zajmą Paryż i obrócą go w kupę zgliszczów i ruin.

Nie! Czekać nie mogę! Powołam najprzód Paryż do broni, umocnię mury miasta, pokażę, że naród sam bronić się umie — zmuszę Regenta do usunięcia niecných doradców, a otoczenia się radą z uczciwych i rozumnych ludzi złożoną. Zaprowadzę ład w całym państwie — lub zginę!

Wszak widzisz Ojcie, że ludowi i całej Francyi grozi ostateczna zagłada, więc nie osłabiaj mej woli wątpliwościami, bo także prawdą jest, że chcąc czegoś wielkiego dokonać, musi się mieć silną wiarę w siebie, w powziętą myśl i w modłę działania uplanowanego.

ZACHARYASZ.

Tak, to prawda! Więc, ponieważ Twój zamiar jest niewzruszony, milczę, a jeno błagać będę Boga, aby ci błogosławił i dopomógł do znalezienia jak największej liczby ludzi chcących iść z tobą tą samą drogą.

MARCEL.

Paryż i Jan Moillord idą ze mną wszędzie, część duchowieństwa pójdzie ze mną, a nawet i część szlachty. Biskup z Laon Robert de Coq — wszystkie klasztory paryskie poprą mnie. Szlachetny Jan de Piquigny, Pepin d'Essarts, Jan Charny i Wiktor, słynny adwokat z Abbeville podzielają moje zamiary, zatem nie stanę odosobniony.

ZACHARYASZ.

Więc, idź w imię Boże, a błogosławieństwo moje niechaj będzie z tobą (*kładzie Marcelowi ręce na głowie, a ten przyklęka i całuje go w rękę*).

EWON (*klęka też przed Zacharyaszem*).

Ojcze dozwól i mnie iść z sir Marcelem, służyć mu wiernie w jego wielkim celu, służyć tak jak potrafię.

ZACHARYASZ.

Cóż ty dziecko pomódz mu możesz?

MARCEL.

Dozwól Ojcze iść Ewonowi ze mną, gdy serce mu iść nakazuje. Bóg czasami i przez słabych byle czystych sercem zsyła nam pomoc, a ich przeznacza do wzniosłych czynów, dozwól Ewonowi towarzyszyć mi.

ZACHARYASZ.

Żal mi wielki, że Ewon mnie opuści, ale niechaj się dzieje wola wasza. Idź Ewonie z Marcelem, służ wiernie i z poświęceniem wszystkiego, a nawet i życia wielkiemu dziełu szczęścia ludzkości (*kładzie mu rękę na głowie*). Bóg niechaj zapisze błogosławieństwo jakie składam na twojej młodej a drogiej mi głowie (*całuje go w czoło*).

EWON (*całuje go w kolano*).

Dzięki Ci Ojcze! Będę często przychodził do Ciebie i opowiadał Ci jak się powodzi sir Marcelowi!

MARCEL.

Czas już na mnie. Żegnajcie mi Ojcze dzisiaj! (*jeszcze raz całuje go w rękę*). Chodź Ewonie! (*wychodzi — EWON całuje ZACHARYASZA w kolana i radosny wybiega za MARCELEM*).

ZACHARYASZ.

Stało się, co się stać miało. Czy się powiedzie? Stało się o czem marzyła dusza moja lat tyle. (*Myśli długo ze spu-*



szczoną głową, wzdycha, powoli podnosi ją z jaśniejszym błyskiem w oczach).

Bóg rządzi światem i ludzkością całą!

Jego wola się stanie!

Myśl, posiew rzucany zostanie, może choć część jego przetrwa, skielkuje i rozwinie się bodaj kiedyś.

Myśl, idea wcielone są zawsze płodne teraz lub w przyszłości (*podnosząc oczy i ręce do góry*). Przyszłość tylko w Tobie, o Panie, złożoną jest, w Twoim ręku spoczywają nici pogańskich Park! Ty je snuj lub przecinaj wedle wyroków Twoich. Mnie zostaw choć nadzieję, że zdrowe ziarno nie wyrodzi trującego chwastu!

* * *

Wzgórze, z którego widać szeroką okolicę częściami zadrzewioną, w głębi wije się Sekwana, za nią wzgórze bardzo malownicze. Wchodzi MARCEL i EWON.

EWON.

Obiecałeś mi, sir Marcel, że mnie nauczysz choć cząstki tego, co umiesz i co umie Ojciec Zacharyasz. Ale mądrość wszelka mieści się w książkach łacińskich i greckich, a ja tych języków nie umiem.

MARCEL.

Nieszkodzi! Dam ci Ewonie do czytania książkę, zrozumiałą we wszelkiej mowie, tylko trzeba się przyzwyczaić do patrzenia w nią, nie tylko oczyma, ale duchem i rozumem (*ogląda się wokół, siada na kłodzie drzewa, leżącego na boku*). Siadaj koło mnie; mamy czas, zanim tamci z Paryża nadejdą.

EWON.

Dajcie mi, Sir, tę książkę!

MARCEL.

Spojrz na ten pyszny krajobraz.

EWON.

Patrzę nań.

MARCEL.

Widzisz, jak te drzewa układają się w grupy, a zachodzące słońce wydobywa z nich światła i cienie, a tam dalej jak Sekwana wije się wstęgą przejrzystą — to czerwoną od blasku słonecznych promieni, to błękitną lub srebrną; dalej jak te wzgórza umalowały się szafirową barwą; spód ich przysłania przezroczysta mgła rzeczna, a szczyty palą się w słońcu.

Co widzisz w całości tego obrazu?

EWON.

Widzę, że on jest pięknym i zachwyca mnie.

MARCEL.

Tak, jest w nim piękno! A w sercu twem czy budzi się jakie poczucie prócz piękna na ten widok pełny barw, światła, spokoju i czaru, jaki zeń wieje?

EWON (*po chwili*).

Tak! Patrząc na ten obraz pełny jakiejś łagodności i spokoju a szczęścia — chciałbym i w sercu mojem i w uczuciach moich być mu podobnym, lepszym, kochać Boga i ludzi.

MARCEL.

Więc z tego krajobrazu wieje do ciebie nie tylko piękno, ale i miłość, bo serce on ci rozgrzewa, czyni je czulszem i kochać pragnącem. Czy tak?

EWON.

Tak sir!

MARCEL.

A czy zauważyłeś chłopcze, jak te grupy drzew, ta rzeka błyszcząca, te góry na przemian świetlane lub mroczne, ta cała przestrzeń harmonizuje w jedno obrazu, w jedną całość, jak te pojedyncze jednostki nie gniją jedne drugich, choć są różnej miary, ale dopełniają się w ładzie oku miłym.

EWON.

Tak! te wszystkie przedmioty łączą się z sobą i nie widzę już ich osobno, ale cały śliczny ten obraz.

MARCEL.

Więc w tem, na co patrzysz, jest harmonia zupełna barw kształtów?

EWON.

Tak!

MARCEL.

Więc z tego, na co patrzysz w tej chwili, wieje piękno, miłość, ład, harmonia ogólna i ty to wszystko odczuwasz?

EWON.

Sam nieumiałbym wyrazić i określić uczuć i myśli, jakie od tego krajobrazu przychodzą do mnie przez oczy, ale są one takie, jak je wyraziłeś Sir.

MARCEL.

Patrzyłeś chwilkę na obraz przyrody i starałeś się zrozumieć jej mowę. Ona jest tą księgą zawsze otwartą, uczącą wszystkiego, byle chcieć i nauczyć się w niej czytać. Przyroda jest doskonałością nieprześcignioną, bo ją stworzyła doskonałość sama — Bóg. W niej zamknięte są wszelkie prawa, zarówno rządzące ziemią naszą, jako i wszystkim, co w niej i przez nią żyje, więc i człowiekiem. Ona jest doskonałością w całości, jako i w najdrobniejszym szczególe. W niej, w tej przyrodzie każda przyczyna ma swój nieunikniony skutek. Z niej wieje piękno, jako z doskonałości, i z niej miłość, bo przez miłość stworzył Bóg te doskonałości i nią ją utrzymuje. Z niej harmonia i przyczynowość wciska się w duszę i umysł człowieka, harmonia wszystkiego i we wszystkim, bo w jej układzie ona panuje. Więc chłopcze kochany patrz w przyrodę, śledź w niej prawa rządzącego choćby w jednej roślinie, a z tej książki otwartej więcej się nauczysz, niżeli z wszystkich pisanych. (*po chwili*). Jest jeszcze druga pisana, ewangelia święta, również wielką doskonałość w sobie zawierająca, bo napisana wedle słów Syna Stworzyciela świata i ona tylko w ludzkiej mowie podaje ludziom te same prawa, jakie Bóg nadał przyrodzie, jeżeli tylko w niej umie się czytać i rozumieć bożą myśl w niej zamkniętą.

EWON.

Tę drugą znam trochę, bo mi z niej dużo opowiadał Ojciec Zacharyasz. Ale ludzie zapewne nie wierzą nauce Chrystusa Pana, bo nie postępują wedle jej zasad.

MARCEL.

Interes własny, sobkowstwo własne, pogańskie prawo przemocy, każą ludziom naigrawać się jeno z bożego prawa, choć niby zwią się chrześcianami, ale woda chrztu nie obmyła ich dusz, nie starła z nich piętna zwierzęcego, rządzącego wszystko

i wszystkich instynktem samolubnym. Wieki pogańskie wytworzyły z siły najwyższe prawo. Wedle niego tylko silny posiadał przywilej używania życia i jego radości. Własność należała do tego, który ją sobie zdobył i utrzymać podolał i on był bezwzględny panem tak ziemi, jako wszech rzeczy na niej się znajdujących, a też i ludy zawojowane stawały się bezwzględną własnością zwycięzcy. Oni jeno byli ludem pewne prawa posiadającym i o nie się dobijającym, oni jedni silni i ujarzmiający, gdy reszta ludzi słaba, bo się zawojować pozwoliła, stawała się trzodą własną zdobywców.

EWON.

Ależ tak teraz wobec Chrystusa nauki być nie powinno i nie może.

MARCEL.

Mam nadzieję, że zacznie się inaczej, że nie przemoc, ale sprawiedliwość zacznie rządzić Francją, w której zrównają się w prawach silni i słabi, potomkowie Franków i Gallów; ujarzmiciele i ujarzmieni!

EWON.

Ojciec Zacharyasz mówił mi, że ty sir Marcel i wasi przyjaciele pracujecie nad przyjściem panowania praw Boga i szczęściem ludzkości (*składając ręce z prośbą*). O proszę weźcie mnie do tej pracy, weźcie!! a będę spełniać wszystkie wasze rozkazy, życie me oddam sto razy, aby dobrego Jezusa zapanował zakon.

MARCEL.

Dobrze, pójdiesz ze mną, gdy tego pragniesz. Ale patrz. Oto nadchodzą moi przyjaciele z Paryża.

(*Wchodzą z prawej strony: JAN MAILLARD, WIKTOR z Abbeville, HENRYK BALLE, LUDWIK PETIT, PAPIN d'ESSARTS, JEAN de CHARNY i ośmiu innych*).

MARCEL (*wstaje i idzie ku nim*).

Jak się macie bracia?

MAILLARD.

Pozdrawiamy cię Marcel i dobre przynosimy ci wiadomości. (*Podają Marcelowi wszyscy ręce i witają go serdecznie i wesoło*). Oto i Wiktor nasz z Abbeville przybył dzisiaj (*Marcel ściska go*).

MARCEL.

Witaj nam Wiktorze. Rady twej i rozumu twego potrzeba nam dzisiaj bardzo.

WIKTOR.

Myśl moja, duch mój i ja cały jestem z tobą i z wami wszystkimi. Jak miecz z rękojeścią spojony na zawsze, tak i ja czuję się jednością z wami bracia.

MAILLARD.

Biskupa Roberta Le Coq spodziewamy się w tych dniach z Laon, a i szlachetny de Picquigni przybędzie niedługo.

HENRYK BALLE.

Paryż cały, doprowadzony do ostateczności obawą nadciągnięcia angielskich band zbrojnych i podrażniony żądaniem regenta, składania olbrzymich ofiar na wykupienie króla Jana z niewoli, wyczekuje waszego słowa z niecierpliwością.

LUDWIK PETIT.

Ojcowie Jakobini porwali za sobą wszystkie klasztory, zaś swoje mury obronne umacniają dniem i nocą, jak sobie tego życzyłeś Marcelu.

MARCEL.

Dzięki wam za dobre wieści. Paryż dawno gotowy do czynu; (*do Wiktora*) przejeżdżałeś przez inne miasta, czy one poprą nas?

WIKTOR.

Niezawodnie. Słowa: wolność i sprawiedliwość mają taki czar w sobie, że nikt się im nie oprze. Porwą one każdą duszę i każdy umysł prawy.

Dowodem biskup z Laon, że i część duchowieństwa pójdzie z nami. Na rycerstwo nie bardzo liczyć możemy, ale i w nim są także wyjątki, jak Jan de Picquigni, zresztą podnosząc walkę w imię wielkiej idei, nie trzeba pytać kto z nią się łączy, bo ona sama stanie za miliony.

(*Do Marcela, biorąc go na bok*). Przejrzałem twój projekt urządzeń politycznych, są one doskonałe, a tylko małe poprawki pod względem prawa poczyniłem. Jutro przyniosę ci twój pergamin.

MAILLARD.

Król Jan wzięty w niewolę pod Poitiers, urządził sobie dwór w Londynie i ucztuje tamże jak zwycięzca, a nie jako niewolnik.

HENRYK.

Król przynajmniej walczył osobiście jak dzielny rycerz.

MARCEL (*występuje w środek*).

Bracia i przyjaciele! Słów pomiędzy nami nie trzeba, bo wszyscy znamy straszliwe położenie ginącej Francyi. Od znikczemniałego rycerstwa, które będąc w sile 60.000 dało się pobić na głowę 11000 anglikom Czarnego księcia, nie możemy spodziewać się ratunku. Uratować nas może tylko ramię ludu całego, więc lud podnieść potrzeba, uzbroić i zorganizować państwo całe, a to na prawie bożem i wolności ogólnej. Myśl nasza dojrzała, więc nie możemy zwlekać jej wykonania. Mamy Karola regenta Francyi pomiędzy nami w Paryżu, w tych dniach zbierzemy lud, pójdziemy do niego i zmusimy go podpisać *cartam magnam* wolności narodu, zaś naród wolny znajdzie siłę zwyciężenia najazdu, ocalenia ojczyzny i wprowadzenia w niej sprawiedliwego ładu i szczęścia wszystkich.

MAILLARD.

Delfin jest chorobliwym chłopcem łatwo zmusimy go podpisać *cartam magnam*, byle usunąć go od fatalnego wpływu jego otoczenia, szczególnie dwóch złych jego duchów: marszałków Normandyi i Champanii, owych zdzierców i tyranów ludu.

MARCEL.

Dwóch ludzi nie może stać się nieprzebytą zaporą naszemu wielkiemu celowi.

LUDWIK PETIT.

Ale oni nie ustąpią z rady korony.

MAILLARD.

Ani zgodzą się na wolność narodu.

MARCEL.

Muszą! albo niechaj ponoszą karę zdrajców ojczyzny, — choćby i śmierć.

HENRYK BALLE.

Więc osądź ich na śmierć, jeżeli w twem przekonaniu zasłużą na nią.

MARCEL.

Wolałbym nie wydawać krwawego wyroku, ale marszałkowie są najzaciętszymi wrogami wolności ludu, więc (*po pauzie*), więc na wasze żądanie łamię nad nimi łaskę sądu! Dla dobra ludu i jego wolności, niechaj zginą (*inni powtarzają*). Niechaj zginą!

MARCEL.

Kto z was wyrok wykona.

HENRYK BALLE.

Wyrok musi być sprawiedliwym skoro go wydał Marcel, więc ja go wykonam.

LUDWIK PETIT.

Ja też nie zawaham się spełnić i tej ofiary dla dobra Francji.

MAILLARD.

Tak dobrze! Żadnemu z nas nie zadrży ręka, gdy trzeba usunąć przeszkodę wolności narodu i karać zdrajców (*do Ludwika i Henryka*) podajcie mi dłonie dzielni bojownicy wolności (*podaje im ręce*).

MARCEL (*podnosząc ręce do góry*).

Ty Boże sprawiedliwy sędzio!

Ty Chryste miłości wcielona,

Błogosław naszemu dziełu.

Chodźmy!

(*Wychodzą wszyscy*).

CZEŚĆ II.

Sala w „Palais“ przy ulicy Barillerie udekorowana, w gotyckim stylu. Stół z wielkim kałamarzem, też gotycki, zdobny w rodzaju świątyni ze złota i srebra. Pióra na stole i kilka rulonów pergaminów. Przy jednej ścianie siedzenie w kształcie konfesjonału z gotyckim baldachimem z drzewa rzeźbionego, obok niego dwa gotyckie wysokie stołki i kilka taboretów rozrzuconych po sali. Na przeciwnej stronie wysoki komin gotycki, na którego okapie rzeźbione figury Adama i Ewy stojących pod drzewem wiadomości złego i dobrego z węzem okręconym w koło pnia drzewa, trzymającym owoc w paszczęce. Ściana jedna z samych witraży malowanych, wysokich aż do stropu w ostrołukowych obramowaniach kamiennych.

Z drzwi mniejszych na lewo sceny wchodzi Delfin Karol, regent Francji, późniejszy król Karol V (Mądry), za nim Jan de Conflends marszałek Champanii i Robert de Clermont — Normandyi.

Delfin 18-letni młody człowiek o twarzy wychudłej, poblądłej, powleczonej żółtością, bez zarostu, postać chorobą znękana, jeno oczy czarne rzucają czasami błysk woli i rozumu. Ubrany w ciemną fałdzistą szatę spadającą mu poniżej kolan z bufiastymi rękawami w górze, podpasany pasem, przy którym wisi sztylet w pochwie ciemnej. Głowa ubrana w ciemny okrągły beret, przy którym na lewej stronie przyczepiona jest wielka czarna kokarda ze złotemi frędzlami.

KSIĄŻE KAROL (*siadając na krześle pod baldachimem*).

Łatwo wam mówić sir marszałku, ale skąd wziąć tak olbrzymią sumę jaką ojciec nasz król Jan sam naznaczył jako okup swojej wolności. Kto jest w stanie złożyć ją. Setki książąt, hrabiów, baronów i rycerzy poddając się Anglikom pod Poitiers, naznaczyło też olbrzymie sumy za swe uwolnienie,

tak, że cała Francya nie posiada tyle pieniędzy, aby tych rycerzy wykupić. Lud zaś wiejski umiera z głodu, żywiąc się korzonkami i kryjąc nędzny swój żywot po jaskiniach przed drapieżnością band najemnego żołdactwa.

MARSZAŁEK CHAMPANII.

Już to Wasza Książęca Wysokość niechaj się nie troska o wykup rycerzy. Wypuszczeni na słowo, potrafią oni wydobyć tyle groszy z lenników swoich, ile ich im potrzeba. Żacy zawsze wrzeszczą, że nic nie mają, ale trzeba tylko dobrze ich pięścią przydusić i za gardło ścisnąć, to wypłują i całe grzywny, a nie dopiero obole! Wy książę Delfinie przestańcie konferować z tym zbuntowanym szatanem Stefanem Marcelem, z tym łykiem paryskim, a posłuchajcie naszej wiernej rady; wydajcie sir edykt rozkładający na wolne i królewskie miasta całą sumę wykupu króla Jana i tyle, ile potrzeba na dwór wasz i utrzymanie zaciężnych zbrojnych, a kupcy i rzemieślnicy zapłacą te grzywny!

MARSZAŁEK NORMANDYI.

Ich też, tych mieszczan pocisnąć trzeba silnie.

KAROL.

Nawet gdybym chciał, kimże ich pocisnąć mogę, jaką siłą zbrojną? gdy i ja i Francya niemamy już żadnej. Wszak, siła władców Francyi spoczywa na dobrej woli ich lenników, a ci ostatni dzisiaj jeno o sobie myślą.

MARSZAŁEK NORMANDYI.

Wojna i tak ustała, bo nie ma komu bić się z Anglikami, więc wezwiemy do pomocy luźne bandy najemników, a choćby i Karola Nawarskiego i rzucimy je na miasta, to niechaj Wasza Książęca Mość będzie pewnym, że oni potrafią mieczem i ogniem wydobyć z miast tyle, ile edykt wasz sir od nich zażąda i to, co trzeba będzie zapłacić za tę pomoc owym bandom dobrych wojaków.

KAROL (*biorąc się za głowę*).

Te przekłete bandy, to nieszczęście Francyi, to są szczury, pożerające wszystkie zasoby kraju, to zaraza morowa, której, należy się pozbyć jak najrychlej możebnie, a nie dopiero wpuszczać je do miast naszych, aby i te warowne ostoje zniszczyli doszczętnie, jak niszczą lud bezbronny wiejski.

MARSZAŁEK CHAMPANII.

To niechże Wasza Książęca Mość zarządzi inny sposób, my go nieznamy.

MARSZAŁEK NORMANDYI (*z ironią*).

Może Marcel i Maillard i inni podobne im łyczki, dobrowolnie, na prośbę twą sir Delfinie, przyniosą mu zarobek z łokcia, wagi i rzemiosła.

KAROL.

Darmo radzisz sir, bo wiesz, że odmówili zapłacić wykup za naszego króla-ojca, mówiąc, że trzeba pierwej uzbroić miasta i lud, aby stworzyć wojsko narodowe, mogące stawić czoło Anglikom i ich bandom najemnym.

MARSZAŁEK CHAMPANII (*śmieje się*).

Doskonałe, wojsko z garbarzy, sukienników, sklepikarzy a może jeszcze i żaków wiejskich ma stawić czoło rycerzom czarnego księcia.

MARSZAŁEK NORMANDYI.

To są pomysły tych kilku mieszczan, którym Wasza Królewska Wysokość dozwalaś wstępu do siebie. Niechno jeno doczekam się przybycia sir Bernarda i sir Hottevilla z ich zbrojnymi, już ja zrobię porządek z tymi buntownikami, ubierając ich głowami bramę St. Denis.

(*Słychać pod oknami tumult ludzkich głosów*).

Co to (*idzie patrzeć przez okno*). Tłum olbrzymi ludu zbrojnego tłoczy się już w dziedzińcu Palais.

MARSZAŁEK CHAMPANII.

Słychać kroki tłumów w galeryi. Jacyś ludzie tu wałą.
(*Wchodzą głównemi drzwiami Stefan Marcel, Jan Maillard, Wiktor d'Abbeville, Henryk, Ludwik i zbrojni mieszczanie*).

MARCEL.

Wasza Książęca Wysokość! Przez bramę St. Denis chciała się wdrzeć do miasta banda sir Bernarda, kilkaset ludzi licząca, a przez bramę St. Martin druga, przeważnie z angielskich włóczęgów złożona, w sile wyżej, 2000 ludzi zbrojnych.

MARSZAŁEK CHAMPANII.

I weszli?

MARCEL (*patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem*).

Nie weszli — i nie wejdą, choć mieli na piśmie wasz, doradców korony rozkaz, zajęcia miasta. Spuściliśmy brony i podnieśli mosty, a Paryż zbrojny stoi na murach.

MARSZAŁEK NORMANDYI.

Odpowiesz głową za sprzeciwienie się rozkazowi rady koronnej.

MARCEL.

Wy odpowiecie za zdradę kraju i stolicy, boście ją chcieli wydać na łup wrogowi.

MARSZAŁEK NORMANDYI.

Ty nędzny śmiesz nam grozić?

MARCEL.

Nie grozę, ale wydaję w imieniu ludu słuszny wyrok śmierci na was zdrajcy (*zwracając się do swoich*). Spełnić wyrok (*zbrojni, którzy weszli z Marcelem rzucają się na marszałków. Henryk przebiją marszałka Champanii, Robert — Normandyi*).

DELFIN (*wstaje w najwyższem przerażeniu*).

Mord! mord spełniony w mej obecności (*siada zakrywając oczy*).

MARCEL (*spokojnie postępując ku niemu*).

Nie mord! ale kara sprawiedliwa spełniła się na zdrajcach, zasądzonych przez najwyższego sędziego na ziemi, przez lud i jego wybrańców. Odtąd też lud i jego wybrańcy są najwyższą władzą w państwie, a Wasza Królewska Wysokość najwyższym wykonawcą woli całego narodu (*do swoich*). Wynieść ciała ukaranych zdrajców. (*Zbrojni wychodzą, niosąc trupy — pozostają Marcel, Maillard i Wiktor z Abbeville — do delfina trzymającego głowę w dłoniach i siedzącego na tronie swym*). Wasza Księżęca Mości Sir Delfinie Regencie Francyi! Odsłoń oczy i miej odwagę spojrzeć w twarz prawdzie — ona przeraża tylko złych i słabych.

Wy Książę nie mieliście czasu stać się złym i może da Bóg nigdy się nim nie staniecie. Odwagę zaś mieć musicie, bo na Was Książę Delfinie ciąży spadkowy obowiązek ratowania ginącej ojczyzny i ratować ją musicie, otrzymawszy do rady mężów rozumu i prawości, a sercem i duchem chrześcian, zatem ludzi sprawiedliwych, znających wolę całego narodu, rozporządzających zaufaniem jego. Wiesz Wasza Królewiczowska Mość, że Francya leży w agonii, że na tej ziemi nie panuje prawo i miłość, ale bezprawie i brutalna siła. Naród i państwo legły z niemocy, ale naród posiada w sobie niespożytą siłę — byle znać zaklinające słowo wydobywające z niego tę moc bezmierną. Tem słowem jest wolność, sprawiedliwość równa dla wszystkich, wola ogółu wyrażająca się przez zgromadzenie jego wybrańców! Wyrzeknij to słowo regencie Francyi, a cały naród jak jeden mąż powstanie, wypędzi wrogów i jego zbójckie bandy i stanie przy tobie jako ojcu i oswobodzicielowi. Odżyje umierający naród, zakwitnie szczęściem, dobrobytem i potęgą twe państwo, a błogosławieństwo ludzkości i Boże zleje się na twą młodą głowę (*klęka*). Uczyni to królewiczu, a jutro królu Francuzów. Lud twój błaga cię o to przez usta moje. (*Maillard i Wiktor też przyklękają*).

MAILLARD.

Lud błaga cię, abyś ratował go od zagłady.

WIKTOR.

Abyś rozpoczął panowanie dobra, prawdy i sprawiedliwości!

DELFIN (*przychodząc powoli do przytomności*).

Więc czegoż chcecie odemnie?

MARCEL (*powstaje i bierze z rąk Wiktora rulon pergaminu, drudzy też wstają*).

Podpisz królewiczu tę kartę wolności i ładu bożego, a korona króla Francyi zajaśnieje takim blaskiem, że zgaśnie przy niej błysk bijący przez wieki z dyademem Karola wielkiego.

DELFIN.

Królem jest dostojny ojciec nasz, Jan.

MARCEL.

Królem jeno być może wolny i swobodnie wedle swego uznania działać mogący. Król zaś Jan zostaje w niewoli, ucztu-
jąc za stołem Edwarda III, zwąc go przyjacielem i bratem.

DELFIN (*wstając*).

Jestem w waszej mocy i czynić muszę, co mi wy rozka-
zujecie (*do siebie*). Zatem działać muszę bezwolnie. Jeżeli mam
czytać ten pergamin, to chodźmy aż na drugą stronę Palais,
bo jest nie dobrze marzyć o szczęściu ludzi, wdychając opar
świeżej krwi ludzkiej. (*Wychodzi wolno na lewo ku drzwiom
obchodząc ostrożnie rozlaną krew na ziemi i wzdrygając się przed
nią. Marcel idzie za nim, prosto z podniesioną dumnie głową —
następuje na krew i poślizguje się gwałtownie — Maillard wstrzy-
muje go za ramię od upadku, tak, że tylko pergamin wylatuje
z ręki Marcela i macza się we krwi, tenże schyla się i podnosi
upadły rulon obcierając krew chustką wyjętą z torebki*).

DELFIN (*zatrzymując się chwilę, trzymając klamkę drzwi obraca
się i mówi*).

Krew jest zawsze ślizga i zawsze plami.

MARCEL.

Och to się zmyje łatwo.

DELFIN.

Wątpię!

(*Wychodzi, za nim wszyscy*).

* * *

Plac przed kościołem Notre-Dame.

Drzwi na oścież otwarte, przez nie widać oświetlony kościół, z którego płynie śpiew nabożny. Przed wchodowymi drzwiami na schodach stoją zbrojnych dwa rzędy, ciągnące się aż na dół schodów. Plac cały zapchany tłumem ludzi różnych kategorii. Na boku placu masztalercze trzymają posiodłane konie. Na lewo grupa robotników i włóczęgów.

ZACZEK *(w tej grupie — do Sikorki)*.

W kościele już miejsca nie było, bo wypełniony po brzegi.

SIKORKA.

Stąd będziemy doskonale widzieli wychodzących, królewicza regenta z nową radą koronną i wszystkimi członkami generalnych stanów.

(W grupie na prawo złożonej z samych mieszczan).

MIESZCZANIN I.

Już zaczynają „Te Deum“. Nabożeństwo się kończy, zaraz wszyscy wyjdą. Marcela święci się dzieło, jego posiew i praca.

MIESZCZANIN II.

Zgromadzenie stanów wzywa Ducha świętego do pomocy w pracy nad zbawieniem Francyi. Oby on zstąpił między nich.

MIESZCZANIN III.

Oby zstąpić raczył. Rycerstwo niby uchyliło głowę przed nowem prawem, a regent podpisał „cartam magnam“, ale ja nie wierzę, aby nowy porządek ustalił się na prawdę.

MIESZCZANIN I.

Poważniejsza część mieszczan jest z nami, — ale tłum miejski zaczyna już czynić gwałty i napady na zamożniejszych ludzi, pojmując po swojemu wolność i panowanie narodu.

MIESZCZANIN II.

Sir Marcel potrafi poskromić motłoch, jeżeli za nadto znacznie brykać.

MIESZCZANIN III.

Dałby Bóg, z pomocą świętego Marcina patrona z Tours, świętego Rocha i Genowefy. Ale tak jak my myślących jest w miastach niewielka ilość.

MIESZCZANIN I.

Tak jest jak mówisz Grzegorz, nie wszyscy będą chcieli nowego prawa, a na przykład król, syn i wnuk królów, miałby słuchać woli wybrańców narodu? Ja temu nie wierzę.

MARCIN.

Temu już prędzej dam wiarę, bo oni będą mu tylko dobrze doradzali, więc dlaczegoż nie miałby pójść za ich radą.

JAN.

A jak nie zechce?

MARCIN.

To prawda, że niema siły, aby króla zmusić. Same miasta na to za słabe są, a rycerstwo zawsze będzie trzymało z królem. Ale już nigdy nie uwierzę temu, aby rycerze siedzący po swych fortecach, słuchali rozkazu i wyroku spisane go przez sędziego.

GRZEGORZ.

Masz rację, to czyste głupstwo! Papier wyroku nie zburi ich wież, a będą się śmiali z papieru rycerze w nich siedzący. — Kto i czem ich zmusi?

JAN.

Jużciż rzecz prosta, że wykonać się nie da takie prawo, bo na to trzebaby poburzyć te zamki, dające możność ich właścicielom naśmiewania się z prawa niewykonalnego.

GRZEGORZ.

Jedno dobre jest, że tylko zgromadzenie generalnych stanów może uchwalać taksy i pobory i taka rzecz może się utrzymać, bo nie będzie siły zmuszającej nas do płacenia więcej, niżeli uchwalono. Nie zapłacim i kwita. To też za to prawo wdzięczni jesteśmy Marcelowi, bo reszta to same mrzonki nie nie warte — i psu się one na budę nie zdadzą.

MARCIN.

Zawsze choćby dlatego uroczystym jest dla nas dzień dzisiejszy i wielkim naszym dobrodziejem stał się Marcel.

GRZEGORZ.

Tak jest. Noël Marcel!

(W grupie na lewo).

SEKATY KIJ.

Marcel ogłosił panującym lud cały, a króla jeno wykonawcą i najwyższym urzędnikiem ludu.

ZACZEK.

Głupi to trochę wymysł, bo król jest królem i nikt nad nim panować nie może, ni rozkazywać mu.

SIKORKA.

A no to prawda, ale sir Marcel dobrze zrobił, kazawszy zabić tych dwóch marszałków, naszych zdzierców, chcących wydać Paryż Anglikom.

SEKATY KIJ.

Sprawiedliwie ich osądził! Ale w ogromny wpadł gniew, gdyśmy dokończyli jego sprawiedliwości, weszli do ich domów, pobili rodziny zdrajców i ich sługi, a wszelkie bogactwa zabrali i rozdzielili pomiędzy siebie.

ZACZEK.

Jeżeli ma zostać wolność i sprawiedliwość, to nam wolno ją sobie wymierzać na wrogach naszych; czy to skarby mar-

szalka skąd inąd pochodziły jak z naszej krzywdy? więc sprawiedliwie uczyniliśmy odbierając co było nasze.

SIKORKA.

Tak jest! inaczej nie byłoby wolności i prawa panującego ludu.

SEKATY KIJ.

Marcel i Maillard odgrażają się, że pokarzą śmiercią przywódców tego jak nazwali gwałtu, rabunku i mordu.

ZACZEK.

Ale niepokarali, bo musieliby karać nas wszystkich, cały lud sprawiedliwość sobie wymierzający. Wolno było Marcelowi skazywać na śmierć marszałków, to temsamem i my mamy prawo sądenia zdrajców ludu i jego wolności.

BRACISZEK Z KLASZTORU JAKOBINÓW.

Niepotrzebnie jeno pobiliście rodziny ich i służbę, bo co wam przyszło z ich śmierci?

SIKORKA.

Doprawdy? Pobiliśmy ich, bo taka była nasza wola. Wszak lud wolny ma prawo sądzić i wyroki swe wykonać — inaczej nie byłby wolnym. Jakie miał prawo Marcel, takie i my mieć musimy.

BRACISZEK.

Mienie zdrajców marszałków miało być przeznaczone na prowadzenie wojny z Anglikami.

ZACZEK.

Wszak my będziemy prowadzili tę wojnę, więc biorąc mienie marszałków, wzięliśmy je na wojnę. Co tu dużo gadać. Jeżeli ma być wolność i panowanie ludu, to nam, ludowi, wolno robić co nam się podoba i co za dobre uznamy.

SEKATY KIJ.

Sir Hugon był skarbnikiem króla Jana, zdzierał z nas taksy przeróżne i z bogacił się niemi bezmiernie. Opowiadają, że w jego hotelu są niezmierne bogactwa.

SIKORKA.

Ja też słyszałem, że są tam stosy złota i srebra.

ZACZEK.

Wszak i one po sprawiedliwości są nasze.

SEKATY KIJ.

Nasze są, panującego ludu!

SIKORKA.

Więc kiedy one nasze są, bo z naszej krzywdy pochodzą, to wyrządźmy sobie sprawiedliwość i odbierzmy je.

SEKATY KIJ.

Tak jest, sprawiedliwość niechaj panuje. Trzeba się nam kiedy zebrać na naszym placu „des Miracles“ złożyć sąd i odebrać własność ludu.

ZACZEK.

Tak zrobimy, ale nie trzeba za wcześniej tego głosić, aby straż miejska nie przeszkodziła i ten jej naczelnik Henryk, który wszędzie zaczyna nos swój wściubiać i nową tyranie chciałby zaprowadzić.

SIKORKA.

Ha! ha! nie damy się. Kiedy wolność to wolność, a jak niema jej być prawdziwej, to niechaj sobie rządzi król, kiedy go na to pomazano olejem świętym, a nie jakieś Marcelle i Maillardy — kołtuny takie jak i inne mieszcuchy.

ZACZEK.

A ino! cóż to oni lepszego są od na przykład tego Marcina kupca, Grzegorza szewca, lub Jana piwowara.

SIKORKA.

Oto patrzcie, skończyło się „Te Deum“ i wszystko wali się z kościoła. *(Dzwon z Notre-Dame zaczyna bić, a dzwony wszystkich kościołów odpowiadają mu brmiącym akordem. Przewód napęnia się tym radosnym brzmieniem; z kościoła wychodzi Karol w błękitnym płaszczu, zanim biskupi, opaci klasztorów, rada królewska i czterystu deputowanych do generalnych stanów; schodzą wolno ze schodów, rozmawiając z sobą. Tłumy zgromadzone na placu poruszają się ku kościołowi falując wolno i ociężale, jak gęsta masa w ciasnem zamkniętym naczyniu. — Odgłosy podnoszą się).* Noël! Noël! Karol, regent Francji. *(inne)* Noël! Król Karol piąty! *(Ręce i czapki podnoszą się w górę. Obok regenta postępuje biskup z Laon Robert Le Coq).*

ROBERT *(do Karola)*.

Słuchaj Wasza Królewiczowska Mości, z jaką miłością wykrzykuje naród imię dawcy wolności. — Ojca odradzającej się Francji!

KAROL.

Bywają okrzyki ginące bez echa. Czy Francja będzie im echem? Lub może odbijając się one od bastyonów feudalnych panów i zagród włościańskich, przyniosą nam powrotnie inne zupełnie głosy; zaś brmiących tutaj dokoła duch czasu nie zrozumie lub zrozumie je inaczej. Wolność winna być owocem a nie kwiatem.

ROBERT.

Dziecku można też nadać pewną miarę wolności, aby raźniej i zdrowiej rosło.

KAROL.

Dziecku trzeba opieki rodzicielskiej silnej a rozumnej i sprawiedliwej, aby kiedyś w męzkim wieku umiało używać rozumnie wolności. *(Przechodzą w stronę czekających koni, a za nimi dygnitarze korony i duchowieństwo wyższe).*

JAN de PICQUIGNI (*idący obok Roberta, kanonika od Notre-Dame*).

Przy dzisiejszej uroczystości widzę dosyć licznie zgromadzone duchowieństwo, ale oprócz deputowanych, świeci rycerstwo swoją nieobecnością.

KANONIK.

Zobaczysz je sir, ale gromadzące się pod innym sztandarem!

JAN.

Mam nadzieję, że tak nie będzie, byle jakaś nieprzewidziana przyczyna nie popchnęła szlachty do opozycji.

KANONIK.

Daj Boże i wszyscy święci! Reforma, choćby najdonioślejsza i najmądrzejsza, wtedy przez ogół przyjęta bywa, jeżeli ten ogół jej pożąda, ale dobrodziejstwo największe, lecz nie upragnione, bywa zwykle niezrozumianem i ogół odpycha je bezmyślnie lub nadużywa beczelnie, przekręcając dla swego interesu ducha nieupragnionego dobrodziejstwa. Kto chce rzucać nowy posiew musi znaleźć rolę do niego przygotowaną.

JAN.

Zasmucacie mnie kanoniku, którego uczoność wszyscy wysoko cenimy.

KANONIK.

We mnie też niewesołe rodzą się myśli, choć podziwiam Marcela, jego wielkość duszy i szlachetne dążności — ale...

JAN.

Ale co?

KANONIK.

Trzeba mu było przyjść na świat o parę wieków później.
(*Ze schodów od katedry schodzą razem Marcel, Maillard i Wiktor rozmawiając ożywienie między sobą z twarzami rozpro-*

mienionemi radością. Tłum spostrzegłszy schodzących, podnosi namiętne okrzyki).

Noël Stefan Marcel. Noël ojciec ojczyzny. Noël wojownik wolności.

Noël!

(Marcel kłania się dziękując, a potem podnosi rękę oznajmiając, że chce przemówić).

GŁOSY Z TŁUMU.

Uciszcie się! uciszcie! sir Marcel chce mówić. *(Tłum ucisza się powoli i otacza w skupieniu Marcela i jego towarzyszy).*

MARCEL.

Dziękuję wam, dobrzy ludzie Paryża! Dziękuję za wasze uznanie mej pracy. Ale tak wielkiego dzieła wolności nie mógł i nie może dokonać jeden człowiek, więc ja go sam nie dokonałem, ale to, czego zaranie uroczyste dzisiaj święcimy, powstało za wspólną pracą wielu przyjaciół ludu, a mianowicie tych dzielnych mężów, wojowników wolności *(bierze za ręce Maillarda i Wiktora)*. Oto wielcy obywatele i przyjaciele wasi. Im tedy cześć oddajcie *(woła pierwszy)*: Noël Maillardowi! Noël Wiktorowi! *(kilka głosów powtarza)*: Noël im! *(gdy reszta tłumu wrzeszczy ciągle)*: Noël Marcel!

MARCEL.

Niesprawiedliwie czynicie dobrzy paryżanie. Jeżeli wobec was mam zasługę, mają też równą mojej i ci moi przyjaciele. *(Tłum powtarza ciągle okrzyk)*: Noël Marcel!

MAILLARD.

Daj spokój Marcel! Tłum każdej chwili czci jedno tylko bożyszcze, czci je niepodzielnie.

MARCEL.

Nie pragnę czci, gdy jej dzielić nie mogę z przyjaciółmi zarówno ze mną zasłużonymi!

WIKTOR.

Może kiedyś przyjdzie i na nas czas, ale dzisiaj nie. *(Tłum ciągle woła)*: Noël Marcel!

MARCEL (*do Maillarda i Wiktora*).

Głupi tłum! Chodźcie przyjaciele spocząć chwilę w gronie mojej rodziny.

MAILLARD.

Dziękuję ci, ale czekają mnie niecierpliwie w domu.

WIKTOR.

Ja też muszę przejrzeć i wygładzić moje sprawozdanie na jutrzejsze posiedzenie zgromadzenia stanów, więc dziękuję ci, ale muszę wrócić do mej pracy. (*Maillard i Wiktor odchodzą, każdy w inną stronę*).

MARCEL (*smutno patrząc za nimi*).

Zazdrość użarła ich w serce! Daj Boże, aby nie śmiertelnie. (*Ochodzą zasępiony, wśród okrzyków*): Noël Marcel!

* * *

Obszerna izba w chłopskiej chałupie z nieociosanego drzewa złożonej. We framudze dwa małe okienka i drzwi z desek nieobrobionych zbite, na wrzeciędzach drewnianych osadzone.

Na boku duży komin, w którym pali się ogień, a nad nim zawieszony na łańcuchu, baniasty kociołek żelazny.

Proste ławy przybite do ścian, takiż stół przy jednej z nich; naprost komina otwór, prowadzący do drugiej mniejszej sypialnej izby. Otwór przysłonięty płachtą. Kilka zydlów o trzech nogach nieociosanych. Przy kominie stoi bardzo duża dzieża z wiekiem, przy którym wisi skobel żelazny. Przy przeciwnej ścianie tapczan z desek zasłanych słomą i pokryty grubą płachtą tkaną z wełny, z poduszką słomianą. Cały tapczan stoi na grubych pieńkach ogołconych z kory i w ziemię wkopanych. Nad tapczanem krzyż prosty z dwóch rozłupanych patyków złożony, a pod nim kropielniczka gliniana. Podłoga wybita z gliny. Powwały brak zupełny, więc z izby widać belki i krokwie dachu słomianego. Przed kominem siedzi kot bury, a przy tapczanie kołyska z chrustu pleciona, ze śpiącym półrocznym dzieckiem.

Na półkach kilka garnków i mis glinianych z drewnianymi łyżkami w pośrodku.

Przed kominem stojąc, miesza w kociołku dużą warzechą młoda 15-letnia dorodna dziewczyna o ciemnych oczach i włosach a wesołej twarzy, patrząc z uśmiechem na drugą jasną blondynkę 17-letnią bujnie rozrośniętą, siedzącą w wielkiej zadumie na ławie pod oknem i zaplatającą lewy warkocz, gdy drugi zapleciony już sięga jej aż po za kolana.

Cisza w izbie, aż stojąca pod kominem wybucha głośnym śmiechem.

MARYANKA.

Ha! ha! ha! Jaka ty śmieszna jesteś Ludko, już trzy razy splatasz i rozplatasz warkocze nic o tem nie wiedząc, bo oczy twoje patrzą gdzieś, ale nic nie widzą. O czem ty tak myślisz, a widocznie myśli twe nie są wesołe, bo twarzyczkę masz zasepioną. Co ty za dziwną jesteś dziewczyną, za 4 dni

ma być twój ślub z Henrykiem Billot, z którym się serdecznie kochacie, a ty zamiast radować się i śpiewać piosnki wesołe, siedzisz pełna smutku i sama nie wiesz, że już trzy razy rozplatałaś i splatałaś warkocz.

LUDKA (*budząc się ze smutnej zadumy*).

Nie wiedziałam Maryaneczko, że tak robiłam. Prawda, że powinnabym być wesołą i czuć się szczęśliwą, bo Henia kocham oddawna i serdecznie pragnę być jego żoną i tatusia kocham bardzo i Linde, naszą macochę młodą i dobrą, będącą nam niejako siostrą i dzieciątko jej kocham. Ale choć miłość tyle radości daje, nie mogę Maryanko pozbyć się jakiegoś lęku, który od trzech dni przygniata mnie całą — nie mogę! Ciągłe staje przedemną straszny obraz, gdy ludzie rycerza Henryka a pana naszego, katowali tatusia, aby im dał więcej pieniędzy na opłatę wykupu rycerza, które on przyrzekł zapłacić Anglikom, tatuś miał już tylko pół talara zakopane w ziemi, przeznaczonego na moje wesele i mówił, że już więcej niema, a srogi Dawid bił go wołając: „musiałeś przecie złożyć jaki talarek na ślub córki, więc go daj, albo ci kości połamię“. Tatuś dać nie chciał tego, co dla mnie przeznaczone było; pocziwy tatuś, aż ja pobiegłam pod lipę, wykopałam pieniądź i dałam Dawidowi, aby zaprzestał bić tatusia, który już cały leżał skrwawiony, ale mniejsza o talarka i moje wiano!

MARYANKA.

Widzisz i mnie się ślepka załzawiły na to wspomnienie, biedny tatuś byłby może i życiem zapłacił, stojąc w obronie twojego mienia.

A wiesz co mówił ów pątnik aż z Marsylii przybyły, który tak dziwnie Fereol się nazywa, że gdybyśmy się były modliły do jego patrona, byłby on nas obronił od niedoli, bo on ma być bardzo potężny święty.

LUDKA.

Może, ale my nie znamy tych jego świętych, a musi i on sam czuć, że nasz Denis jest jeszcze większym świętym, kiedy aż z nad południowego morza pątnicy do grobu tego świętego przybywają.

MARYANKA.

A no, prawda to. Tydzień odpoczywa on u nas, gojąc pokaleczone nogi, a z nami spiera się o moc jego i naszych świętych. Zupa już gotowa, a tatusia, Lindy i pątnika nie widać jakoś; długo zabawiają się z szukaniem w borze grzybów, jagód i korzeni jadalnych, bo u nas już nic niema, a ostatnią garstkę mąki, sałat i krup gotuję dzisiaj, zaś soli to już była jeno szczypteczka i tę wrzuciłam do kotła. Święty Denisie! czemuż nie jutro żyć będziemy?

LUDKA.

Linda schowała w dziuple lipy woreczek mąki i krup, i przyniesie też garnuszek mleka od krowy, którą na nasze szczęście wypędziłam na paszę do lasu, gdy ta zbójcka banda sir Albrechta wpadła wczoraj do nas i wszystko, co było w domu zjadła i zabrała.

MARYANKA.

Mój ty święty Marcinie! jakież to straszne czasy nastały, ale nie ino u nas, bo pątnik gwarzy, że wszędzie widział to samo. Naród mrze głodem, a nawet z siół uchodzi do borów i jaskiń przed łupiestwem tych band zbrojnych ludzi, przeróżną mową gadających.

LUDKA.

Słyszę kroki, to nasi powracają. (*Wchodzi WIT, chłop 50-letni, LINDA czerstwa 25-letnia kobieta z garnuszkiem w jednej a koszykiem w drugiej ręce, za nią Fereol w pielgrzymim płaszczu, z wysokim kijem, trzymający kosz pełny grzybów*).

(*Dziewczęta podbiegają całując WITA w rękę i ściskając LINDE*).

LINDA.

Ostrożnie dzieci, bo wylejecie mleko.

WIT.

A macie zupeł gotową, bośmy bardzo głodni?

MARYANKA.

Zaraz będzie tatuńciu *(idzie do kociołka i miesza warzechą jadło gotujące się, zagląda do kotła)*. Zaraz będzie za trzy pacierze.

FEREOL *(stawiając kosz na stole)*.

Macie panienki cały kosz grzybów, bo święty mój patron wyraźnie wskazał mi miejsce, w którym one rosną.

LINDA *(postawiwszy garnuszek z mlekiem i koszyczek z jagodami na stole, zagląda do kotłyski i uśmiecha się do śpiącego dziecka)*.

WIT *(do Fereola)*.

Nie wasz tam jakiś święty, którego tutaj nikt nie zna, ale sam wielki Denis, wskazał wam polankę pełną grzybów, jak on i mnie wczoraj natchnął, że kazałem Ludce zaraz rano wygnać do lasu jeszcze nawet niewydojoną krowę, a Maryance nasze dwie kozy, bo byśmy ich dzisiaj już nie mieli.

LINDA.

Wit ma rację, gdyby mnie był wczoraj o świtaniu nie szepnął do ucha święty Synfroniusz, nie byłabym schowała w lipie nieco maki, soli, krup i kawałka słoniny.

FEREOL.

Ja nic przecie nie mówię przeciwko waszym świętym, bo sam pielgrzymuję do grobu świętego Denisa, ale moi dobrzy ludzie wiedzą, że największą łaskę u Chrystusa mają nasi święci Łazarz, Fereol i Wiktor.

MARYANKA.

Jeżeli za tak potężnych ich macie, to pocóż wam pielgrzymować jeszcze do naszego Denisa?

FEREOL *(siadając na ławie)*.

Otóżto! otóżto właśnie! Trafiłaś miła dziewczyno, więc muszę wam opowiedzieć jak się to stało, boście mnie jeszcze

o to nie pytali i czasu na to nie było. (*Dziewczęta i Linda przysuwają się do niego*).

LUDKA.

Opowiedźcie, prosimy.

FEREOL.

Moja świętej pamięci matka była rodem z Paryża, nazwiskiem Denisia, a przybyła z jednym kupcem Marcinem do naszej Marsylii. Ona do końca życia swego nie chciała uznać pierwszeństwa naszych świętych przed jej świętymi, a szczególnie przed Denisem, którego miała za samego Boga, mówiąc, że to on wszystkiem rządzi w niebie i na ziemi. Gdy przyszedłem na świat, straszna powstała sprzeczka pomiędzy moimi rodzicami. Matka chciała, abym był oddany opiece Denisa. Ojciec zaś, aby moim patronem stał się święty Fereol, a ostatecznie niechby Łazarz. Łzy mojej matki nic nie pomogły, bo ochrzczono mnie Fereolem, jak to od wieków był zwyczaj w mej rodzinie, że najstarszy syn miał patronem tego największego świętego.

LINDA.

A mówiliście w drodze, że świętego Łazarza ciało leży w waszym kościele, że on był przyjacielem samego Pana Jezusa i że Chrystus go umarłego wskrzesił, przeto tenże jest w wielkiej łasce u niego i w niebie.

FEREOL.

No tak ci bo jest, ale zawsze święty Fereol jest wyższy.

LINDA.

Dlaczego?

FEREOL.

Dlaczego? dlaczego? Wam takiej dobrej niewiaście powiem to. (*Nachylając się poufnie do Lindy, mówi półgłosem*). Święty Łazarz ma wielkie wzięcie u Pana Jezusa, ale Bóg Ojciec patrzy nań trochę koso, bo — bo widzicie Łazarz jest

tylko przechrztą, gdy święty Fereol był prawowiernym katolikiem z ojca i pradziadka. Proszę was zaś nie mówcie o tem nikomu, bo nie wypada, aby o tem sekrecie ludzie papłali.

LINDA.

No tak, to prawda, nie rzeknę o tem nikomu, nawet Witowi.

MARYANKA.

Mówcież dalej, bośmy ciekawe.

FEREOL.

Otóż, matka moja umierając, a umarła młodo, nie mogąc się przyzwyczaić do naszej zupy Buliales, zakłęła mnie, abym pielgrzymował do grobu świętego Denisa i prosił go o przebaczenie, że nie on jest moim patronem, gdyż mówiła, inaczej nie będzie się ni mnie, ni moim dzieciom szczęściło na ziemi po obrazie, jakiej doznał jej święty. Matka zmarła, a ja jako młody zapomniałem o jej słusznem żądaniu. Mając 22 lat, ożeniłem się z Emildą, a gdy urodził się mi pierwszy syn, dałem mu na chrzcie świętym patronem Łazarza (*na znak zdziwienia Lindy mówi dalej do niej samej znowu poufnie*), bo Łazarza, przyjaciela Jezusowego, widzicie lepiej tam sobie nie narażać, kto wiedzieć może, co się przytrafi, a tak ojciec ma Fereola za patrona, syn starszy Łazarza, a drugiego oddałem Wiktorowi, więc wszystkich trzech ująłem dla mej rodziny.

MARYANKA.

A potem?

FEREOL.

Potem! Och! potem w lat 15 syn mój Łazarz, którego też poświęciłem naszej świętej panience Maryi de la Garde, opiekunce żeglarzy, utonął w morzu. Och! od tego strasznego dnia codziennie matka moja pokazywała mi się we śnie zapłakana i gniewna, że nie odbyłem pielgrzymki do Paryża, do jej świętego, wyrzekając, że przez moją niedbałość utonął jej wnuczek.

Cóż miałem robić, trapiiony każdej nocy narzekaniami świętej pamięci matki? Poszedłem najprzód pomodlić się do kościoła naszych trzech wielkich świętych, wytłómaczyłem każdemu z nich, że muszę pokłonić się świętemu mej matki, bo inaczej nie będę miał od niej spokoju, aby mi tego za złe nie brali, co przecie zrozumieć musieli. No i poszedłem w tę daleką drogę. Pątniczę ja do waszego świętego Denisa, ale wy powiedzcie mi, co był on za jeden!

LINDA.

Mówiłam wam, że jest on największym świętym, rządzącym losami wszystkich ludzi.

FEREOL.

No tak, to mówiliście takusieńko jak i moja świętej pamięci matka, ale czy on był prawym katolikiem, z katolickiej rodziny, czy — *(nachyla się i mówi do Lindy przyciszonym głosem)*, czy może jakim przechrztą?

LINDA *(oburzoną)*.

Co znowu gadacie, że aż grzech słuchać! Przechrzta? widzicie go! Święty Denis pochodził z największej katolickiej rodziny, a był on... był on może i synem Karola wielkiego, cesarza Rzymu i całego świata, którego święto my tutaj co roku obchodzimy, a proboszcz gadał na ambonie, że Karol był największym cesarzem.

FEREOL *(zdziwiony)*.

Pi! pi! Synem cesarza rzymskiego i to Karola wielkiego, to on tam, ho! ho! niepoślednie zajmuje miejsce w niebie i pewnie siaduje obok samego Boga Ojca! Karola wielkiego? proszę! No nie dziwuję się, że matka moja wierzyła w jego moc. Myśmy też w Marsylii coś nie coś słyszeli o tym cesarzu Karolu, ale on musiał być dawno, bo i najstarsi ludzie nie pamiętają go.

LINDA.

Moi wy, moi! Było to tak dawno, że tego i wypowiedzieć nie można, a może jeszcze i za pogańskich czasów.

WIT (*przystępując do mówiących*).

A wszędzież widzieliście tyle niedoli co u nas?

FEREOL.

W naszej pięknej Prowancyi spokojnie było, ale już pod Lyonem zacząłem spotykać bandy żołnierzy, rabujące wszystko i męczące ludzi w okropny sposób. Dalej już na północ były bandy Griffith'a i znowu angielskie Roberta Knolles'a i znowu najgorsze Niemców Albrechta i Franka Hennekin'a. Ci nie-przepuszczali nikomu, a nawet burgi rycerzy zdobywali i do miast wpadali robiąc wszędzie straszne zniszczenie, zaś około Chôme, spotkałem rozpasanych francuskich grabieżników pod wodzą Arnolda de Cervales z Tallerandów de Perigord domu, którego żołnierze zwią arcyksiędzem, bo ma on mieć wiele beneficjów duchownych, ci też o mało niedorównują Niemcom łupieżcom.

LINDA.

O Jezusie, toż to nie daleko od nas.

FEREOL.

A nie daleko, ale oni szli więcej na wschód, więc może o was nie zawadzą, chyba jaki boczny odddział za jadem rozbiegły.

LINDA.

O! święta panno z Oray, strzeżże nas od nich!

WIT (*gładzi po głowie Ludkę przelektą*).

Ty się nie troskaj dziecino. Spotkałem w lesie Henryka, który dowiedziawszy się o rabunku u nas, dostał w swojej wsi od przyjaciół co tylko będzie potrzeba na wasze wesele, a i on sam niedługo się tutaj zjawi. Nawet tyle będziesz miała mąki, że ta stara ogromna dzieża, z której piekał się chleb dla sześciu domów (naraz, napelni się pojutrze i ty z niej chleb upieczesz dla weselných gości.

LUDKA (*całując ojca*).

Dobrzyście dla mnie tatusiu ukochany, a wasze rany czy się już pogoiliły, coście je dla mnie ponieśli?

WIT.

Co tam! Chłopska skóra rychło się goi, ale żal mi tego półtalarka.

LUDKA.

Mnie was żal sto razy bardziej!

WIT.

Dobrześ ty dziecko. (*Całuje ją w głowę*).

MARYANKA (*przez ten czas wylatała zupełnie z kociołka na donicę, postawiła ją na stole. Przyniosła potem łyżki drewniane z półki i wesółym głosem wołając: Zupa gotowa! — Patrzy przez okno i z przestrachem odskakuje od niego*).

Święty Denisie! Jakaś kupa zbrojnych zbójów wali prosto do nas! (*Wszyscy, którzy pobrali łyżki, stoją w przerażeniu, zaś pierwszy Fereol zbliżywszy się do okna, patrząc w nie woła*).

FEREOL.

Święty patronie! to żołdacy arcy-księdza.

(*Popłoch czyni się ogólny, Linda staje przy kotłyszce dziecka, gotowa do jego obrony*).

LUDKA (*chwytając się za serce, mówiąc do siebie cicho*).

Och mój lęk i moje przeczucie!

WIT (*chwytając za siekierę stojącą w kącie*).

(*Drzwi otwierają się z trzaskiem, wchodzi przez nie dziesięciu zbrojnych*).

MATEUSZ (*starszy zbrojnych podniesionym głosem*).

Cóż to żaku, dobry człowieczyno, nie wychodzisz przywitać gości? A! zupa na stole, to dobrze i gościnnie z twej

strony, że ją dla nas przygotowałeś, — byle dobra była (*idzie i biorąc łyżkę, kosztuje zupy, skrzywiając się*). Ani mięsa, ani omasty w niej niema. Dawajcie czem omaścić!

WIT (*widząc przemoc, stawia siekiere*).

Nie mamy już czem omaścić, bo wszystko zabrali Anglicy wczoraj, a ledwie te ostatki jałowe zostały na nasze pożywienie, zaś co jutro jeść będziemy? Chyba korzenie i grzyby z lasu. Ale jedzcie panowie rycerze, jeżeli wasza wola.

MATEUSZ.

Wy niby zawsze nic nie macie, gdy zgłodniały żołnierz potrzebuje się pożywić, ale pewnie gdzieś w kącie schowaliście mięso i sperkę. Dawajcie je tutaj!

WIT.

Klnę się na Boga i wszystkich świętych panie rycerzu, że Anglicy wszystko zabrali, a ta zupa przez moje dziewczki zgotowana jest ostatnim zasobem mej nędzy.

MATEUSZ.

Lżesz psie, bobys ani ty, ani twe dziewczki nie wyglądały tak pulchnie, gdyby jadały jeno taką jałową polewkę (*patrząc na kobiety*). To wszystkie trzy twoje córki?

WIT.

Te dwie, to moje córki, a tamta, to moja żona.

MATEUSZ.

W zbytku żyjesz mój żaku, mając aż trzy takie ładne babięta przy sobie. (*Idzie z uśmiechem do Ludki, bierze ją pod brodę i podnosi jej głowę do góry i patrzy na nią*). Fiu! Fiu! i sam sir Arnold nie pogardziłby taką dziewczoją! (*Ogląda się na inne trzymając ciągle Ludkę za bródkę*). No i tamte niczego. (*Idzie do Maryanki, poklepując ją po ramieniu*). Młódka jeszcze, ale i ona niczego, nietylko dla spragnionego żołnierza. (*Idzie do Lindy i chce też podnieść jej głowę spuszczoną*).

LINDA (*odstępując krok w tył i prostując się*).

Odstąpcie rycerzu, jam jego żoną i matką.

MATEUSZ (*śmiejąc się*).

No, to mniej zachęcające, ale my nie gardzim piękną niewiastą i matką. Prawda chłopcy? (*Odzywa się do swoich, którzy przez ten czas pochwycili łyżki i rażno spożywają zupę*).

ROCH (*żołnierz*).

Nie gardzim panie dziesiętniku, szczególnie, gdy podjemy sobie.

MATEUSZ.

To wy draby żrecie, a mnie nie nie zostawicie. (*Idzie, odtrąca jednego, wydiera mu łyżkę i zasiada, przysuwając sobie miskę i zaczynać jeść*).

Jak trzeba szukać czego dla żołnierzy, to wołacie: „Panie Mateuszu — Panie dziesiętniku, my głodni i spragnieni, a jak ja wasz starszy co wywęszę i znajdę, to wy niewdzięcznicy pierwsi do miski. Aby was paraluż pobił takie syny niewdzięczne. (*Dziewczęta chcą cichaczem wyjść z izby — Mateusz spostrzega skradanie się ich ku drzwiom i woła*). A dokąd pta-szczki moje, dokąd to się wymykacie. Gościnność nakazuje wam bawić gości. (*Dziewczęta robią jeszcze krok ku drzwiom, wtedy Mateusz do żołnierzy*). A wy gapie zgłodniałe, na miskę tylko wybałuszające ślepią, zawrzyjcie drzwi, bo nam nasze zabawki ujść gotowe. Dawajcie je tutaj do mnie na ławę. (*Żołnierze ze śmiechem rzucają się, zastępując dziewczętom od drwi, które zamykają, chwytają obydwie wpół i przynoszą do Mateusza, sadzając je siłą po obydwu jego stronach. Wit poskoczył, chcąc je obronić, ale dwóch żołnierzy odtrąciło go tak silnie, że upadł w tył na ziemię. Linda przybiega do Wita i dźwiga go z troską. Mateusz rzuca łyżkę młodszemu żołnierzowi, któremu ją wyrwał ze słowami*): Masz jedz, bo ja wolę tę potrawę! (*przy tych słowach, obydwie siostry trzymane przez żołnierzy, obejmuje wpół i przyciska do siebie*). To wolę od jałowej zupy! (*Chce Ludkę pocałować w twarz, ale ta mu głowę gwałtownie rękami odpycha, zaś Maryanka robi wysiłki, aby się uwolnić od żołnierskiego uścisku*).

MATEUSZ.

Oj dwie naraz to za wiele. Daruję ci Rochu tę mniejszą sroczkę, bierz ją sobie. A ty Gillu za to, że przedwczoraj byłeś ostatnim, bierz sobie dzisiaj pierwszą tę trzecią.

GILLE (*rzuca łyżkę i biegnie do Lindy, chowającej się za Wita. Wit chwytą Gilla za piersi i odtrąca go wołając*).

WIT.

Na rany boskie panowie rycerze, nie czynicie gwałtu w chrześcijańskim domu.

MATEUSZ (*puszcza Ludkę i rzuca się do Wita*).

Ty nędzny żaku śmiesz opierać się i jeszcze targać żołnierzy sir Arnolda de Cervales. Ty psie jeden masz na pierwsze danie (*uderza Wita w twarz*).

WIT (*pochyliwszy się pod ciężkim ciosem, prostuje się z oczami pełnemi niehamowanej wściekłości*).

Panie rycerzu, bierzcie, co w chacie znajdziecie nie mam siły oprzeć się wam, ale żony mej i córek nie tykajcie, bo i ja człowiek i będę ich bronił do ostatniej kropli krwi. (*Mówiąc to, porywa siekierę i staje w obronnej postawie przed żoną*).

MATEUSZ (*cofa się przed groźną postawą Wita, potem woła na swoich*).

Ano chłopcy zasłonić się tarczami od siekiery i brać go żywcem, nie zabijając. (*Żołnierze porywają tarcze zarzucone na plecy i zastawiając się niemi uderzają na Wita, ten tnie z całej siły Gilla, tak że siekiera przebiła tarczę i w niej uwięzła, ale Gilla skaleczył w rękę. Inni rzucają się na niego, pomimo obrony żony i obalają go na ziemię. Ludka i Maryanka chcą ojcu przyjść z pomocą, ale chwytają je Mateusz i Roch i przytrzymują krzyczące*).

LUDKA i MARYANKA.

Tato! Tato nasz ukochany!

MATEUSZ.

Bicz! Ty zawsze masz sznur ze sobą, więc zwiąż chłopu ręce i nogi.

(Bicz wiąże Witowi trzymanemu na ziemi ręce i nogi. Gille rzuciwszy przelupaną tarczę, daje sobie swemu koledze związać ramię, lekko skaleczone. Dwóch żołnierzy trzyma Lindę szamoczącą się).

MATEUSZ *(staje nad związanym Witom).*

Żebyś chłopie okazał się potulnym, bylibyśmy cię tylko za drzwi wyrzucili, a tak kiedyś porwał się do siekiery i jeszcze Gilla skaleczyłeś, to *(ogląda się po izbie, a zobaczywszy ogromną dzieżę, otwiera ją)*, to schowamy cię do twojej dzieży, a stamtąd będziesz słuchał z zadowoleniem, jak my się będziemy tutaj bawili, w dzieży wolno ci krzyczeć i wrzeszczeć jak ci się podoba.

(Dziewczęta i Linda klękają, podnosząc ręce błagalnie do Mateusza).

LINDA.

Litości błagamy!

LUDKA.

Ulitujcie się! nie męczcie ojca. Całe życie pocziwym był człowiekiem.

MARYANKA.

Nas pobijcie, ale ojca zostawcie w spokoju. — Litości rycerze!

MATEUSZ *(ze śmiechem).*

Was gołębiczki nie pobijemy, ale was po żołniersku utulimy, ilu nas jest tutaj, dziesięciu, a chłop niechaj sobie siedzi w mące, a zobaczycie jaką śmieszna minę będzie miał omączony — w bezwładnej złości i z mąką na nosie.

ŻOŁNIERZE *(śmieją się chórem).*

Ha! ha! ha! Jaki on śmieszny będzie.

ROCH.

Do dzieży go. My już wiemy, jak mu tam będzie, bośmy tę zabawę już nieraz robili.

MATEUSZ.

Do dzieży z nim.

FEREOL (*który schował się w kąt — do Mateusza*).

Rycerzu, zlituj się nad niemi!

MATEUSZ.

A ty kto jesteś?

FEREOL

Pątnik. Ale...

MATEUSZ (*bierze go za kark*).

Ale... wynoś się (*wyrzuca go za drzwi*).

(*Żołnierze wloką Wita do dzieży i pakują go do niej*).

WIT.

Niechaj was Bóg pobije piorunem, zbóje, poganie, łotry!
(*Mateusz zamyka za nim wieko i skobel zakłada. Roch trzyma szarpiącą się i gryzącą go Maryankę. Drugi żołnierz z Gillem Lindę, a trzeci Ludkę przyciska do ściany i całuje ją*).

MATEUSZ (*odwracając się, odrywa żołnierza od Ludki, mówiąc ze śmiechem*).

Łotrze puść ją, teraz ona moją jest, a potem oddam ci ją na drugą kolej.

LUDKA (*pluje mu w twarz*).

Tyle mam dla ciebie zbój.

GILLE (*do Lindy*).

Okaleczył mnie twój chłop, ale ja dobry chrześcianin i miłością zapłacę za mą krew.

LINDA.

Zlituj się i przelej moją.

GILLE.

Nie głupim! coby mi przyszło z ciebie nieżywej. Trupów nie lubię tulić w ramionach.

(Mateusz, Roch i Gille rzucają się na trzy kobiety, walczące z niemi do ostatniego. Dziecko zaczyna płakać z całych sił. Kot bury przelekniony wskoczył na dzieżę, jako jedyne najwyższe miejsce, zjeżył się cały, grzbiet wygiął w kabłąk, parska i pluje. A z dzieży wydobywają się przytłumione krzyki wściekłości i przekleństwa. Reszta żołnierzy zasiada do opuszczonej misy i je zupę, pokładając się ze śmiechu).

*

*

*

Gabinet Marcela w ratuszu.

Pod ścianami stoją wysokie rzeźbione szafy z oddziałami, na których poustawiane rulony pergaminów, częścią zamknięte w puszkach, częścią otwarte.

Na środku stół duży z rozrzuconymi pergaminami, z wielkim kałamarzem z brązu. Kilka foteli koło stołu. Na boku też stół mniejszy i fotele koło niego.

MARCEL (*siedzi na fotelu o wysokiem oparciu przy dużym stole, przeglądając pergamin.*

Wszystko dobrze się układa. Henryk donosi, że parlamenty zaczynają regularnie funkcjonować. Taksy przeznaczone na wojsko wpływają do kas miejskich. Oh! żeby też rychło można było mieć te 30.000 żołnierzy, zaraz zacząłbym tępić te bandy zbrojnych drapieżników, niszczących kraj w okropny sposób. (*bierze drugi rulon*). Zobaczymy co pisze Wiktor. On i Maillard stali mi się nieco osobiście niechętnymi, ale sprawie naszej służą wiernie i gorliwie.

LUDWIK PETIT (*wchodzi*).

Jakiś starzec w stroju pustelniczym domaga się koniecznie widzenia z tobą.

MARCEL (*czytając*).

Powiedz niechaj przyjdzie kiedy indziej, bo dzisiaj nie mam czasu.

LUDWIK.

Możebyś go kazał wpuścić, jest on bardzo stary i widać po nim, że przybył zdaleka.

MARCEL.

Ależ mój drogi, ja teraz nie mam czasu na rozmowę z pierwszym lepszym. Nie mam go nawet na zjedzenie

obiadu w gronie mojej rodziny. Skądże go wezmę dla każdego pragnącego pogawędki ze mną.

LUDWIK.

Wszak dawniej nie odtrącałeś nikogo od siebie.

MARCEL (*z początkiem irytacji*).

Dawniej, dawniej, to nie dzisiaj! Dawniej miałem czas, a teraz go nie mam.

LUDWIK.

A jeżeli ten człowiek ma prośbę do ciebie?

MARCEL.

Oh! Tych prośb już jest tyle! Wysłuchaj tej jego prośby i załatw ją, jeżeli można będzie, ale ja stanowczo czasu nie mam.

LUDWIK (*z lekkim wyrzutem w głosie*).

Stefanie, bądź dobrym dla biednych ludzi, jak nim byłeś dotąd, oni cię kochają i w tobie pokładają nadzieję ulgi w tem co ich boli. Bądź zawsze dobrym, przyjacielu!

MARCEL.

No dobrze, już dobrze, sprowadź tutaj tego natręta, ale powiedz mu z góry, że bardzo mało mam czasu.

LUDWIK.

Dziękuję ci! (*wychodząc spotyka się w drzwiach z Ewonem, wpadającym szybko i uszczęśliwionym*).

EWON.

Sir Marcel! Sir Marcel! To dobry ojciec Zacharyasz przyszedł do was. Tak się ucieszyłem jego widokiem, że po trzy schody biegnę naraz, aby wam tę radosną oświadczyć nowinę.

MARCEL (*zrywając się*).

Ojciec Zacharyasz! A proszę go zaraz. Biegnij! (*Ewon wybiega*).

LUDWIK.

Więc ten starzec to Zacharyasz? Widzisz jak to dobrze, że serce ci zmiękło i nie odprawileś starca bez widzenia się z nim.

MARCEL.

Któż mógł przewidzieć, że to on był *(szybko idzie ku drzwiom, otwiera i woła radośnie)*. Tędy kochany ojcze!

(Ewon wchodzi z Zacharyaszem. Marcel już we drzwiach całuje go w ramię i ściska, a Zacharyasz go w głowę).

MARCEL.

Ojcze kochany, a czemuż nie powiedzieliście zaraz waszego nazwiska? Byłbym porzucił wszystko i zbiegł do was.

ZACHARYASZ.

Nie wiedziałem synu, że nie każdego teraz dopuszczasz do siebie.

MARCEL.

Wybaczcie, ale tyle mam zajęcia, że pomimo pragnienia serca już trzeci miesiąc jak nie odwiedziłem was; ale spoczniście ojcze *(prowadzi go i sadza na jednym z foteli)*.

ZACHARYASZ.

Wiem, że nie miałeś czasu i to zupełnie rozumiem, dlatego też sam tutaj przybyłem.

MARCEL.

Dzięki wam ojcze! Mówiłem wam nieraz o wiernym moim przyjacielu Ludwiku Petit — oto on jest *(pokazuje na Ludwika)*.

LUDWIK.

Wdzięczny jestem losowi, że mi was ojcze zobaczyć i poznać pozwolił. *(całuje go w rękę)*.

ZACHARYASZ.

Znam cię przez Marcela *(całuje go w głowę)*. Bądź zawsze wiernym świętej sprawie i twemu przyjacielowi.

LUDWIK.

Tylko śmierć rozłączy mnie z nią i Marcelem.

MARCEL.

Kochany Ludwiku, skocz proszę zaraz do Maillarda i powiedz mu, że ja teraz przyjść nie mogę na posiedzenie wydziału, więc niechaj na mnie zaczekają. Przyjdę dopiero wieczór po Angelusie.

LUDWIK.

Żegnajcie mi ojcze, modlitwom waszym się polecam (*wychodzi*).

MARCEL.

Przecie posilicie się czem po tak dalekiej drodze.

ZACHARYASZ.

Kawałek chleba i wody trochę wystarczy mi.

MARCEL.

Skoczże Ewonie i przynieś tutaj jaki posiłek ojcu.

EWON.

Zaraz przyniosę od was sir (*całuje Zacharyasza w obydwie ręce, przyklękając przed nim i wybiega*).

MARCEL (*rozradowany siada blisko Zacharyasza i jeszcze całuje go w rękę*).

Jakże się cieszę, że was widzę, że podzielić się z wami mogę radością płynącą z powodzenia naszej sprawy. Pamiętacie ojcze, wasze wątpliwości, czy czas już nadszedł do czynu. Otóż skutek okazał, że on już nadszedł do urzeczywistnienia naszych marzeń. Wszystko, wszystko powiodło się jak najlepiej możebnie. Generalne stany zamieniły w prawo wszelkie nasze zamiary. Mamy radę korony z 36 najzaciejniejszych mężów złożoną. Parlamenty regularnie odprawiają sądy. Uchwalono taksy na postawienie i uzbrojenie 30.000 wojska, a nadto każdy Francuz winien uzbrojony stawać w obronie ojczyzny. Ustanowiono prawo normujące pobory, zakazano pod gardłem prowadzenia wojen pomiędzy braćmi, jakoteż przyjmowania

służby u obcych, bo każdy miecz winien służyć tylko Francji. Widzicie tedy kochany ojcze, że mamy prawo radowania się nadzieją odrodzenia ojczyzny i ludzkości. Tyle zrobiliśmy już w sprawie panowania wolności i sprawiedliwości i przygotowania narodu do walki z najazdem angielskim.

ZACHARYASZ.

Cieszę się niewymownie mój synu, że Bóg błogosławił dotąd twoją szlachetną pracę. Cieszę się z całego serca. Ale zanim Ewon powróci, powiedz mi czy jesteś z niego zadowolony.

MARCEL.

I bardzo ojcze! Jest on nad swój wiek rozumny, a tak bezgranicznie pokochał sprawę szczęścia narodu, że jeno obawiam się, aby jego serce i zapalna głowa, nie skłoniły go do jakiegoś bezpotrzebnego poświęcenia się.

ZACHARYASZ.

Strzeż mi ty tego chłopca, bo głowa jego jest mi bardzo drogą.

Mówiłeś, że macie postawić 30.000 wojska narodowego. Jest to prześlizchny zamiar, ale macie kogo, aby to przyszłe wojsko wyćwiczył i umiał powieść do zwycięskiego boju?

MARCEL.

Nie mamy dotąd wodza, bo nikt z nas nie jest mężem wojennym, ale będziemy go gorliwie szukali. Wódz nasz musi być albo sławnym bojownikiem, albo przynajmniej pochodzić z panującego rodu, gdyż inaczej dowódcy nie będą go ślepo słuchali.

ZACHARYASZ.

Tak jest. Gdyby Anglicy pobili was, mając rotę waleczną, wyćwiczoną i dowódców sławnych, toby po klęsce całe dzieło wasze runąć mogło więc też szukajcie na wodza najodpowiedniejszego męża.

MARCEL (*frasobliwie*).

Mnie nieraz aż głowa boli, gdy myślę nad tym wybo-rem, ale byleśmy mieli sumienia czyste, liczymy, że Bóg i Jego święci natchną nas i wskażą takiego człowieka. Czas mamy długi do szukania, bo wojska dotąd jeszcze niema.

ZACHARYASZ.

Jakże z duchowieństwem i szlachtą. Czy oni są za wami?

MARCEL.

Duchowieństwo dosyć chętnie przyjęło nowe urządzenia. Szlachta zaś dotąd poddaje się im z rezygnacją. Zresztą abyśmy tylko posiadli raz wojsko, to ono przy pomocy naszych milicyi, zmusi dumne rycerstwo do posłuszeństwa prawu. I tak ojcze drogi, odrodzimy naród, zaprowadzimy wolność na prawie bożem i sprawiedliwości opartą, z ładem i posłuchem takiemu prawu (*uradowany zaciera ręce*).

ZACHARYASZ.

Zmęczyłem się daleką drogą, ale szedłbym i rok, aby mnie w końcu tejże spotykała taka jak dzisiaj radość. Ale powiedz mi jeszcze, bo słyszałem, że czerń miejska popuściła wodze swym najgorszym instynktom: rabunku i gwałtów. Wiem już o gwałcie i mordzie popełnionym na rodzinach i mieniu marszałków, a potem opowiadano, że ta tłuszcza uczyniła to samo z hotelem Hugona, skarbnika króla Jana.

MARCEL.

Niestety tak było, ale kazałem powiesić 24 uczestników tej rozbójniczej swawoli. Przykład zdaje się był skuteczny, bo odtąd tłuszcza z placu „des miracles“ warczy jeno głucho, ale ruszyć się nie śmie.

ZACHARYASZ.

To dobrze! Strzeż ty Stefanie dziewictwa całego ruchu. Niechaj go nie splami żadna przemoc, żaden gwałt, żadne bezprawie, aby był czystym... a... jeżeli nawet upaśćby miał, aby po nim została najczystsza pamięć, iżby kiedyś znowu odrodził się z tradycją li tylko cnoty i miłości dobra! Nado

wybryki mas, gdybyście im folgowali, zapędziłyby wszystkich, nawet i miasta do obozu przeciwników waszych.

MARCEL.

Wszak walczymy w imię miłości chrześcijańskiej, ładu i sprawiedliwości, więc nie dla nas podnoszenie gwałtu i bezprawii, a przytem nie nas przecie nie zmusza do imania się podobnej broni!

ZACHARYASZ.

Amen!

Jeszcze jedno powiedz mi synu. Czy prawdą jest co ludzie głosić zaczynają, że król Jan ma założyć protest przeciwko wszystkim uchwałom generalnego zgromadzenia i wezwać wszystkich Francuzów do chwycenia za oręż w obronie wszelkich praw jego?

MARCEL (*nieco zasepiony*).

To, co ludzie opowiadają muszą być proste bajki. Zresztą, gdyby więzien angielski popełnił taki czyn niepatryotyczny, to kto usłucha jego protestu? Może tu lub ówdzie podniesie głos jakiś baron feudalny, nibyto w sprawie króla, a w rzeczywistości w obronie własnych nadużyć, ale ogół nie pójdzie za nim, gdy pełne zgromadzenie stanów uchwaliło wszystkie reformy. Głos taki rychło przycisną nasze milicje, zresztą wszyscy jasno widzą, że co robimy, robimy li tylko dla szczęścia narodu. Nie! Takiego protestu nie usłucha nawet rycerstwo!

ZACHARYASZ.

Daj Boże! aby protestu nie było! Bo widzisz Stefanie, każde nowe prawo, a cóż dopiero ograniczające samowolę przywykłych do takowej, musi mieć swoich przeciwników, a ci chętnie chwytają się każdego legalnego pozoru sprzeciwienia się niedogodnemu im prawu; tak było po wszystkie wieki i tak będzie zawsze.

EWON (*wchodzi z koszykiem w ręku*).

Przynoszę posiłek kochanemu ojcu! (*stawia na stole wodę, wino, chleb i zimne mięso*).

ZACHARYASZ.

Dziękuję ci kochany synku.

MARCEL (*podając rękę Zacharyaszowi*).

Siadźcie ojcie i posilcie się, a potem pomówimy jeszcze o wszystkim. Opowiem wam szczegóły tego, co zrobiono już i projekty tego, co jeszcze zrobić zamierzamy. Wiktor zaś pisze na prawie rzymskiem oparty kodeks. Bo nie zapominamy i o piękącej potrzebie zastąpienia sądów bożych, sądami ludzkimi wedle wzorów starożytności.

Siadajcie ojcie proszę!

(*Zacharyasz siada, a Ewon i Marcel usługują mu*).

* * *

W małej salce w Provins przytykającej do sali posiedzeń zgromadzenia stanów Champanii, siedzą naprzeciwko siebie regent Karol i biskup Hugon z Provins. Przez zasłoniętą kotarę słychać przytłumiony gwar zgromadzenia.

BISKUP.

Trudno Ksiaże rozkaz króla spełnić musicie, będąc tylko regentem Francyi, boby inaczej osłabła powaga korony, a jej osłabienia dopuścić nie można, gdyż w jej tylko mocy jest ratunek kraju i jego przyszłość. Ale lepiej będzie dla waszej królewiczowskiej mości, aby do odwołania uchwał reformatorskich przyczyniło się żądanie stanów Champanii.

KAROL.

Tak, po krwawych zajściach w Paryżu oni wszyscy będą żądali odwołania i ukarania winnych.

BISKUP.

Niezawodnie, ale oprócz spełnienia woli króla i zdrowa polityka nakazuje koronie znieść prawa wydane przez zgromadzenie generalnych stanów.

KAROL.

W tych uchwałach jest wiele dobrego, a wy sami księżę biskupie głosowaliście za niemi.

BISKUP.

Mnie też jako i innych porwała podniosłość chwili i wymowa Roberta z Laon, Marcela, Wiktora z Abbeville i de Picquiniego, ale potem przyszła refleksya i zimne ocenienie całej sprawy.

KAROL.

A teraz po refleksyi jak sądzicie?

BISKUP.

Naprzód reformy uchwalone w żaden sposób w naszej epoce przeprowadzić i ustalić się nie dadzą, bo całe rycerstwo sprzeciwi się im czynnie, gdyż w konsekwencji reform musiałby upaść ustrój feudalny, na którym opiera się dotąd organizacja państwa. Byłby to skok za nagły, do którego Francya nie jest przygotowaną. Gdyby wola korony nie zniosła teraz zaraz reform, to one powoli zjedną sobie zwolenników w miastach — i nastąpić musi walka na śmierć i życie pomiędzy miastami a rycerstwem. Miasta zagrożone w swym bycie przez ogromną przewagę rycerstwa, chwycą się ostateczności i podburzą cały, najwięcej cierpiący, niewolny lud wiejski. Lud ten podburzony a pełen rozpacz, rzuci się do rzezi i zniszczenia. Kto zwycięży, mniejsza o to, ale zwycięży rycerstwo. W każdym razie Francya popadnie w jeszcze większą niemoc i stanie się łupem Anglika, przywracającego porządek i swym mieczem zabezpieczającym żywot reszcie niedomordowanych Francuzów.

KAROL.

Czuję, że wiele jest prawdy w tem, co mówicie księżu biskupie, lecz przyznacie też, że niezmiernie wiele złego nagromadziło się w kraju. Te bandy najemne łupią go w najohydniejszy sposób, a całe ich masy, wałęsają się wszędzie i żyją na koszt spokojnego rolnika i mieszczanina. Rycerstwo uciska też w niemożliwy już sposób tego rolnika, a tylko miasta otoczone murami, bronią się od ruiny.

BISKUP.

Znam ja ten oplakany stan i nad nim boleję. Droga gwałtownego przewrotu poprawa tych stosunków jest niemożliwą, bowiem za potężnym jest jeszcze feudalizm, a on nie da się zdmuchnąć naraz i nie ugnie czoła przed garsteczką entuzyastów, jakimi są przywódcy obecnego ruchu, jest to nieprzypuszczalne. W polityce z siłą się liczyć musi, a siła jest po stronie rycerstwa.

KAROL.

Więc co robić?

BISKUP.

Francję obronić i potem urządzić, może jeno korona, byle przestała być zależną od dobrej woli lenników a posiadała własną siłę zbrojną. Korona tylko powoli i loicznie pracując, podoła z wolna ograniczać samowolę feudalnych baronów i podciągnąć ich pod ogólne prawo, w koronie początek biorące. Jej jednej oni pozwolą się zwalczać i jej dozwolą z czasem ograniczyć swe prawa.

Feudalizm jest skutkiem zaboru, przewagi silniejszej i zwartej mniejszości Franków nad luźną większością Gallów. Był on niezbędnością zaboru, lecz dzisiaj stał się plagą narodu. Niestety to zło długo jeszcze potrwać musi.

Staro rzymskie „*Vae victis*“ rządzi do dziś dnia Francją. Jest to przekleństwem złego czynu — gwałtu zaboru!

Wyrwać go z korzeniem jednym wysiłkiem, jak to sądzi Marcel, jest niepodobieństwem, trzyma się ono tej ziemi licznymi korzonkami. Podcinać je trzeba powolnie i pojedynczo — a dopiero gdy pasożyt najazdu osłabnie, można z nim skończyć — ale po wiekach dopiero.

Ukoronowany wódz podzielił ziemię i prawo nad zawojowaną ludnością pomiędzy swych wojowników w zdobytym kraju.

Tylko korona podoła usunąć feudalizm, byle siłę posiadała, miała rozum, dobrą wolę i wytrwałość.

Jeżeli będzie czekać wasza miłość, wojna zajadła wewnętrzna wybuchnąć musi, a wy też książę regencie będziecie musieli oświadczyć się po jednej z walczących stron. Pójdziecie z miastami, wtedy rycerstwo uważające się za cały naród, ogłosi was za wroga narodu i gotowe chwycić się ostateczności i zmienić dynastję. Oświadczycie się po stronie rycerstwa wzmożecie jeno jego wrogą koronie i postępowi potęgę i pognebiecie miasta, gdy polityką przodków waszych było podnoszenie ich, tworzenie w nich milicji zbrojnych, aby z ich pomocą zwalczać nieposłusznych baronów, a z czasem z pomocą tych milicji wytworzyć wojsko królewskie, bez którego nie ustanie nigdy zależność siły korony od dobrej woli baronów.

KAROL.

Znosząc reformy, czyż nie wywołam wojny domowej?

BISKUP.

Nie! Będzie wam potrzeba zgnieść jeno opór paryżan, a raczej ich naczelników, bo inne miasta niezrozumiały dotąd doniosłości dla nich uchwalanych reform i one nie rozpoczną walki.

KAROL.

W ten sposób chaotyczny stan wewnętrzny musi trwać ciągle.

BISKUP.

Mówiłem, że zwolna królowie zmieniać go będą na lepszy. Matka nasza, święty Kościół katolicki dąży nieustannie do postępu ludzkości, do panowania prawa na nauce objawionej opartego, ale ów Kościół wie dobrze, że wszelki postęp społeczny może tylko nieśmiało i powolnie kroczyć naprzód. Że musi on postępować „po stopie” w miarę zarządzania ogólnego i przygotowania gleby na nowy posiew.

Kościół wie, że wszystkie urządzenia obliczane na zbyt szybki postęp w społeczeństwach nie gotowych do jego przyjęcia są i będą zawsze niejako wybuchem wulkanu, który zagrzmi, błysnie, zasypie okolicę ogniem, lawą i popiołem i zgaśnie pozostawiając za sobą ciemności, ruinę i gruzy.

Dlatego kościół będąc wiecznotrwałym umie czekać i postępować z zimną rozważą, ale postępować ciągle i wytrwale do celu królestwa Bożego na ziemi.

Dlatego też kościół musiał nieraz wchodzić w kompromis z pogaństwem ludów wychowanych przez wieki w odmiennych od chrześcijaństwa zasadach. Wprawdzie droga to powolna, ale jedynie pewna.

KAROL.

Dziękuję wam za wasze mądre rady dostojny księżu biskupie, będę też o nich zawsze pamiętał.

Ale teraz chodźmy na posiedzenie (*wstaje, idzie do drzwi bocznych, wołając*). Marszałek niechaj oznajmi w sali nasze przybycie. Panowie mego dworu niechaj tutaj wejda.

(*Wchodzi marszałek, a za nim kilku z dworu. Marszałek odsunąwszy zastłonę, wchodzi do sali, za nim Karol, Biskup i dwór*).

Sala radna zgromadzenia stanów prowincjonalnych Champanii w Provins. Duchowieństwo wyższe i rycerze zebrani rozmawiają ze sobą, oglądając się na drzwi boczne, które otwierają się na oścież. Przez nie wchodzi marszałek dworu Delfina i podnosząc laskę woła.

MARSZAŁEK.

Jego Królewska Wysokość Karol Książę Normandyi, Regent Francyi!!

(Zgromadzeni odchodzą spieszenie na swoje ławy. Wchodzi Karol otoczony nielicznym dworem. Obecni wstają kłaniając się wchodzącemu, a tenże zajmuje podwyższony fotel tronowy pod ścianą przeciwną. Dwór ustawia się po jego dwóch stronach. Biskup zajmuje miejsce na ławie najbliższej tronu).

KAROL.

Dostojni panowie duchowni i rycerscy wiernych nam stanów Champanii.

Przed dwoma tygodniami ogłoszony został manifest panującego nam króla Jana, a ojca mojego.

Król Jan protestuje w nim przeciwko wszystkim reformom uchwalonym przez narodowe zgromadzenie stanów królestwa, jako uwłaczającym jego królewskiej władzy i nakazuje mnie, jako regentowi państwa, odwołać uchwalone reformy i uznać je za niebyłe, a powołuje wszystkie stany, aby stanęły silnie i oręcznie przy korony nienaruszalnych prawach.

Zwołałiśmy was panowie z Champanii, aby wysłuchać waszej rady w tej zasadniczej sprawie. Mówcie więc śmiało i otwarcie!

BISKUP *(wstając)*.

Prawo kanoniczne orzeka, że władza królowi nadaną jest od Boga, którą tenże król otrzymuje od Pana zastępów przez namaszczenie olejem świętym.

To co z łaski bożej otrzymał król, tego mu żadne uchwały zgromadzenia stanów odjąć nie mogą. Zatem uchwalone reformy

choćby i najlepsze, mają moc prawa, jeżeli się na nie godzi pomazaniec boży, koronowany król Francyi.

HRABIA DE BROISSE.

Jeżeli więc król protestuje, nie godzi się i uchwały nie są prawem, lecz tylko buntem!

MŁODY BARON DE GLODET.

Jednak reformy są mądre i dobre, zapewniające Francyi sprawiedliwość i siłę orężną, której ona obecnie tak bardzo potrzebuje.

KAROL.

Tak! i myśmy je za dobre uznali i przyjęli, ale z zastrzeżeniem, że król się na nie zgodzi. Bo jako regent nie miałem prawa ostatecznej decyzji, a wykonałem je tylko tymczasowo i to po części przymuszony.

HRABIA DE BROISSE.

Uchwały zgromadzenia ogólnych stanów ukróciły nie tylko królewskie, ale i nasze baronów prawa, do czego myśmy nie upoważnili naszych wybrańców.

BARON DE GLODET.

Wiele z tych praw stało się nadużyciem siły.

RYCERZ KAROL D'ALBE.

Są one oparte na odwiecznych przywilejach rycerstwa.

HRABIA DE BROISSE (*występuje, klękając przed Karolem*).

Wasza Królewska Wysokość! W waszej obecności zabito marszałków Champanii i Normandyi, radców korony. Ośmielam się zapytać, czy oni winni byli śmierci i kto ich osądził?

KAROL.

Marszałkowie? Marszałkowie ci nie zawsze dobrze działali... ale... nie byli winni śmierci, zaś sądzić ich nikt nie miał prawa, oprócz mnie samego i parlamentu, lecz ani parlament ani ja wyroku nie wydaliśmy.

HRABIA DE BROISSE.

Zatem Marcel, Maillard i ich paryżanie popełnili prosty mord i to w oczach regenta Francyi. Mord domagający się kary i zemsty. W imieniu całego rycerstwa Champanii, błagam waszą królewską wysokość o wymierzenie zasłużonej kary na wszystkich winnych mordu i przyjęcie naszej pomocy w dokonaniu sprawiedliwości.

Rycerstwo nasze stanie przy tobie regencie Francyi, ale odwołaj to wszystko, co uchwalone zostało bezprawnie przez generalne stany, jak tego żąda król Jan.

WSZYSCY (*powstają, wołając*):

Odwołaj, prosimy i przyjm naszą pomoc!! Skarz morderców i zbuntowanych paryżan!!

SIR BERNARD DE TANCARVILLE.

Rycerstwo nietylko Champanii, ale z całego królestwa poświęci miecze sprawie króla i dla ukarania winnych buntu.

W Paryżu dzieją się zbrodnie, bo motłoch uliczny napada, rabuje domy najwierniejszych sług korony i morduje ich rodziny. Szaleńcy wymogli na zebraniu stanów generalnych takie prawa i urządzenia, jakich lud zrozumieć nie może i wobec głoszonego jego wszechwładztwa, tłumy zaspakajają swą chciwość i zemstę nad urzędnikami państwa, ludźmi znaczenia i zasługi.

Król Jan, jedyny prawy władca Francyi, polecił Waszej Miłości znieść te szalone prawa. Nie wahaj się wasza królewska wysokość i znieś je zaraz, a nie dozwał szaleńcom narażać kraj na najstraszniejsze czasy nadużyć motłochu!

BISKUP.

Uczyn wasza wysokość co nakazuje jej król Jan i ojciec, bo tak każe prawo i o to my uniżenie prosimy.

KAROL

Kiedy tak mi radzicie i prosicie, czynię zadość waszej prośbie. Ogłaszam, jako regent Francyi, ustawy uchwalone przez generalne stany za nieważne.

WSZYSCY.

Niech żyje Karol regent Francyi!!!

KAROL.

Zwołałem prowincjonalne stany z Vermandoi do Compiègne od dzisiaj za 14 dni. Was zaś dostojni panowie wzywam, abyście w tymże czasie stawili się w Compiègne z całą waszą zbrojną siłą. Żegnam was... Bóg niechaj będzie z nami!

BISKUP.

Cześć wam regencie Francyi. Boża opieka niechaj będzie z wami!!

WSZYSCY.

Noel! Noel! Do Compiègne!!

*

*

*

Sala w Luwrze, umeblowana w gotyckim stylu. Stół przy jednej ze ścian ze stołkami. Na stoliczku z prawej strony obok drzwi leży duży bukiet polnych kwiatów. Przez te drzwi wchodzi RÓZIA MARCEL, piętnaście i pół letnia dziewczynka, śliczna blondynka.

RÓZIA.

Od czasu ucieczki księcia Karola, kazał nam się tatko przenieść do tego Luwru, a tak tutaj smutno i straszno, że w nocy spać z obawy nie mogę, bo mi się ciągle przypominają wszystkie stare a straszne bajki o Luwrze, jakie nam opowiadała nasza Gertruda, gdyśmy były dziećmi. W dzień też smutno w tych ogromnych salach i korytarzach, a mnie tęskno za naszym domkiem. Zaś od wczoraj rana, gdy Ewon poszedł do ojca Zacharyasza, to już rady sobie dać nie mogę, tak mi dziwnie jakoś smutno i samotnie. Kiedyż on powróci? Mówił, że dzisiaj, ale niema go dotąd. (*ogłada się*). Jak tutaj zimno! (*sposzrzega bukiet kwiatów*). Kwiaty polne. Oh! To Ewon przyniósł je dla mnie (*z radością*) i powrócił! (*bierze kwiatki, ogłada i całuje*). Moje śliczne kwiatuszki! Jaki bije z nich zapach z szerokich pól i łąk. Prawda dobrze wam tam było, swobodnie i słonecznie na polu. Piłyście rosę poranną, grzałyście się w słonka południowego promieniach, wietrzyk was muskał, a marzyłyście w mdławych blaskach księżyca, przy których marzy się tak ślicznie, marzy o wszystkim, o złotym królewiczu bohaterze, kochającym bardzo, takim ślicznym, takim ślicznym... jak... jak... Ewon. Dobry Ewon. Dla mnie zbierał kwiatuszki. Szlachetny Ewon! Jak on odczuwa wszystko gorąco, wszystko co piękne i dobre. Jak on kocha tatkę i całą naszą sprawę wolności i sprawiedliwości, że za nią oddałby ostatnią krwi kropelkę. A mnie? mnie on też musi lubić, bo mu to widać z oczów pocziwych, a ja go też lubię... nawet bardzo (*po chwili, uderzając w dłoń*). No proszę! to mnie dlatego wczoraj i dzisiaj tak smutno się zdało i dzień taki długi, że nie było Ewona na zwykłą pogadankę, a choć nie często

mówimy, to i tak wesoło mi i miło, gdy on jest w komnacie. Więc powrócił? Jakże się cieszę. (*wchodzi Ewon*).

Przecież powróciliście Ewonie i przynieśliście te kwiatki śliczne, a ja je wzięłam sobie, choć może one nie dla mnie zrywane były.

EWON.

Przeciwnie, zrywałam je dla was panno Rózo, zrywałam je z myślą, żeby wam one przyniosły świeżość słonecznego szerokiego świata.

RÓZIA.

A widzicie, że ja to zgadłam i cieszyłam się wonią pól i łąk, które one przyniosły ze sobą do tej smutnej królewskiej siedziby. Prawda Ewonie, że naszym królom musi być bardzo smutno w tym starym Luwrze? Ja bym za nic nie chciała być królem, ani tutaj zawsze mieszkać.

EWON.

Zato królowie cieszą się wielkością, potęgą i królowaniem!

RÓZIA.

A co im z tego? Czy to wszystko da im szczęście, swobodę duszy i śmiech szczery a niewinny wywoła na ich lica?

EWON.

Szczęście ludzie różnie pojmują!

RÓZIA.

Ja czułabym się bardzo szczęśliwą np. w małym domku, wśród pól zasianych ot takimi kwiatami, mając przy sobie wszystkich kochanych, wesołych i bez chmurki na czole, byle wszyscy, których spotykam, też szczęśliwie wyglądali i życie im się uśmiechało. Aby nigdzie, nigdzie nie było niedoli i abym wszystkich kochała... bardzo kochała i oni mnie też.

EWON.

To was panno Rózo nie obraża, gdy was kto kocha?

RÓZIA

Jakże może obrażać człowieka to, czego najbardziej pragnie?

EWON.

A gdybym ja panienkę kochał?

RÓZIA.

To bym się bardzo cieszyła, a też sędzę, że mnie lubicie, jak i ja was. Doprawdy, że bardzo was lubię, bo jak was Ewonie niema, to mi smutno i samotnie, a jak jesteście z nami, to mi wesoło i dobrze.

EWON (*uradowany*).

To wam powiem panno Rózo, że was bardzo kocham!

RÓZIA (*klaskając w dłonie*).

Jakże się cieszę! I gdyby tatuś nie był taki smutny, z powodu tego paskudnego sir Bernarda, który nie dopuszcza prowiantu do Paryża i ludzi prowadzących go zabija, to czułaabym się bardzo szczęśliwą. Ale ten Bernard musi być strasznie złym, gdy morduje ludzi i chce Paryż ogłodzić. Okrutny ma to być człowiek, wczoraj tatuś i wuj Essarts mówili, że jeżeli kto nie poświęci się na zgładzenie tego strasznego wroga, to paryżanie z głodu zginąć lub się poddać będą musieli, bo on zna wszystkie drogi i każdy transport przejmuje.

EWON (*posmutniały*).

Także mówili?

RÓZIA.

A tak! A nawet Henryk ofiarował się, że pójdzie i zabije Bernarda, ale potem Johanita tak go błagała i zaklinała, aby zarzucił swój zamiar i tyle płakała, że Henryk zaczął się wahać i pewnie nie pójdzie. (*po chwili, zamyślona*).

Powiedzcie mi Ewonie, czy to jest grzech zabić takiego strasznego wroga, grożącego zagładą całemu miastu?

EWON.

Na wojnie zabijają się ludzie ciągle i nikt sobie za grzech niema, zabić przeciwnika; więc sądzę, że niema wcale grzechu, ale przeciwnie jest przed Bogiem zasługą zgładzić takiego, który tysiąc razy jest groźniejszy od nieznanego żołnierza naprzeciwko w boju stojącego.

RÓZIA.

Tak myślicie! A Johannita nie daje Henrykowi iść na tę wojnę, bo przecież jest to też wojna. Aha! boi się, aby przy tem Henryka nie zabili. To rozumiem! ale przecie Henryk pójdzie na prawdziwą wojnę, a może mu ona nie da iść na wojnę?

EWON.

A wy panno Rózo, gdybyście mieli jak panna Johanita narzeczonego i bardzo go kochali, dozwolilibyście mu iść na wojnę?

RÓZIA (*zamyśla się*).

Prawda, że serce bardzoby mnie bolało i straszny lęk miałabym, ale (*z determinacją podnosi głowę do góry*), ale przestałabym go kochać, gdyby z obawy o życie nie służył ojczyźnie, jak najlepiej umie i potrafi!

EWON (*przyskakuje, bierze ją za rękę*).

Szlachetnie rzekliście! Mężczyzna nieumiejący poświęcić swego życia ojczyźnie i sprawie, której broni, nie wart miłości żadnej kobiety, a nie dopiero waszej!

RÓZIA.

Tak, jak wy, mówią wszyscy w około mnie i ja bym nie kochała narzeczonego, gdyby był tchórzem i nie umiał zginąć nawet za świętą sprawę, bo bym się nim brzydzić musiała!

(*Z tych samych drzewi, z których weszła Róża, wchodzi Johannita d'Essarts, smukła brunetka z twarzą zaniepokojoną*).

JOHANITA (*do Róży*).

Niema Henryka?

RÓZIA.

Są oni jeszcze na naradzie wydziału wykonawczego, a na pewno i sir Henryk wraz z tatą przyjdzie tutaj.

JOHANITA.

Zawsze tylko te narady i znowu służba naczelnika straży, odrywają go nieustannie odemnie. Niechżeby się raz to wszystko skończyło i ojciec wyjechał z tego Paryża do Essarts, toby i Henryk musiał z nami pojechać.

RÓZIA.

Ależ kochana Johanito, sir Henryk służy ojczyźnie i świętej sprawie wolności.

JOHANITA (*ze złością*).

Co mi tam! jest moim narzeczonym, kocham go, więc chcę mieć go przy sobie.

RÓZIA.

Wszak i ojcowie nasi poświęcają wszystko narodowi i naszej sprawie i życie swe oddać jej gotowi!

JOHANITA.

Paplesz tak, boś jeszcze dzieckiem, ale gdybyś kogo kochała prawdziwą miłością, zaraz inaczej byś mówiła.

RÓZIA (*nieco urażona*).

Ty mnie zawsze masz za dziecko, którem dawno być przestałam, a ja ci mówię, że gdybym kochała i najbardziej narzeczonego, to choćby mi serce pękało, jeszczebym go nie powstrzymywała w spełnieniu jego względem ojczyzny obowiązku, choćby miał przytem i życie stracić!

JOHANITA.

Ot! paplesz sroczo! Ale gdybyś kogo prawdziwie kochała jak ja kocham Henryka, a on ci mówił, że pójdzie zabić takiego smoka jak ten zły Bernard, to byś inaczej gadała!

RÓZIA.

Nieinaczej bym mówiła! Ale mój narzeczony z pewnością nie mówiłby mi, że pójdzie na taką wyprawę, ale poszedłby bez mojej wiedzy spełnić to, co za swój obowiązek uznał.

JOHANITA.

Ej dziecko z ciebie i koniec!

RÓZIA.

Nie dziecko, ale prawdziwa Francuzka naród swój kochająca! i bohaterstwo w duszy człowieka ceniąca, bez którego nigdy bym go pokochać nie potrafiła.

JOHANITA.

Skaranie boskie z wami wszystkimi. Pójdę sobie, bo mnie gniewasz tylko. *(wychodzi)*.

EWON *(z roziskrzonymi oczami przystępuje szybko do Rózi i bierze ją za obydwie ręce)*.

Jak ja was kocham panno Rózo za te wasze wzniosłe uczucia! Nie! jabym wam nie mówił, gdybym miał iść spełnić mój obowiązek, choć was bardzo kocham, może bardziej, niż sir Henryk waszą kuzynkę.

(Mówiąc to patrzy na nią głębokim namiętnym wzrokiem. Z razu Rózia uśmiecha się, powoli spuszcza oczy, twarz jej okrywa się rumieńcem. Jeszcze raz podnosi oczy, ale szybko je spuszcza i chce wydobyć ręce z dłoni Ewona silnie ją trzymającego, potem cichym głosem).

RÓZIA.

Puście mnie już sir Ewonie!

(Ewon puszcza jej rękę. Rózia wychodzi wolno ze spuszczoną główką i z westchnieniem w progu odwraca się, posyła uśmiech Ewonowi i wychodzi).

EWON *(długo patrzy w stronę Róży)*.

Jaka ona śliczna i szlachetna i jak ja ją bezmiernie pokochałem!

(Przez frontowe drzwi wchodzi Marcel, Maillard, d'Essarts, de Charny, Ludwik Petit i Henryk).

MARCEL.

Spocznijcie proszę chwilę i napijcie się wina, bo jeszcze trzeba nam nie o jednym pomówić *(do Maillarda i d'Essarts'a podając im ręce)*. Wy starzy przyjaciele, ty Janie i ty szwagrze Pepinie nie bądźcie mi krzywi za to, że wydział wykonał moją, a nie waszą przyjaźń propozycję. Jednak dobrze chcemy i tylko czasami różnimy się w środkach do celu. Gdyby wasze zdanie uzyskało większość, ja nie miałbym do was żalości!

MAILLARD.

Tak mówisz, bo wiesz, że wydział złożyłeś w ten sposób, że w nim twoje zdanie i wola, ale nigdy nasze nie znajdują większości.

MARCEL.

Wszak zgromadzenie wybrało wydział własnowolnie!

PEPIN D'ESSARTS.

Ot gadanie! Opanowałeś zgromadzenie, jako i jego wydział tak, że my chyba nie jesteśmy już tam potrzebni, bo na nasze zdanie nikt nie zważa, ale ty Stefanie stałeś się panem i dyktatorem i tylko twoja dzieje się wola!

JAN DE CHARNY.

Teraz oddajesz całą milicję pod dowództwo takiego strasznego tyrana i gwałtownika zdraдлиwego, jakim jest Karol, król Nawary, słusznie złym przezwanego.

MARCEL.

Wszak przedstawiałem wam moje powody, że chcąc przyciągnąć na naszą stronę bodaj część band zbrojnych waleśających się po kraju, trzeba postawić na ich czele wodza znanego im i z wielkiego rodu, bo inaczej one nie przyjmą u nas służby, a co gorsza pójda wysługiwać się regentowi i jego siłę wzmoga. Wszak żaden z was nie chciał przyjąć dowództwa,

zaś proponowany a bardzo ceniony przezemnie de Picquigni nie posiada zalet na naczelnego wodza!

PEPIN D'ESSARTS.

Można było spróbować.

MARCEL.

Nie mamy czasu na próby, a jedna większa przegrana bitwa może zniszczyć nasze siły. Chcecie, niechaj bierze de Picquigni dowództwo nad częścią milicyi i poprowadzi swój oddział na najpierwsze starcie, ale dowództwa nad całością on brać nie może, bo niema odpowiedniego doświadczenia, a dowódcy band nie będą go słuchali, jest on dla nich za małym Sirem, gdy króla Nawary posłuchają wszyscy, a też przyprowadzi on nam parotysięczny własny oddział wyćwiczzonego rycerstwa.

MAILLARD.

...I... zdradzi nas!

MARCEL.

Nienawidzi on Capetów, to też w tej jego nienawiści leży nasza gwarancya. Gdy mu pozwolimy zabrać południową część Gaskonii, będzie służył naszej sprawie bodaj dla własnego interesu.

MAILLARD.

Opierać się na nienawiści, a nie na obywatelskiej cnocie i miłości ojczyzny znaczy tyle, co stawiać zamki na lodzie!

MARCEL.

Zostawmy na boku tę przesądzoną już sprawę, a zajmijmy się inną; siadajcie proszę (*siadają tak, że Maillard, d'Essarts i de Charny siedzą obok siebie po drugiej stronie stołu. Ewon siada na uboczu, słuchając pilnie rozmowy*). Regent mając zapewnioną pomoc rycerstwa całej Champanii i Beauvais nie czekając na resztę rycerstwa zciągającego się doń z dalszych prowincyi wskutek manifestu króla Jana, zajął już Meaux, Melun, St. Mour i Charanton. Zaś ten przekłety Bernard hra-

bia de Tancarville przecina nam wszelkie dowozy z górnej Sekwany i Marny. Znając te okolice lepiej od wszystkich, obsadził też wszystkie większe drogi do Paryża wiodące i powiedzmy jednym słowem, ogładza Paryż. Tego wroga osobistego trzeba nam się pozbyć za każdą cenę.

Gdy jego braknie, lub kto inny zajmie dowództwo nad jego bandami, zaprowiantowanie miasta pójdzie nam łatwiej, ale przedewszystkiem Bernarda usunąć trzeba, bo zanim nadciągnie Karol Nawarski ze swą siłą, Bernard ogłodzi miasto i bodaj czy go nie zmusi głodem do poddania się.

HENRYK.

Wszak oświadczyłem się z gotowością spróbowania dokonać tego dzieła.

MAILLARD.

Tak, ale ciebie znają w obozie Bernarda, więc nie dotrzesz łatwo do jego osoby. A potem ty jesteś nam niezbędnie potrzebny w Paryżu. Nikt lepiej od ciebie nie podola utrzymać w porządku i posłuszeństwie kwartału przedmieść, a straż kwartalna słucha cię ślepo. Twoja energia i przytomność już parę razy stłumiły rozruchy w przedmieściach i ciebie boją się te elementa niesforne rządzące się dzikimi namietnościami mordu i grabieży. Gdyby nie twoja zapobiegliwość, nie byłoby się skończyło przed 10 dniami na rabunku ośmiu domów zamóżniejszych mieszczan, ale rabunek, mord i pożoga byłyby objęły czwartą część miasta, a ty krwawym chrztem zmusiłeś tę czerń do spokoju. Więc pozbyć się twej pomocy nie możemy w tej chwili, gdy już i głód daje się uczuwać przedmieściom. Ty iść nie możesz!

PEPIN D'ESSARTS.

Tak on iść nie może!

MARCEL.

Pomyślę ja, ale pomyślcie i wy, aby znaleźć takiego bohatera, który uwolniłby miasto od strasznego Bernarda i w ten sposób oddał naszej sprawie najpilniejszą i może największą usługę. Więc z tą piekącą sprawą poczekać musimy, a szukajmy takiego zbawcy!

EWON (*słuchając tej rozmowy, zamyśla się głęboko, a potem spogląda iskrzącemi oczyma jakby jakieś ważne postanowienie utrwalilo się w nim. Zajęty tą swoją myślą, już nie słucha i nie uważa co dalej mówią — do siebie*).

Ja pójdę, ja będę tym bohaterem i zbawcą. Nic lepszego zrobić nie zdołam, a ona będzie się ze mnie cieszyła i kochała!

MARCEL.

Teraz przystępuję do donioślejszej, choć nie tak pilnej i piekącej sprawy. Regent zbiera coraz więcej zbrojnych, a hrabia Phebus de Foix układa się już z naczelnikami band: z Anglikiem Robertem Knolles, z Niemcami Albrechtem i Frankiem Hinnekin, oraz z Eustachem d'Aubrecicourt o przyjęcie ich na żołd regenta. Jeżeli nie przeszkodzimy gromadzeniu się rycerstwa w obozach Karola, a król Nawary nie może nadciągnąć jak za dni kilkanaście, to czekając beczynnje, wojsko regenta stanie się tak liczne, że nie podolamy jego sile.

JAN DE CHARNY.

Ale jakże możemy utrudniać gromadzenie się rycerstwa przy regencie, gdy całe duchowieństwo i deputowani szlachty opuściwszy jeneralne stany, oświadczają się za manifestem króla Jana, zaś miasta dotąd nie powstały i zapewne czekają na rezultat walki z Paryżem.

PEPIN D'ESSARTS.

Miasta są zawsze oględne i ryzykować niczego nie chcą, a jeden Paryż śmie tylko iść z nami.

MAILLARD.

I pójdzie na śmierć i życie!

MARCEL.

Nie chciałbym, aby szedł na śmierć, ale w szerokie życie przyszłości (*do Charnego*). Możemy Jasiu rzucić im płomień w ich zagrody, tak, że oni rozbiegną się gasić go!

JAN DE CHARNY.

Jakim sposobem?

MARCEL.

We Francyi miliony ludu rolnego jęczy pod uciskiem feudalnych praw. Poślijmy naszych ludzi pomiędzy te miliony, zgrzytające zębami w swej niedoli. Objawmy im lepszą dolę; zapalmy słowami wolności i posiadania własności, uwolnienia ich od sądownictwa baronów, a te stwardniałe od pracy dłonie chwycą za kosy, widły i kłonicie i staną przy nas apostołach wolności! Szlachta przerazi się tym ruchem i powróci do domów bronić ich od zemsty Jakóbków. Obóz regenta opustoszeje, a wtedy damy sobie radę z jego resztkami!

MAILLARD (*zrywając się*).

Tak, tak... Wolność i własność dajmy tym masom robotczym, bo i one cierpią od wieków, a ja o nich zapomniałem! Stefanie ty jesteś większym od nas i goręcej czujesz od nas; (*podaje mu rękę*) wybacz i przyjm moją przyjaźną dłoń!

MARCEL (*podając i ściskając mu dłoń*).

Nie miałem żalu do ciebie stary przyjacielu. Razem, jednolicie bierzmy się do dzieła, a jeszcze da Bóg pobijemy wrogów i wolność zwycięży.

JAN DE CHARNY (*do Essartsa*).

Obawiam się nieco poruszenia tych mas ciemnych a zgorzkniałych.

PEPIN D'ESSARTS.

Tonący chwytą się brzytwy, a my toniemy!

(*Służący wnosi butelki, kieliszki i kandelabry, stawia je na stole i wychodzi. Marcel nalewa kieliszki*).

JAN DE CHARNY (*do Essartsa*).

Czy potem te rozburzone masy dadzą się powściągnąć i ująć w karby jakiegoś ładu?

PEPIN D'ESSARTS.

Mówię ci, że tonący brzytwy się chwytą:

MARCEL (*podnosząc kieliszek*).

Za wolność ludu, za panowanie sprawiedliwości i cnoty obywatelskiej, wypijmy bracia!

MAILLARD.

Niech żyje wolność i sprawiedliwość!

HENRYK.

I niech żyje Stefan Marcel! (*wszyscy piją*).

MARCEL.

Teraz rozejdźmy się i bierzmy do roboty. Ja wyślę agentów do Beauvais i Champanii. Wy zaś rozdzielcie pomiędzy siebie i inne prowincje.

MAILLARD.

Więc chodźmy do roboty!

(*Żegnają się wszyscy z Marcelem i wychodzą. Zostaje: Marcel i w kącie siedzący zamyślony Ewon*).

MARCEL (*do siebie*).

Kości rzucone, ale innej rady dla nas nie było. Powierzyć musiałem dowództwo Karolowi złemu, ale i ja nie dowierzam jego zdradliwemu sercu! Trudno! musiałem! Jesteśmy niemal otoczeni przez wojsko Delfina i sprawa nasza źle stoi, gorzej niżeli oni sądzą ją, których zazdrość do mnie pożera za to, że rada i lud mnie tylko, a nie ich bezradności słucha. Gdyby mnie brakło nie utrzymaliby oni naszej sprawy ani tygodnia. Niemi jak Maillardem rządzi tylko teoria, poza którą nie widzi nic on i oni wszyscy oprócz Henryka i Ludwika, patrzących tylko przez moje oczy. Nie im porywać się na tak olbrzymie dzieło odrodzenia ludzkości, krępują oni tylko moje ruchy. Dobrze, że przynajmniej zgodzili się na wywołanie powstania Jakóbków, ich teorie na to się godzą. Tak... Rozbiegnie się rycerstwo, gdy chłopstwo zacznie plądrować ich zamki; ale oni zmuszają mnie do takiego kroku. Oni jedni i ich regent.

(*Ewon wstaje i podchodzi do Marcela, klęka przed nim*).

Ach to ty Ewonie, niewiedziałem, że tutaj zostałeś. Co żądasz chłopcze kochany?

EWON.

Abyście mi sir położyli ręce na głowie i pobłogosławili mnie.

MARCEL (*czyniąc to żądanie Ewona*).

Ja ci Ewonie zawsze błogosławię, ale dlaczego dzisiaj i w tej chwili żądasz tego?

EWON.

Bo... bo mi lżej będzie ojcie! lżej... ułożyć się do snu.

MARCEL.

Już późno! Idź spać chłopcze!

EWON (*całuje go w rękę, wstając*).

Bóg niechaj z wami będzie dobry sir! (*wychodzi*).

MARCEL.

Coś się stało chłopcu? Może obrady nasze rozdrażniły go. (*Wchodzi Różia, niosąc na tacy winną polewkę i biszkopty, stawia je na stole*).

RÓZIA.

Przyniosłam ci tatuńciu winną polewkę i przychodzę życzyć ci dobrej nocy, bo już późna godzina.

MARCEL (*bierze ją za rękę i pociąga ku sobie*).

Dziękuję ci dziewczeczko kochana (*patrzy na nią uważnie i z miłością*). Cóż to za niebywała powaga w twoich oczkach, choć usta mają uśmiech zadowolenia czy szczęścia. Czy zaszło z tobą co nowego lub może co w tobie?

RÓZIA.

Nie tatusiu drogi (*całuje Marcela w ramię, przez co się uchyla od jego badawczego wzroku*).

MARCEL (*bierze jej głowę w obydwie ręce i całuje w czoło*).

Dobranoc ci córuchno miła, śpij spokojnie, a święci pańscy niechaj cię strzegą teraz i w całym życiu. Śpij spokojnie i dobrze!

RÓZIA.

Dziękuję tatusiu i wy śpijcie spokojnie.

MARCEL (*zatrzymuje ją za rękę*).

Moja ty eglantynko. Ewon był tutaj, gdyśmy przyszli do tej sali, ale nie miałem czasu spytać go nawet o zdrowie ojca Zacharyasza. Czy widziałś go i co mówił o pustelniku?

RÓZIA (*zaambarasowana*).

Sir Ewon nie mówił nic o ojcu Zacharyaszu.

MARCEL.

Skąd ci przyszło dawać mu ten tytuł, kiedy dawniej mówiłaś o nim po prostu Ewon?

RÓZIA.

Nie wiem tatusiu, tak mi się przegadało.

MARCEL.

To już idź spać dzieciно!

RÓZIA.

Dobranoc! (*wychodzi*).

MARCEL (*patrząc za odchodzącą*).

Coś się jej zdarzyło, bo rano była tylko swobodnem dzieckiem, a teraz z oczów jej wygląda powaga niewiasty. (*Zamyśla się głęboko jakby ciężkie myśli ważyły się w jego głowie*). Przeniosłem się do Luwru i umieściłem w nim kancelaryę wydziału wykonawczego, aby w opuszczonym Luwrze instalować rząd kraju. Wedle starego prawa wszystkie lenna zależne są od wieży Luwrańskiej, niechże w niej rezyduje władza... i... ja... to dobrze wpłynie, zapewne nie na pojedyn-

cze jednostki, ale na ogół przyzwyczajony patrzeć na tę wieżę, jako symbol państwa feudalnego.

(Rozgląda się, wstaje, obraca na wszystkie strony, a potem rozkłada ręce i z podniesioną dumnie głową).

Luwri! i ja w nim panem, z niego wydaję rozkazy. Ja, Stefan, mieszczański syn, potomek niewolniczych Gallów. Ja, Stefan, wezwę jutro sto tysięcy ludu do broni, wezwę miliony uciemiężone a żadne wolności i własności, a te miliony powstaną na moje, Stefana, zawołanie!

Ja syn mieszczański tutaj w tej starej siedzibie królów; zamianuję jutro dowódcę wojska przezemnie stworzonego, króla w złotej koronie urodzonego, zamianuję go ja, Stefan!

Posiąść władzę, to tyle co zdwoić w sobie życie i używać go podwójnie. Czemże są wobec mnie dzisiaj te tłumy ludzi posłuszne mojej myśli i woli? Zerami tylko, którym ja, jednostka przed niemi stojąca, nadaję miano i znaczenie liczby.

Nie dziwię się królom, że na wysokości tronu czują się więcej niż ludźmi. Czuć swoją moc, przeprowadzać własne myśli, wcielać je w czyn, w ciało i patrzeć jak to ciało rośnie i olbrzymieje, ta moja myśl ucieleśniona, do życia pobudzona, dająca warunki szczęścia ludzkości i czuć się ojcem tego wszystkiego, ojcem lepszej przyszłości, obalać i druzgotać przeszkody jeno swą własną wolą i rozumem — to czuć się jestestwem wyższem od śmiertelnych ludzi; czuć się twórcą, to odczuwać najwyższą rozkosz stwórcy — tworzenie! A jednak dla serca, władza trującym jest napojem, i kto dotknął wargami tego kielicha, ten woli zginąć, niżeli oderwać usta od trującego płynu. Posiąść władzę i stracić ją, jest męką gorszą od śmierci w katuszach. Czuć się niczem, gdy się było wszystkim?... to lepiej obrócić się naraz w pełną nicość istnienia. *(po chwili).*

Cincinatus musiał być poziomego ducha człowiekiem, jeżeli zadawałniał go lemiesz, po zdjęciu konsularnej togi! lub nie miał w sobie siły twórczej płodzenia życia, wcielania własnej myśli.

Nerony, Kaligule byli szaleńcami tylko, którym ślepy los włożył w dłonie berło świata, ale Cezar i August odrodzili świat, kładąc tamę rzeziom stronnictw — ujednastajniając wła-

dzę i wzmacniając ją, zwalniając powoli zależność ludów prowincyi od tyraństwa patrycyuszów Romy. Oni tworzyli społeczność nową na gruzach walącej się i przeżytej. Można było zabić ich ciało, ale wielki ich duch był nieśmiertelny i płodził po ich śmierci jeszcze.

Nie! Nie! i Marcela ciało można zabić, ale duch jego będzie żył wieki. Zapładniał inne duchy, pobudzał je do czynów jemu podobnych! Myśli, idee i ducha Marcela nikt już nie zabije. One stały się nieśmiertelnymi!!

Łąka z dwóch stron otoczona lasem, duży kamień leży niedaleko ściany lasu. Wchodzi EWON, niosąc pęk kwiatów i roślin; idąc patrzy na kwiat dzikiej naparstnicy. Kładzie kwiaty na ziemi, a sam siada na kamieniu.

EWON.

Zmęczyła mnie droga i gorąco, spocznę nieco w tym cieniu i ochłodzę się. (*wskazuje ręką na lewo*). Tam nad Sekwaną rozbił obóz ten przeklęty Bernard, za godzinę stanę przed nim z układną twarzą, aby mnie przyjął do swego otoczenia, a nie dostrzegł, jakie uczucie gości w sercu mojem i jakie mam postanowienie w duchu. (*po chwili bierze znowu kwiat w rękę i patrzy nań z uwagą*).

Miał rację sir Marcel, że w przyrodzie wszystko jest pięknem i doskonałością, a wszystko dostraja się do pełnej harmonii. Jakże te listeczki kwiatu są pięknie zabarwione, jak budowa ich jest doskonała a misterna nad wszelki podziw i jaka jest swoboda rozwoju w każdej roślinie. Tylko ludzie nie chcą ulegać tymże prawom i jedni drugim tamują możliwość do życia dla nich najodpowiedniejszego! (*Patrzy długo na świat*). A jednak ten powój oplótł kwiat w około i wspinał się po nim, tłoczając go i dusząc, aby sam miał z niego podpórę. (*zamysła się*). Widziałem też, jak dziki chmiel przydusił krzak berberysu, tak że ten ugiął się cały pod ciężarem chmielu, odbierającego mu słońca promienie i już prawie usechł cały w tym samolubnym wroga uścisku. A ot tutaj na łące przeklęty wylub wżarł się swemi pasożytnemi odnogami w trójlistne koniczynki, wyssał z nich soki pożywne, i dalej się rozprzestrzeniał, pożerając coraz nowe ofiary, zaś w środku fatalnego okręgu zniszczył wszelką roślinność do gołej ziemi, nareszcie i sam zgiął z braku rozbójniczego pożywienia. (*po namyśle*).

Jakto? więc i w świecie roślinnym jest walka o życie? Jest zły i silniejszy, duszący słabszego, choć pożytecznego? Jeżeli prawa przyrody mają mi posłużyć do nauki praw ludzkości, jak mówił sir Marcel, to przyroda odsłania mi podobnież

prawo morderczej walki. Fatalne zrobiłem spostrzeżenie i ono mnie przygnębia... Czyżby Marcel pomylił się w swym sądzie? *(zamyśla się trzymając rośliny w ręku).*

(Z lasu już przedtem wysunęła się stara kobieta, zupełnie bezzębna, łachmanami zaledwie odziana, wsparta na sękatym kijku z oczami bezbarwnymi o przenikliwym wzroku. Siwe włosy wymykają się z pod brudnej szmaty stanowiącej zawiązkę głowy i beładnie spadają jej na twarz i plecy. Postępuje ona wolno ku Ewonowi, staje nad nim, patrzy nań wzrokiem to szyderycznym to znowu naprzemian smutnym, w końcu dotyka ramienia zadumanego chłopca).

MARTA *(łagodnie uśmiechając się do Ewona).*

Czegóż ty piękny chłopcze szukasz w roślinach. Zapewne nie ich jadu, bo na to zadobrze patrzy ci z oczów. Powiedz czego w nich szukasz, gdy życie powinno ci się uśmiechać?

EWON *(zrazu przestraszony osobliwszą postacią, powoli uspakajając się łagodnością uśmiechu tejże).*

Zastaliście mnie babko, gdy pytałem matki przyrody o jej prawa.

MARTA.

Matki mówisz? O nie!.. ona jest dla ludzi macochą tylko. Ona wszystkie swe skarby i prawa ukrywa zazdrośnie przed ludzkim okiem, ona je zamyka na sto zapór, chowa najgłębiej jak można, rozrzuca wszędzie, aby ich człowiek znaleźć nie mógł. Zaklina je w kształcie zagadkowym, w surowej materii, nie zdolnej do niczego w swym widzialnym wyglądzie, a człowiek musi dopiero odkopać ją, odgadnąć jej ukryte własności i wydrzeć z niej przez ogień to, co chowa w sobie pożytecznego. Oh! zazdrośną jest ta macocha natura! Człowiek musi siłą rozumu wydrzeć z niej jej tajemnice, pracą zdobyć te siły i poznać własności, jakie ona posiada.

Walka człowieka z naturą jest jej i ludzi prawem, zwycięża kto silniejszym i sprytniejszym się okaże, ona w chowaniu, człowiek w odnajdywaniu schowanego dobra. Walka! walka! jest ogólnem prawem natury i człowieka, dobra ze złem, ludzi z ludźmi!

EWON.

Któż wy jesteście babko, co takie rzeczy mówicie i skąd przychodzicie?

MARTA.

Skąd ja przychodzę i kto ja jestem? Ho! ho! Ciekawym jesteś mój synku, za ciekawość Ewy płaci ludzkość niedolą od wieki wieków. Ty musisz być dzieckiem jakiejś Ewy, gdyś odziedziczył po niej ciekawość. Dziedziczenie mój wnuczku bywa nieraz ciężkiem, ale trudno; wyrzec się go nie łatwo.

Znałam córkę cykuty, ona bardzo pragnęła mieć w sobie ożywezy sok słodki, i płakała gorzko, że musi być brzemiennej w jad trujący, ale musiała nosić w sobie śmierci przyczynę, bo ją odziedziczyła po mamie.

Znałam młodego wilczka wychowanego, bo był sierotą, przez święte dziwice w St. Clou, a te w jego serce wszczepiły miłość wszelkiego życia i odrazę mordu. Wilczek przejął się do głębi duszy tymi zasadami i postanowił żyć tylko trawą, ale nie mógł nią zaspokoić palącego głodu, płakał i płakał na fatalność własnej natury, aż dnia trzeciego zagryzł i pożarł baranka z nim razem chowanego i bardzo kochanego.

W bardzo dawnych czasach znałam młodego synka cezarowej Agryppiny i tenże pragnął być bardzo dobrym i samo dobro czynić ludziom, a potem został Neronem.

Znałam też dzieciątkiem syneczka hrabiego de Tancorville i tenże zrywając poziomki całował roślinę z wdzięcznością, że mu dała słodki owoc. Potem ów synek nosił w swem sercu zamiar zgładzenia własnego rodzica. Ho! ho! wnuczuniu mój, dziedziczenie ma w sobie moc nieprzepartą. Jaka była jabłoń, takie będą i jej jabłka... Tak, tak wnuczku mój!

EWON.

Ależ nie rozumię was, rzeknijcie mi kto wy jesteście, bo mnie jakiś lęk bierze przed wami.

MARTA.

Otóż powiem ci, gdy już taki jesteś ciekawy.

Urodziłam się, gdy Ewa podawała jabłko Adamowi, a nazywano mnie „Buntem“.

Przy śmierci Abła przezwano mnie „Zawiścią“.

Gdy Klovis wdziewał królewską koronę, a na barki zarzucił konsularną togę, przysłaną mu z Rzymu, dano mi wtedy trzy nazwiska: „Zdrady, Przemocy i Okrucieństwa“.

Ludzie dzisiejsi zwań mnie: „Szyderstwem lub Martą bezzębną“, zaś matka moja nazywała mnie „Boleścią“.

Leczę też wszelkie boleści ciała i duszy.

Gdy mi kto dobrze zapłaci, daję mu ziele szczęścia, a takowe uderza mu krwią do głowy, wbija go w pychę i zatwardzi w nim serce na wszelką niedolę.

Gdy mi się kto spodoba, jak ty chłopcze, daję mu ziółeczko miłości. Im też więcej będą go kobiety kochały, tem więcej będzie on niemi pomiatał, a sobkostwo jego zacznie rósć i rósć jako chleb w dzieży, aż wypiętrzy z niej na ziemię i zamieni się w błoto i zgniliznę.

Gdy kto szczerem złotem płaci mi, daję mu proszek z utartego grzybka potęgi, a ten zażyty tak go prędko rozedmie, że mu zaciasno się zda w całym świecie i w końcu, albo pęka z hukiem piorunu lub roztoczy go robactwo w jego wewnętrznej próżni wylęgle.

Ho! tak syneczku, na wszystko i każdemu daję lub sprzedaję moje leki... a nawet gdy przychodzą do mnie uciskani z jękiem i płaczem na przemoc silniejszych, daję im zadarmo jedynie przez dobroć serca, okruszek spiżowej tablicy, na której Bóg wyrzył prawa człowieka, gdy postanowił stworzyć Adama i włożył mu ją pod głowę, gdy urobionego już pobudził do życia. Daję im też odpis uzupełnionego przez Syna Bożego dekalogu i mały mieczyk do samoobrony. Oni też z radością niosą przed sobą i ogłaszają te prawa Boże potrząsając pergaminem, ale potem podpalają nim domy swych ciemieców. A samoobronnym mieczykiem leją krew winnych i niewinnych, aż popijają się tym krwawym trunkiem i zaczadzą jego oparem, a wtedy wyczerpanych i nieprzytomnych, leżących z pianą konwulsyi na ustach, zakuje jeden z nich samych w cięższe jeszcze kajdany niewoli.

EWON (*patrzac na nią zdziwiony*).

Ależ babko pleciecie takie niezrozumiałe rzeczy, że sądzę, iż wam jakieś złe rozum odebrało.

MARTA.

Nie odebrało rozumu, ale mi się nieco przepalił, gdy mnie za moje dobro dwa razy palili na stosie.

EWON.

Jakto, was palili, kiedy żywą jesteście?

MARTA.

Ho! ho! moje dzieciątko, mnie tak łatwo spalić nie można, bo mam ci ja serdecznego kuma, który wraz ze mną trzymał ludzkość do chrztu. On też gdy zapalono stos i ten już gorzał sierdżiscie, otoczył mnie dymem i uniósł ze sobą ów wierny kum, który jeżeli sobie kogo ukocha, to już całą wieczność przyciska umiłowanego do swej ognistej piersi. (*ha! ha! hi! hi! cienkim piskiem zaśmiała się wiedźma*). Ludzie myśleli, że spalili Martę bezzębną, zwaną przez nich „Szyderstwem“, przez rodzicielkę „Boleścią“, ale ona żyje i żyć będzie wiecznie!

EWON.

Opowiadacie mi same niemożliwości.

MARTA.

Niemożliwości niema na świecie! Tobie zdaje się tylko, że to, co mówię jest nieprawdopodobne.

EWON.

Naturalnie!

MARTA.

Oj! oj! wnuczku ty mój. Nieprawdopodobnem zdaje ci się to, co ci opowiadam, a wierzysz święcie w większe nieprawdopodobieństwo, że Marcel odrodzi świat i że ludzie staną się takimi, jakimi on ich mieć chce.

Hi! hi! hi! hi! Marcel dał im okruh z tablicy spiżowej i skrawek papieru ze słowami Chrystusa i włożył w ich ręce mieczyk do obrony. Ha! ha! hi! hi! Marcela poroniła matka 500 lat przedwcześnie.

EWON.

Nie was nie rozumię. Odstąpcie odemnie!

MARTA.

Mój ty miły prawnuku, takiś ładny i zdrowy, takie masz oczka pełne ognia i zadumy, że pragnę, aby ci droga życia samemi wonnemi różami usłaną została. Chodź ze mną do mojej chaty, stoi ona stąd niedaleko pod dębem strzaskanym przez piorun, w którego resztki, co roku grom bije. Chodź, dam ci lubczyku, a wszystkie najładniejsze dziewczęta będą ci zawsze zarzucały swe białe ramiona na szyję, a ty będziesz różaną pił słodycz z ich koralowych ust. Będiesz ją pił do ostatka dni twoich.

Życie to miłości szal, ona jedna coś warta, a wszystko inne mrzonką jest tylko.

Władza wyradza nienawiść i lęk ohydny o trwałość własnego istnienia.

Z poświęcenia zbiera się żniwo niewdzięczności.

Z bogactwa zazdrość z uśmiechem syczącego gada... a w końcu mdły, nieznosny przesyt.

Miłość tylko jedna jest początkiem i końcem szczęścia doczesnego. Chodź do mnie chłopcze.

EWON.

Odstąpcie odemnie mówię wam! Jeżeli kocham, to nie przez ziele wasze pragnę uzyskać wzajemność, ale przez poświęcenie się wielkiej myśli szczęścia ludzkości i powodzenia drogich mi osób.

MARTA.

Jak wolisz prawnuczku.

Może radbyś wiedzieć, gdzie zaprowadzi cię droga, po której kroczysz?

Może chciałbyś wiedzieć przyszłość i przeszłość twoją. Nie znasz ani jednej ani drugiej... chcesz, to ci je powiem.

EWON (*zamyśla się*).

Przyszłość od Boga zależy, ale przeszłość moja, kim jestem, kto byli moi rodzice, tę chciałbym wiedzieć.

MARTA.

Dajże mi twą rączkę dzieciątko, a powiem ci wszystko.
(*Ewon podaje rękę swą Marcie, na którą ona długo pa-
trzy ... kiwa głową na wszystkie strony*).

Ho! ho! Co tu pisma krwawego. Biedne dziecko.

Począłeś się ze zbrodni.

Miłość uratowała cię, abys i ty nie został zbrodniarzem.

Żyłś w otoczeniu dobra, miłości i poświęcenia i ono cię
zgubi.

Zamierzasz przelać krew własną, a krew własna zdusi
w tobie życie. (*po chwili puszczając rękę Ewoną*). Losy ludzkie
zapisane są w gwiazdach, nikt zapisanego zmienić nie może.

Miałeś być zbrodniarzem, umrzesz jako zbrodniarz! (*pod-
nosi rękę w górę*). Idź drogą przeznaczenia. (*szybko odchodzi
w stronę lasu i w nim się zagłębia*).

EWON (*zostaje sam zdziwiony i przełękły, ogląda się na las,
w którym znikła wśród gąszczu Marta*).

Cóż to za dziwna stara wiedźma. Mowa jej nie zrozu-
miałą mi była, a to proroctwo jakieś straszne, ale też nie zro-
zumiałe. (*Otrząsa się powoli z przykrego wrażenia*). Musi to
być jedna z tych kobiet, którym pomieszało się w głowie
z bólu i nieszczęść przebytych. Oh! takich teraz jest całe
mnóstwo błakających się po lasach dokąd je rozpacz i obłąd
wypędza.

Biedna istota! A teraz w drogę. Serce moje nie drży
obawą. Co postanowiłem uczynić dla dobra ludu, uczynię bez
wahania, byle się sposobność zdarzyła, byle mnie przyjął ten
tygrys do służby swojej, bylem miał siłę (*ukłeka do modlitwy*).
Panie Chryste, dobroci pełen, nie opuść mnie, wszak idę na
śmierć, aby twe prawo rządziło na ziemi.

Ty święty Archaniele daj mi moc twoją! Ty święty Sul-
picyuszu odwagę nawet na męczeństwo. Waszej oddaję się
opiece wielcy święci Denisie, Rochu i Marcinie. Wy bądź-
cie ze mną i wspomagajcie mnie! W imię Ojca i Syna i Du-
cha świętego, Amen. (*Wstaje i odchodzi*).

MARTA (*wychyla się z lasu, patrzy za Ewonem smutno*).

Dziecko niewinne i naiwne, proszące Boga i świętych o pomoc do spełnienia zbrodni. Ale zbrodnia płodzi zbrodnię, krew rodzi krew i wszystko złe, złe tylko rozmnaża.

Kiedyż ludzie pojną te prawdy i zmieniają błędne drogi swoje!

Ale co mnie do tego? Co mnie do ludzi, Kainowego ple-
mienia? (*podnosząc pięście do góry*). Żrycie się wilki! topcie
kły białe we wnętrznościach waszych, jak je wszyscy topiliś-
cie w sercu mojem przez całe me życie. Przekleństwo tobie
rodzie człowieczy. Przekleństwo! Przekleństwo!

Obóz sir Bernarda. W wielkim namiocie siedzi Bernard zadumany na stołku polowym. Z drugiej strony namiotu wielkie łoże. Straż wprowadza związanego człowieka, za nim idzie Ewa młoda kobieta z dzieckiem na rękach.

STARSZY STRAŻY.

Tych ludzi miłościwy panie ujęliśmy, gdy szli w stronę Paryża, co mamy z nimi uczynić?

SIR BERNARD.

Powiesić!

EWA.

Litości panie! My obcy ludzie nic nie winni. Idziemy ze zamku Beaux-Chateau do ojca mego umierającego w Paryżu.

SIR BERNARD.

Ze zamku Beaux Chateau? Kto jesteście?

CZŁOWIEK UWIEŻIONY.

Jesteśmy słudzy starego sir de Beaux.

SIR BERNARD.

Starego sir de Beaux-Chateau (*zamyśla się*), jak się zwiecie?

WIEZIEN.

Mnie na imię jest Bernard, a ta niewiasta młoda, to najukochańsza moja żona Ewa z mojem dzieciątkiem Ewonem.

SIR BERNARD (*zrywając się*).

Co mówisz! Ona nazywa się Ewa, a jej syn Ewon, a ty zwiesz się Bernard. Łżesz nędzny!

EWA (*klękając*).

Tak się zwiemy dostojny panie. Miejcie litość nad nami. Dopiero roków dwa jak się pobraliśmy. My nic nie winni, a nie dopiero moje roczne dzieciątko, mój Ewon!

SIR BERNARD (*do siebie, pocierając czoło ręką*).

Bernard, Ewa i Ewon! Ileż wspomnień obudziły we mnie te ich imiona? Jaki świat boleści rozbrzmiał w mem sercu. Ewa i syn jej Ewon! Jedyne kochane przezemnie istoty... i utracone na zawsze (*chwila milczenia i zadumy smutnej u sir Bernarda — powoli przystępuje do klęczącej i patrzy się na nią*). Ewą jesteś!... a złote masz włosy... jak tamta i dziecko twoje zwie się Ewon, a jesteście z Beaux-Chateaux (*do straży*). Puśćcie tych dobrych ludzi. (*Wyjmuje z kalety pieniądze i daje Ewie z łagodnością*). Weź ten pieniądz na drogę i niechaj Bóg będzie z tobą i twojem dzieciątkiem.

EWA.

Bóg wam zapłać, szlachetny panie!
(*Straż rozwiązuje więźnia i on z Ewą odchodzi*).

SIR BERNARD (*stoi chwilę patrząc za niemi*).

Teraźniejszość można opanować. Przyszłość to tylko sen nadziei, ale przeszłość, tą rządzić nie można, ona jest niezmienną. Radość radością... a boleść boleścią pozostanie w niej na zawsze. (*Ciężko wdycha i odchodzi wolno ze spuszczoną głową na lewo z namiotu*).

(*Stary Rogier Wilk patrzy za Bernardem, smutnie kiwa głową i siada na stołku. Przystępuje doń Marcin*).

MARCIN.

A to co się stało wujku? Sir Bernad, który przed chwilą kazał pozabijać trzy galary ludzi, a ciała zabitych puścić rzeką do Paryża.

Sir Bernard nie przepuszczający żadnemu Jakóbkowi, tych ludzi puszcza wolno i jeszcze daje im pieniądze na drogę? Ja tego wujku nie rozumiem!

ROGIER.

Imiona ich rozculiły go... Ale stara to historia!

MARCIN.

Opowiedzcie mi ją wujku. (*siada obok niego*).

ROGIER.

Czas mamy i roboty niema, więc ci opowiem...

Przed jakoś 20 laty sir Bernard, będąc już żonatym od lat 8-miu, zakochał się na umór w pannie Ewie, córce rycerza z Beaux-Chateaux.

Podczas odbywanej przez nią pielgrzymki do cudownego obrazu w Le Mans porwał ją i uwięził do drugiego zamku swego w czarnym lesie.

MARCIN.

Byliście przy tem?

ROGIER.

Byłem! Trzymał on ją w zamku przez więcej jak półtora roku i miał z nią syna. Po roku powrócił z dalekiej wyprawy, Henryk, syn rycerza z Beaux-Chateaux... zebrał nieco zbrojnych i chciał szturmem zdobyć zamek w czarnym lesie i siostrę uwolnić, ale przy szturmie zabił go sir Bernard, a to w oczach patrzącej się z baszty Ewy, która od tego czasu do reszty znienawidziła Bernarda, gdy tenże coraz bardziej ją kochał i jej dziecko.

MARCIN.

Takie napady i gwałty często zdarzają się między rycerstwem.

ROGIER.

Nawet za często, a kto nie ma siły musi je znosić jak stary rycerz z Beaux-Chateaux.

MARCIN.

Cóż stało się potem, mówcie?

ROGIER.

Sir Bernard musiał ze swą siłą iść w pomoc bratu Henrykowi, którego sąsiad, hrabia z Grossart, niepokoił ciągle.

Przez czas jego nieobecności Ewa potrafiła jakoś uspić czujność burgrabiego i uciekła z synkiem.

Gdyśmy powrócili, sir formalnie wściekł się z rozpaczy, własną ręką zabił burgrabiego.

Szukaliśmy Ewy i dziecka po całej okolicy, ale nadaremnie.

MARCIN.

Może powróciła do ojca?

ROGIER.

Nie, ale ludzie przypuszczali, że uciekła z jednym starcem, świętym pustelnikiem, mającym swą pustelnię w lesie około Le Mans, bo i tenże zniknął w tymże czasie.

MARCIN.

A cóż sir Bernard?

ROGIER.

Sir od tego czasu stracił wszelką wesołość, ucztę i turnieje nie bawia go. Czasem gdy mu coś niespodzianie przypomni Ewę rozczuli się jak oto teraz z tymi chłopami, ale najczęściej bywa jeszcze sroższym, niżeli bywał nim dawniej.

Widać, że w jego sercu pamięć owej Ewy nie wygasła, ale że ją zawsze miłuje bezmiernie i boleje nad jej ucieczką, a i dziecka, dla którego był najczulszym ojcem.

MARCIN.

Ja dopiero dwa razy widziałem sir Bernarda jakimś rozczulonym, to jest dzisiaj i przed 8-miu dniami. gdy ten chłopak Adam wprosił się do niego do służby.

ROGIER.

Chłopak jest ładny jak dziewczyna, ale do wojny on na nie, bo na krew patrzeć nie może, a gdyśmy pobili tych prowadzących z prowiantem dla paryżan galary — chłopiec płakał, mało z żalu nie oszalał i jak wściekły stawał w ich obronie prosząc i grożąc nawet.

MARCIN.

Ufności on we mnie nie budzi, choć sir Bernard upodobał go sobie i godzinami wpatruje się w niego, gdy mu przy-

grywa na lutni. Spostrzegłem też parę razy, że chłopiec, gdy sądził, iż nań nikt nie patrzy, rzucał na pana spojrzenie pełne nienawiści.

ROGIER.

Nie widziałem tego, a może i tobie się przywidziało, bo trzeba przyznać, że łagodniejszego chłopca trudno spotkać. Dobrym jest on dla wszystkich, tak że i mnie za serce chwycił, a to przecie nie łatwo. Prawda, że na nic się on nie zda jako żołnierz, ale sir Bernad nad podziw go polubił, to też on jeden choć czasem uprosi u niego miłosierdzie.

MARCIN.

Prawda. Cieszyliśmy się na zabawę spalenia tej starej czarownicy, wczoraj w lesie przycupionej, gdy jakieś złe ziele warzyła, ale Adam uprosił sir Bernarda, że ją puścił wolno.

(Wchodzi napowrót Bernard ciągle jeszcze zadumany i smutny, a za nim Gnomek jego nadworny błazen, maleńki, garbaty, z twarzą niemal małpią, koszlawymi nogami, ubrany w strój błazeński. Marcin zrywa się ze stołka i staje przy ścianie).

GNOMEK.

Bernardku, synu mój, wiesz, że bardzo ci nie do twarzy z zasępionem obliczem. Rozchmurz no się i spojrzysz wesoło, wszak dzisiaj miałeś wesołą godzinę, gdy 45 ludzi porznęli twoi dzielni wojacy! 45 bezbronnych chłopów poszło do Boga modlić się za twą wesołość. *(Patrzy na Bernarda w zadumie siedzącego na stołku)*. Nie rozjaśniszże twego czoła? To słuchaj opowiem ci starą bajkę wesołą. *(Siada w kuczki przed Bernardem, który siadł na stołku)*.

Był raz bardzo potężny król. Sług miał 10.000 i też 10.000 wojowników. Jadał na złocie, pałac miał cały złoty; zwojował wszystkich wrogów i pozabijał ich. A był taki mocny, że gdy dmuchnął, wywracały się najstarsze dęby, a gdy tupnął nogą, drżała ziemia na milę wokoło, a był tak pięknym jak żaden święty nim nie jest. A jednak ten król nie umiał się uśmiechać i smutek ciężki nie schodził mu z oblicza i był bardzo nieszczęśliwym. Bo raz w młodości zbyszczęścił wrótkę i ta przez zemstę wyrwała mu serce z piersi, więc nie zaznał miłości nigdy i nigdy nikogo nie mógł pokochać.

BERNARD (*słuchając pod koniec opowiadania*).

To kłamstwo! Człowiek, choć raz musi kochać!

GNOMEK.

Ależ Bernardku, jakże sercem mógł ów król pokochać, kiedy nie miał serca i to go tak bolało, że rzucił królestwo i poszedł szukać tej wróżki, a gdy ją znalazł, błagał jej, aby mu ludzkie oddała serce i dawał jej za to wszystko swe złoto. Wróżka nie chciała. Dawał jej koronę i królestwo swoje. Ale wróżka nie chciała i dopiero, gdy jej zapisał własną krwią duszę swoją, wróżka powróciła mu ludzkie serce. (*zatrzymuje się w opowiadaniu*).

BERNARD.

A co potem?

GNOMEK.

Co potem? Potem król, odzyskawszy serce, radował się bardzo i chciał kochać żonę i dzieci i wszystkich ludzi.

BERNARD.

No i co?

GNOMEK.

Ale wszyscy pamiętali jego srogość tyloletnią... i nikt kochać go nie chciał, więc znowu były król chodził ze smutkiem w obliczu i bólem w sercu.

BERNARD (*wstaje, przeciera sobie czoło ręką, potem rozgląda się*).

Gdzie Adam?

MARCIN.

Gdyśmy z rozkazu waszego sir, zabijali tych ludzi wiozących promami prowiant do Paryża, Adam nie mogący zność ludzkiej męki i śmierci, nie nauczony jeszcze patrzeć na krew, oszalał zupełnie, bronił mordowanych, płakał, odgrzązał się i prosił za skazanymi przez was, a nie mogąc nic poradzić, wściekł się wyraźnie i uciekł do lasu.

BERNARD.

Głupcy jesteście! Trzeba było darować życie tej hołocie.

MARCIN (*stoi chwilę w osłupieniu z otwartą gębą*).

Nie rozumiem was sir! Jakto mogliśmy darować kiedy wasz rozkaz był wyraźny. Któż mógł nie spełnić rozkazu waszego?

BERNARD.

Idźcie obydwaj szukać Adama. Niechaj wszyscy idą go szukać! (*Rogier i Marcin wychodzi. Bernard wstaje i przechodzi się wzburzony po namiocie*).

GNOMEK.

Bernardku, czegoś się znowu zadumał?

BERNARD.

Ty tutaj? Idź mi szukać Adama. Powywieszam was wszystkich jak mi chłopiec uciecze... Ruszaj!

GNOMEK.

Pójdę już, bo nawet słyszę głosy, a zdaje mi się, że i głos Adama. (*wychodzi*).

BERNARD (*nadstuchuje*).

Jakiś gwar w obozie (*odsuwa zasłonę namiotu patrząc w obóz*). Adam idzie tutaj (*oddycha swobodnie*). Dziwna rzecz od chwili przybycia tego chłopca, przeszłość i ból za nią nie schodzą z mej myśli i nieustannie targają mem sercem. Dziwna rzecz dzieje się we mnie, jak gdyby owa wróżka zwróciła mi serce człowiecze może i kochać pragnące. (*Cofa się na środek namiotu, do którego wchodzi Ewon ubrany w barwę Bernarda jako giermek, blady bardzo, z wzrokiem ponurym, rzucającym iskry hamowanej wściekłości*).

BERNARD (*z łagodnym uśmiechem*).

Gdzież byłeś chłopcze, że cię aż szukać musiano?

EWON.

Opary krwi wylewanej dusiły mnie, a jęki mordowanych odbierały mi przytomność. Uciekłem do lasu, aby wicher wziął zemnie te mdławne opary i zagłuszył rozpaczne błaganie o litość.

BERNARD.

Dziecko! jeszcze nie znasz wojny i jej potrzeb nie rozumiesz.

EWON.

Mord bezbronnych nie jest wojną.

BERNARD.

Wojnę różnie prowadzić trzeba. Poco mamy tracić ludzi naszych w szturmach na mury Paryża, które ten Marcel umocnił i uzbroił, kiedy odcinając żywność zbuntowanemu miastu, zmusimy je głodem do otworzenia nam bram... a wtedy... ale chodź chłopcze i zwolnij mi sprzączki od pancerza, bo mnie gniotą.

(Ewon idzie i popuszcza sprzączkę jedną, stojąc z tyłu za siadającym na stołku Bernardem).

EWON.

A wtedy? mówiłeś sir.

BERNARD.

Potem ubierzemy wszystkie bramy miasta głowami buntowników, ale morderców marszałków i hersztów buntu, tych psów Marcela i Maillarda, każę turecką modą powbijać na pale, niechaj na nich trzy dni konają.

EWON *(wyrywa sztylet z pochwy i wołając głosem ochrypłym z wściekłości):*

Ty pierwszej zginiesz zbój!

(Uderza Bernarda sztyletem w kark, ale wobec wypowiedzianych słów, Bernard robi sobą ruch tak, że sztylet uderza w pancerz ześlizguje się po nim i rozdziera lewe ramię Ber-

narda — tenże zrywa się, chwytając za pięść Ewona i ściska ją tak silnie, że Ewon wypuszcza sztylet).

BERNARD (*pełnym głosem*).

Hola! do mnie strażę!

(*Wpadają Rogier, Marcin i dwóch halabardników*).

BERNARD.

Wziąć go! chciał mnie zamordować!

(*Straż rzuca się i chwytając Ewona bladego, ale stojącego prosto i patrzącego roziskrzonym wzrokiem na Bernarda*).

ROGIER.

Wyście ranni, sir!

BERNARD.

W ramię — ale gdybym na jego wykrzyknik nie był poruszył się — nóż jego byłby mi uwiązł w karku.

ROGIER.

Co zrobić z mordercą?

BERNARD.

Na śmierć!

MARCIN (*przyskakuje do Ewona*).

Ej ty szczeniaku, kołem łamać cię będę. Zapłacisz ty męką za zdradę i podstęp!

BERNARD.

Nie! powiesić go tylko! Rogier idź i spełń wyrok! Marcin obwiąż mi ramię.

ROGIER.

Wziąć go! Prosto na gałąź! (*halabardnicy popychają Ewona ku wyjściu*).

EWON.

Przeklinam ciebie morderco bezbronnych. Ciebie i całe twoje potomstwo i mą słabą rękę! (*wyprowadzają Ewona, za którym idzie i Rogier*).

BERNARD.

Zdejm mi pancerz i opatrz ranę. (*Marcin zdejmując żelaza i kaftan, ogląda ranę*).

MARCIN.

Nóż przedarł ramię. Pod maścią i ziołami zgoi się rana rychło, ale nie będziecie mogli sir poruszać ręką tą z jaki tydzień ani wdziać naramiennika.

BERNARD.

Gdyby był głupiec nie wykrzyknął przekleństwa, na które odwróciłem się, jużbym nie żył, bo w kark godził wyraźnie.

MARCIN (*obwiązuje ranę bandażem wyjętym z torebki, wiszącej mu u pasa*).

Na chwilę krew trzeba zatamować, a potem położę maść i zioła. Niezawodnie łyki paryskie nasłaly tego mordercę na was sir. Kołem go łamać trza było, ale wy sir jesteście za dobry dla tego łotra.

BERNARD.

Nie! dosyć dlań stryczek.

MARCIN (*kończy opatrunek*).

Teraz sir siedźcie spokojnie, aby krew nie buchła znowu, a ja przygotuję co potrzeba na porządný opatrunek. Ten Adam, jak się on nazwał, a czort tam zna jego prawdziwe imię, dawno mi się nie podobał, bo czasem brzydko mu ślepią się świeciły, gdy na was patrzył.

BERNARD (*z westchnieniem*).

A ja go niemal kochałem!

SETNIK GEORGE (*wchodzi i salutując u wejścia namiotu*).

Sir Bernardzie! (*urywa widząc Bernarda rannego*). Co to wysście ranni?

BERNARD.

To nic, drobnostka — przypadek! Z czem przychodzisz sir George?

SETNIK GEORGE.

Oznajmiam wam, panie komendancie, że ujęliśmy nowych sześć galarów naładowanych worami mąki i zboża, płynących do Paryża.

BERNARD.

To dobrze! Gdzieście je pochwycili? Kto je wiódł?

SETNIK GEORGE.

Z zakrętu rzeki dostrzegłem zbliżające się promy, płynęły prądem po naszej stronie. Ukryłem łuczników za parapetem mostu, zaś zbrojnych z hakami w nadbrzeżnych wierzbach. Gdy promy zbliżyły się ku mostowi, powstałi łucznicy i grad strzał i beltów spadł na przewoźników, że połowa ich padła, a ukryci w krzakach zbrojni rzucili haki na promy i przyciągnęli je do brzegu. Na statkach byli sami Jakóbkowie z nad górnej Sekwany, nie bronili się wcale, a tłómaczyli się, że ich najęto do spławienia galar.

Co mam z nimi zrobić?

BERNARD.

Powiesić wszystkich!

SETNIK GEORGE.

Oni żebrzą litości, bo nie wiedzieli, że spławiać nie wolno.

BERNARD.

Nie ma u mnie dzisiaj litości. Powiesić mówię.

SETNIK GEORGE (*wzdychając*).

Wasz rozkaz spełnić musim, chociaż jest on twardym (*salutuje i wychodzi*).

BERNARD (*do Marcina*).

Rana mnie piecze jak ogniem, a krew czuję, że się znowu puściła.

MARCIN.

Zaraz poprawię (*słychać grzmoty i wichry*). Burza jakaś się zrywa! (*idzie ku Bernardowi*).

(*Wchodzi Rogier bardzo pomieszany*).

ROGIER.

Sir! sir! stało się nieszczęście!

BERNARD (*z rodzajem radości*).

Adam uciekł ci stary?

ROGIER.

Niestety nie! Nie żyje ten chłopiec zwący się Adamem.

BERNARD (*do siebie*).

Nie żyje!

ROGIER.

Gdy skonał, żał mi się zrobiło, aby go dziobały kruki i wrony, więc kazałem zdjąć ciało — i zakopać.

BERNARD.

Tak? Dobrze zrobiłeś.

ROGIER.

Gdy zdejmowano waszą sir barwę z nieszczęśliwca, zobaczyłem na jego piersi medalion — ot ten (*pokazuje go w ręku*) Oh! Sir! sir Bernardzie — ten medalion (*urywa zakrywając twarz rękami*).

BERNARD (*wstając*).

Co ten medalion?

ROGIER (*po pauzie*).

Jest tym, który wam ś. p. matka zawiesiła na piersi przy chrzcie waszym, a wy sir zawiesiliście go na szyjce nowonarodzonego synka Ewona.

BERNARD (*z wyrazem najwyższego przerażenia, postępuje krok naprzód, wyciąga rękę po medalion i cofa ją potem*).

Rogier! Rogier!

ROGIER (*z rezygnacją*).

Stało się panie! Obaczywszy i poznawszy medalion, odsloniłem lewe ramię zmarłego. Na jego ramieniu jaśniała czerwona gwiazdka. Gwiazdka, jaką kazaliście mi wykluć nowonarodzonemu Ewonowi, pomimo próśb damy Ewy.

BERNARD (*przemaga się i wyciąga rękę ku Rogierowi, który oddaje mu medalion. Bernard patrzy nań chwilę, wypuszcza go z ręki i pada ciężko na stół, zakrywając twarz rękami*).

ROGIER (*przystępuje ku niemu i mówi rozrzewnionym głosem*).

Mieście siłę sir, stało się. (*Bernard robi ruch ręką, wskazujący, aby odeszli — i ci cofają się*).

MARCIN (*do Rogiera*).

Za chwilę przyślę mu Gnomka, może on go jakoś uspokoi i rozweseli. (*Rogier macha ręką i wychodzą cicho obydwaj. Robi się coraz ciemniej w namiocie, a pomruki burzy coraz głośniejsze słyszeć i bijące pioruny*).

Burza coraz bardziej szaleje.

BERNARD (*za chwilę odsłania twarz, patrzy w około błędnym wzrokiem, a spostrzegłszy leżący na ziemi medalion podnosi go, z rozrzewnieniem całuje, mówiąc złamanym głosem*).

Oto wszystko, co mi po nich zostało!

Plac wolny obok chaty wieśniaczej, stojącej na lewo. W głębi widać las, za którym na wzgórzu wznosi się zamek feudalny sir Jana de Vertmont w prowincyi Beauvois.

Przed chatą stoi grono weselne, złożone z około 20 ludzi, mężczyzn i kobiet wesoło rozmawiających.

Z chaty wychodzi Kogutek, błazen sir de Vertmont, rosły, garbaty potrząsając błazeńską pałeczką, woła:

KOGUTEK.

Cieszcie się Jakóbki, człowieczyny! bo będziecie mieli rycerskie wesele z węzełkiem sir Jana, a tego jeszcze nie było.

Hi! hi! ha! ha! Sir Jan z dobranymi gośćmi, chłodzi winem chuć jaka go pali do pięknej Małgorzaty, a tymczasem Mazurek, przywiedzie ją z kościoła do swojej chaty. Hi! hi! Sir mój wścieknie się ze złości!

(Występuje z grona czekających parobek w pół barwie sir Jana uderza Kogutka po garbie, że aż ten się ugina z wykrzywieniem bólu).

PAROBEK.

A jak się wścieknie to każe tobie dać sto różek tak jak przedwczoraj.

KOGUTEK *(któremu zapalają się oczy gniewem i nienawiścią).*

Obyś ty drabie kucheiku dostał ich tysiąc, boś mnie uraził w mój ozdobny garbik, na którym się odbiły te całusy mojego dobrego pana. Przyrzekł mi on takich całusów dwieście, jeżeli mu dzisiaj na wieczorową ucztę nie przyprowadzę dwunastu chłopów z pyskami na czarno posmarowanymi i z łańcuszkami na rękach, aby udawali pogańskich niewolników zawojowanych przez jego męstwo w ziemi maurytańskiej, a ja ich mam prowadzić na świadectwo niezwalczalności rycerza Jana.

PAROBEK.

A skąd ich weźmiesz?

KOGUTEK.

Ty będziesz pierwszy, a resztę zrekrutuję na tem weselu. Zapłata 25 różg dla niechcącego pomalować gęby na czarno!

(Chłopy całają się w tył za niewiasty, aby ich Kogucik nie dostrzegł).

KOBIETA.

Jakoś długo czekamy na wyjście młodej pary.

KOGUTEK.

Poczekajcie jeszcze troszeczkę mamusiu, bo tam w izbie wysłannik jakiś sir Marcela i paryżan opowiada starszym i družbom niestworzone rzeczy, z którymi go do nas, Jakóbków, wysłano.

KILKA GŁOSÓW.

Co opowiada?

KOGUTEK.

Opowiada, że teraz sir Marcel i nowy rząd mieszkają w najwyższej wieży Luwrzańskiej i z niej rozsyłają rozkazy na całą Francję. Że rozkazali, aby cały lud francuski panował i był wolny, aby posiadał na własność ziemię, którą uprawia. Opowiada, że sirom rycerzom odebrane jest prawo nad Jakóbkami, że i król tego nowego prawa słuchać musi, a że rycerze zbuntowali króla, więc my Jakóbki mamy chwytąć za kosy i cepy i walić rycerzy i stawać zbrojnie w obronie nowego prawa wolności.

GŁOSY.

Także gada? i rząd nowy rozkazuje z wieży Luwrzańskiej? więc chyba ma prawo rozkazywać, bo dotąd jeno królowie z niej rozkazywali!

KOGUTEK.

A tak mówi, i że nas jest ćma wielka, więc jak zakaszemy rękawy, to się rychło sprawimy z rycerzami i będziemy wolni i ziemię będą nasze. Tak prawi.

GŁOSY.

Jużcić, że nas jest hurma wielka, ale rycerze mają zamki warowne i trudno się do nich przemocą dostać i mają żelazne zbroje i stalowe miecze.

JEDEN Z LUDU.

Zamki bo mają, ale moją siekierą porąbałbym ich zbroje.

DRUGI.

Sto nas na jednego rycerza.

TRZECI.

A co tam bogactwa w tych zamkach.

CZWARTY.

Ugryźże je zębami.

TRZECI.

Prawda! Trudno! ale nas jest kupa!

KOGUTEK.

Hi! hi! śmieją się wam ślepia i języki mlaskają z ochoty na taką pohulanke, ale boicie się spóbować. Hi! hi! boisz się hołoto do batów przywykła, a wysłannik rządu z Luwru mówi, że w całym Beauvois Jakóbki powbijały już kosy na sztorc, a w Champanii i Pikardyi już je wbijają, a tylko czekają komu pierwszemu zbierze się na odwagę poskrobania skóry rycerskiej. Hi! hi! ale odwagi nie mają Jakóbki, bo bat pokochały, co im garbują skórę.

PAROBEK.

Ucisz twoje pianie Kogutku, bo ci twoją wygarbujem.

KOGUTEK.

Ha! ha! na moją masz odwagę. Spóbujno na sir Janeczku.

PAROBEK (*skrobie się w głowę*).

Abyś pękł przemierzły kogucie!

(W drzwiach chaty staje Wilhelm Caillet i Łazarz Krzyk, młody mieszczanin paryski, trzymający pergamin w ręce).

ŁAZARZ *(pokazując Cailletowi pergamin).*

Tak to wszystko głosi ten pergamin, wydany od rządu z pod wieży Luwrzańskiej, a od was samych zależy, czy chcecie być wolnymi, albo pozostać na wieki niewolnikami, którym nawet niewolno ożenić się bez woli rycerza, tyrana, żądającego pierwocin urody waszych córek i sióstr dla zaspokojenia swoich chuci. *(Mazurek i Małgorzata w stroju weselnym stoją za niemi).*

MAZUREK.

Tego nie będzie, bo posłaliśmy skargę do królewskiego sędziego.

ŁAZARZ.

A on zawyrokuje na waszą hańbę i upodlenie, ale jeżeli wolicie hańbę i niewolę, w tem wasza wola i upodobanie.

MAZUREK.

Zmilczcie, bo mnie krew zaleje!

ŁAZARZ.

Niechby ich własna krew zalała, a wy byli wolni! Od was to zależy.

(Z chaty wychodzi dwóch muzykantów i zaczyna przygrywać, idąc na pusty plac, za nimi postępuje Mazurek z Małgorzatą, a później Wilhelm i 15 ludzi przeważnie mężczyzn i ustawiają się parami do weselnego pochodu).

LUdzie ZEBRANI PRZED DOMEM.

Noel! Noel! młodej parze!

(Od prawej strony wchodzi intendent sir de Vertmont, Billot, zezowaty, trzymający rulon pergaminowy z pieczęcią wiszącą u takowego, a za nim dwóch pacholków zbrojnych w halabardy).

BILLOT *(głośno).*

Za pozwoleniem! Ślub i wesele potem, a teraz prawo wykonać się musi *(do Cailleta)*. Zaniósłś skargę do królew-

skiego sędziego przeciwko feudalnemu przywilejowi sir de Vertmont, przyznającego mu prawo pierwszej nocy nad poddanką jego Małgorzatą, siostrą twoją. Sir de Vertmont w łaskawości swojej dozwolił ci na zanieśnienie skargi, a oto dzisiaj nadszedł wyrok sędziego, oddający Małgorzatę jej panu. A ty zuchwale nie czekając na wyrok sądu, śmiesz siostrę wieść do ślubu. Zapłacisz mi za twą zuchwałość. *(do Małgorzaty)*. A ty dziewczyno na zamek z nami. Jutro będziecie mogli odprawiać wesele!

MAZUREK *(chce się wysunąć naprzód wściekły)*.

CAILLET *(powstrzymuje go i cofa w tył)*.

Sir intendencie, miejcie litość nad nami! Małgorzata woli śmierć od hańby. Ustąpcie prosimy pokornie.

BILLOT.

Doprawdy? Teraz udajesz się z pokorą i prośbą, a przypominasz sobie jakto zuchwale stawileś mi się, gdy przyszedłem z rozkazem sir'a, a ty odwołując się na powagę i poparcie proboszcza z Chône i protekcję tego wisielca, buntownika Marcela, zażądałeś wyroku królewskiego sędziego. *(pokazując mu rulony)*. Masz tutaj żądany wyrok, abys nie krzyczał, że się gwałt dzieje.

CAILLET.

Wyście sir Bilot wszystkiemu winni, bo wyście wskazali panu naszemu Małgorzatę i podszczuli go na mnie.

BILLOT *(śmiejąc się)*.

Wzgardziła ona memi zalotami, to niechże inne zniesie z musu prawa. Dobrze jej tak!

MAŁGORZATA *(przeleżała zrazu i zmartwiała, przychodzi do siebie, ale porywa ją rozpaczna wściekłość, pokazując palcem na Billota)*.

Jesteście sir podłym człowiekiem!

(Przez cały czas tej rozmowy, Łazarz gwałtownie tłómaczy chłopom, pokazując na rulon trzymany w ręce i widocznie podburza ich. Chłopi też coraz ciaśniejsem kołem otaczają Billota i straż jego, rzucając na nich gniewnym wzrokiem i wydając z siebie ponure pomruki złowrogie).

BILLOT (*do Małgorzaty*).

Milez sroko i pójdź z nami! (*wyciąga rękę ku niej, Małgorzata cofa się, zaś Mazurek zaledwie powstrzymuje się*).

Nie chcesz? To cię siłą wezmę i rzucę do łóża sir Jana, a zmiękniesz i spokorniejesz jutro, zostawiwszy ten pomarańczowy wianek pod kotarami łóża, który służba rano wymiecie wraz ze śmieciami! (*postępuje naprzód odtrącając Cailleta*).

MAZUREK (*zastaniając Małgorzatę*).

Ani się waż jej dotknąć!

(*Billot uderza go tak silnie w piersi, że Mazurek się aż zatacza. Ogólny groźny pomruk chłopów, Billot chwytając Małgorzatę za lewą rękę i brutalnie ją ciągnąc, wtedy ona na pół w obłąkaniu z rozpacz, prawą ręką wyrzywa mu sztylet z pochwy, wznosi go w górę ostrzem ku własnej piersi, wołając*):

MAŁGORZATA.

Wolę śmierć!

(*Mazurek szybkim ruchem wydziera jej sztylet i topi go w piersi Billota, który pada z jękiem na ziemię. Chłopi rzucają się na pachołków, po krótkiej walce obalają ich na ziemię*).

JEDEN Z CHŁOPÓW (*do innych*).

Sznurów dajcie!

(*Kilku wpada do chaty wynosząc z niej sznury, którymi wiążą pachołków i pozostawiają związanych na ziemi. — Małgorzata rzuca się na szyję brata z płaczem. Pomiedzy kobietami i resztą ludzi, nie biorących udziału w ubezwładnieniu pachołków, panuje konsternacja. Mazurek stoi ze spuszczoną głową, przerażony niejako swym czynem*).

CAILLET (*do Mazurka*).

Podnieś głowę! Stało się, nie mogłeś dozwoić Małgosi na samobójstwo.

MAZUREK (*podnosząc głowę*).

Ani nie mogłem dozwoić uprowadzenia jej, ale co teraz uczynimy?

JEDEN Z CHŁOPÓW.

Musicie uciekać dokąd was oczy poniosą.

KOGUTEK.

Tak! Tak! Jakóbkowskie dusze! Wy tylko brać baty lub uciekać umiecie. Niewolniki! Bydłęta juczne! ale nie umiejące dźwignąć po męsku żadnego skutku sprawiedliwej zemsty. Idźcie pod pręgierz, stojcie w nim 14 dni za to, żeście bezradnie patrzyli na śmierć najpodlejszego człowieka, pijawki wysysającej krew waszą i niechaj przez 14 dni kat chłosta wasze obnażone ramiona, a Mazurek niechaj idzie pod koła druzgocące jego gnaty. Wyście niewolniki, nie warci lepszego losu. *(Milczenie w tłumie. — Kogutek zapalając się, pokazuje im ręką zamek rozsiadły na górze)*. Patrzcie, tam mieszkają w złocie i szkarłacie, wasi ciemiężcy, ucztuja, a piją wino zanim jutro napiją się krwi waszej. Tam chodźcie wszyscy z mężnem sercem i toporami w dłoniach. Napijcie i wy choć raz winą i krwi ciemiężców, a ja wam dam sposób dostania się do zamku.

CAILLET *(przystępując do błazna)*.

Dobrze mówi Kogutek. Tego, co się tutaj stało, nigdy nam ci na górze *(pokazuje na zamek)* nie przebaczą. Śmierć nam, albo śmierć im!

MAZUREK.

Ja z tobą Wilhelmie. Śmierć im, albo nam.

GŁOSY.

I my! I my!

ŁAZARZ *(występując naprzód, woła wielkim i uroczystym głosem)*.

Dobrzy ludzie z Beauvois! Wy pracownicy od czarnej roli! Wy serwy dotąd niewolnicze! Wy owce dowolnie strzyżone! Wy uciemiężeni i pozbawieni opieki prawa! Wam ja wysłannik sir Marcela pana Paryża i rządu rezydującego w Luwrze, ja Łazarz Krzyk, imieniem tego rządu ogłaszam oto *(podnosi rulon pergaminowy)* nowe prawo uwalniające was z pod władzy rycerzy, nadające wam wolność i ziemię w pocie

czoła przez was uprawianą, ale macie za to dopomódz paryżanom do zdobycia i uwiecznienia tych dobroczynnych dla was praw.

Król te nowe prawa przyjął, przyjęło je duchowieństwo, a jeno część rycerzy buntuje się przeciwko prawu, a porwawszy króla z Paryża, więzi go i zmusza do walki za stare nadużycia, aby nigdy nie ustały bezprawia i zdzierstwa rycerzy. Wszak rycerstwo nie chciało bronić ojczyzny pod Poitiers i wolało się poddać Anglikom, a teraz wyciskają z was ostatki obolów na wykupno ich z dobrowolnej niewoli. Bandy zbójckie żołdactwa, włóczą się po kraju, zabierając wam ostatni kęs czarnego chleba, mordując was i hańbiąc wam córki i żony (*przez czas jego mowy, koło słuchaczy powoli się ścieśnia i głucho pomruk potakiwania coraz częściej słyszeć się daje*). Dobrze mówił przyjaciel wasz dzielny Kogutek, że tam (*pokazuje na zamek*) opływając w złocie i rozkoszy są wasi, króla i paryżan ciemniźcyiele. Was może się zebrać ogromna kupa. Idźcie w imię Boże i wszystkich świętych wyrzucić sobie sprawiedliwość za wiekowe krzywdy! Idźcie bojownicy wolności, wywalczyć sobie wolność, szczęście i bogactwo, a ja wysłannik nowego rządu kraju do tej walki was upoważniam i wzywam!

CAILLET.

Na zamek, na nich wszystkich za nasze krzywdy!

MAZUREK.

Na nich ciemniźcyieli!

WSZYSCY MEŻCZYŹNI.

Bić, mordować i palić za naszą nędzę!

CAILLET.

Kto nie pójdzie z nami, ten nasz wróg i postąpimy sobie z nim, jak z tamtymi (*pokazuje na górę*).

GŁOSY.

Pójdziem wszyscy, co do jednego. Śmierć ciemniźcom!

MAŁGORZATA.

I ja z wami i moja ręka udźwignie topór, a przynajmniej pochodnię!

KILKA KOBIET.

My też! Z żagwiami w dłoniach. Do domów po topory, kosy i cepy!

KOGUTEK.

Stójcie! Teraz dopiero poznaję, żeście ludzie, a nie bydłeta, że warcicie wolności, kiedy nie boicie się sięgnąć po nią. Ale słuchajcie! Siłą zamku w biały dzień nie weźmiecie, bo ma on za wysokie mury i baszty, a mosty zwodzone i brony spuszczone. Ale ja was do niego wieczorem wprowadzę.

CAILLET.

Jak?

KOGUTEK.

Mam rozkaz obabrać pyski na czarno dwunastu chłopom, zawdziąć na nich opończe wschodnie do mnie zniesione. Okuć ich niby łańcuchem i wprowadzić do sali jako niewolników Maurytańskich, aby się nimi mój odważny sir poszczycił, że ich pojmał siłą do niewoli. Was jedenastu a dwunasty Mazurek pójdziecie zemną pochowawszy pod opończe siekiery i noże. Caillet zresztą ukryje się pod bramą, a noc jest ciemna. My w sali zaczniemy gospodarować i wam otworzymy bramy, a wtedy... Bij, zabij! nikomu nie dajcie pardonu, zaś bogactwa będą dla was i wolność wam zaświeci przy pożarnej łunie zamku.

GŁOSY.

Wiwat dzielny Kogucik! Tak dobrze! Tak zrobim!

GŁOS JEDEN.

A potem co?

KOGUTEK.

Potem połączym się z innymi gotowymi do walki w całym Beauvois, a czekającymi jeno kto zacznie, i pójdziemy robić to samo w innych zamkach, aż nie zostanie ani jednego na naszej ziemi.

ŁAZARZ.

Ale za to nastanie wolność i szczęście narodu!

WSZYSCY.

Wybieraj Kogutek twoich jedenastu ludzi, bo już słońce zachodzi.

KOGUTEK.

Dobrze, a potem dwóch z was pójdzie po opończe maurytańskie, a ja je wam wyniosę z zamku. Hi! hi! Nie Kogucik dostanie teraz dwieście różg, ale raz przecie zapłaci za wszystkie otrzymane. Zapłaci dobrze!

(Rozgląda się pomiędzy parobkami i wybiera jedenastu).

JEDEN ZE ZWIĄZANYCH PAROBKÓW *(woła)*.

Caillet! Bójże się Boga, każże mnie rozwiązać; przecież to ja Bartłomiej, twój stryjeczny, a tamten Walek kum twój. Zabrali nas przemocą do zamkowej straży, to i my pragniemy odplacić zamkowym, za naszą przymusową niewolę.

CAILLET *(przypatrując się związanemu)*.

A to ty Bartek! a nie zdradzisz nas. I Walek też?

BARTEK.

Cóż ty myślisz, że ja już przestałem być jak ty chłopem, że mi kazali trzymać w garści halabardę i swoich walić. Dziś straż nocną przy bramie trzymają Jędrek i Marcin, też z naszej wsi i oni sami was wpuszczą tylko pogadam z nimi.

KOGUTEK *(zbliża się do nich)*.

Możesz ufać im obydwom i tamtym przy bramie, oni zarówno zemną brali baty i zarówno zemną nienawidzą cie-

mieźców i dyszą zemstą. Reszta też zbrojnych pacholków połączy się z nami, gdy zobaczy, że nie na żarty zaczęliśmy robotę.

ŁAZARZ (*do Cailleta*).

Życzę wam szczęścia i odchodzę, a idę do Royelle, bo tam ludzie gotowi do walki. Wy jak skończycie przyjdźcie tam wszyscy zbrojno dopomóż tamtym do zdobycia zamku Royelle i dodać im odwagi.

CAILLET.

Przyjdziemy, bo tutaj z pomocą Kogutka powiedzie nam się pewnie.

KOGUTEK (*do Mazurka*).

Ślub musisz odłożyć do jutra, ale wesele będziemy mieli huczne za stołami zamku Vermont (*do wszystkich*). Wy idźcie po siekiery i kosy, a ty Florku i Benedykcie zemną do zamku po opończe i czernidło. Wszyscy zaczekajcie na mnie pod trzema dębami na kraju lasu. (*wychodzi*).

CZĘŚĆ III.

Do pustelni Zacharyasza wchodzi Marcel w pełnej zbroi.

ZACHARYASZ.

Rad cię widzę, Stefanie! Przyjeżdżasz z całą dwunastką ludzi, zbrojnych od stóp do głów. Czy jedziesz na bitwę?

MARCEL.

Nie, ojcze. Do was jeno się wybrałem, ale teraz z Paryża nie można wyjść lub wyjechać samemu, lecz tylko w zbrojnym otoczeniu, wysyłając zwiady na wszystkie strony, aby nie być zaskoczonym przez jaką liczną bandę wojsk Karola. Więc i ja wybrałem się z dwunastką rycerzy, aby z wami ojcze pomówić. Może doszły do was złe wieści?

ZACHARYASZ.

Jakkolwiek mieszkam w pustelni, wiem wszystko więc niepowtarzaj.

Zła wieść posiada lot sokoli i upartość muchy. Z błyskawiczną szybkością przebywa ona przestrzenie a z uporem robaka wciska się w najstaranniej ukrywane ustronie, aby tylko zatruć ludziom błogi spokój, zachwiać ich zaufaniem a w serca wrazić jad zwątpienia i wzbudzić dreszcz obawy!

Wiem, wszystko! (*trzęsąc głową*). Nie! nie, owoc nie był dojrzałym do zerwania go.

Nie był dojrzały!

MARCEL.

Może! ale kamienia popchniętego z góry nie już nie powstrzym a on na dół toczyć się musi!

Zewsząd rycerstwo otacza Paryż.

Myślą, że mnie zduszą i ogłodzą a ze mną posiew wolności. Więc poszukałem sobie sojuszników i wnet setki tysięcy ramion stanie w obronie mojej idei.

ZACHARYASZ.

Setki tysięcy? Nie rozumiem ciebie!

MARCEL.

Posłałem moich zaufanych pomiędzy lud wiejski, tak bardzo już cierpiący i uciemiężony. Głód i rozpacz mieszkają jeno pomiędzy nim i z nim karmią się jego łzami. Zrozpaczony lud podniosę wszędzie przeciw rycerstwu. Zamki ich będą palił i w gruzy obracał. Tysiące głodnych zwycięży dziesiątki, choćby w stał zakutych tyranów. Miliony zmogą tysiące, a wtedy woła moja zapanuje wszędzie, a z nią światło, wolność i ład boży.

ZACHARYASZ.

Marcel! Marcel! Ty powołujesz cały tłum ciemny w imię światła! Powołujesz go do broni w imię wolności i ładu, którego on nie pojmuje? Jeżeli ciemna masa powstanie, powstanie w imię nienawiści i zniszczenia a nie bożego ładu i ogólnej miłości. Wszak mówiłem ci już, że masy nie pojną myśli twojej, bo zadługo leżały w barłogu niewoli i ciemnoty, że jeżeli nie da się im pierwszej światła i nie natchnie Chrystusową miłością, to one, jako rozszalałe dzikie bestye, rzucą się na zagładę wszystkiego, co jest, a nie stworzą nic prócz zagłady.

„Tylko miłość jest płodną a gwałt i nienawiść nie rodzą życia“!

MARCEL (*usłyszawszy to ostatnie zdanie, zamyśla się głęboko i powtarza*).

„Gwałt i nienawiść nie płodzą życia, a tylko miłość je daje“ (*i mówi do siebie*). Gdzieś te słowa słyszałem już i są

one najdawniejszem mojem wspomnieniem, tak jakbym je sły-
szał w chwili urodzenia mego, a potem... (*zamyśla się, przeciera
sobie ręką czoło, otrząsa się z przygnębiającego wspomnienia, podnosi
głowę, mówiąc do siebie*): Poetą nie jestem, ale mężem czynu!
Czyn mój urodził się z współczucia dla cierpień ludzi. Dzisiaj nie
sercem, ale rozumem zimnym prowadzić mi go dalej potrzeba.
Precz serca miękość! Precz halucynacye imaginacyi! Kto pożar
wzniecić musi, niechaj nie przeleka się iskier, pryskających
z pod krzesiwa. (*do Zacharyasza*) Ojcze, tylko siłą mogę zwy-
ciżyć siłę. Tylko ogniem mogę przepalić kajdany, ciężące na
ludzkości i mieczem je rozciąć, a mniejsza o to, skąd biorę
ogień i miecz, byle pękły wiekowe ogniwa niewoli. Cel wielki
stoi przedemną. Muszę iść doń wszelkimi drogami dla mnie
wolnemi. Wahanie się i słabość zgubiłyby rozpoczęte dzieło.
Przemocą idą na mnie, ja też broniąc się przemocą, takąż
przemoc rzucę na ich głowy.

ZACHARYASZ.

Zacząłeś Marcel dzieło z miłości, a prowadzisz je krwią
i rozpasaniem burzy nienawiści.

MARCEL.

Krew też jest płodną!

ZACHARYASZ.

Tak, krew ofiary, jak Chrystusa Pana, ale krew lana
z bezmyślnej nienawiści zapładnia jeno zdziczenie natury
człowieczej.

MARCEL.

Trudno! Inną drogą iść chciałem, na inną wpycha mnie
konieczność, więc pójdę nią choćby przez krew, przez płomie-
nie i zgłiszcza, bo bronić muszę rozpoczętego dzieła wolności.

ZACHARYASZ.

Wolność jest owocem miłości, cnoty i sprawiedliwości,
a ty chcesz dojść do niej drogą przeciwną?

Marcel! Marcel! idąc tą drogą znajdziesz do ruiny własnego celu i opóźnisz nadejście jego o całe wieki, bo ludzkość przeleknie się owocu, po który trzeba sięgać przez krew i rozburzenie nienawiści, zemsty i ruiny, a nadto twój przykład wskrzesi w przyszłości te fury piekielne, cofające ludzkość wstecz, w panowanie gwałtu.

MARCEL.

Gwałt jest prawem obecnego stanu rzeczy i on panuje.

ZACHARYASZ.

A ty, aby go obalić, powołujesz do życia gwałt nowy, gwałt z dołu, może jeszcze straszniejszy, bo bezwzględniejszy i trujesz serca ludzkie rozmnożeniem się jeszcze nienawiści.

MARCEL.

Nie mogę! Nie mogę inaczej! Za wszystko złe niechaj odpowiadają regent i cała szlachta. On i oni zdradzili nas i zdrada była w ich sercach, gdy wotowali reformy. Otoczyli mnie zdradą i podstępem a teraz chcą zadusić ogniwo przemoc! — Zobaczymy!

Każde życie rodzi się w bólu a ja śniłem widocznie, że wolność urodzi się bez niego — ale biada im! Oni teraz śnią rozkosznie, że ogłodzą i zdobędą Paryż i powrócą do dawnych bezpraw, ucisku i gwałtu, ale ja ich obudzę z tego snu łuną pożarną ich zamków, że odstąpią od Paryża, aby gasić swe łupieżcze gniazda. Nie dam się zadusić jak małe dziecko, ale walczyć będę do ostatka sił i taką bronią, jaka mi się nastrecza.

ZACHARYASZ.

Pocoś przyszedł do mnie, gdy już wszystko postanowiłeś?

A tak! Przyszedłeś, bo ci sumienie wyrzuca twój czyn i dusi cię poczucie odpowiedzialności za takowy, więc chciałeś, abym przytakując tobie, zdjął z ciebie część odpowiedzialności i przeniósł ją na moją duszę? Wszak chyba tego chciałeś? Ja i tak dźwigam odpowiedzialność, że moja niecierpliwość pobudziła cię do przedwczesnego czynu.

MARCEL.

Prawda ojcze, że przyzwyczaiwszy się dzielić z wami marzenia moje, chciałem i w czyny moje was wtajemniczyć, ale odpowiedzialność za nie poniosę sam.

ZACHARYASZ.

Odpowiedzialność tak, — ale skutki poniesie za twoje czyny cała ludzkość w najdalszą przyszłość.

Jeszcze raz ostatni posłuchaj mnie Marcel i rozważ, co ci powiedzą zgrzybiałe usta moje.

Podniosłeś sprawę wprowadzie chrześcijańską i sprawiedliwą, ale może o parę wieków przedwcześnie, więc ona obecnie upadnie i upaść musi, ale posiew twój był dobrego i zdrowego ziarna i byle pozostał czystym, skielkuje on czysty w przyszłości. Lecz jeżeli do dobrego ziarna domieszasz teraz kąkol i gorzycy, to one już przez wieki będą rosły razem i po czasie ludzie będą zbierali razem dobre i złe ziarna. Od pojęcia wolności nie podolają odróżnić bezrządu i swawoli; od miłości własnego narodu i warstwy społecznej nie podolają odłączyć nienawiści do innych; od prawa i sprawiedliwości — gwałtu i przemocy z dołu. Więc posiew twój wyda jeno ową mieszaninę: złem, goryczą i rozczarowaniem zaprawną i nią zatrują każdy wysiłek ludzi, dążących do światła, prawdy i szczęścia ogólnego.

MARCEL (*z westchnieniem*).

Stało się, cofnąć się nie mogę, nie mogę zaprzepaścić teraźniejszości i bronić jej będę do ostatniego. (*do siebie*) Siebie też bronić muszę, nie chcąc zanurzyć się w nicości.

ZACHARYASZ (*pochyla czoło ze smutkiem*).

Myśli nasze i drogi rozchodzą się. Więc żegnaj mi Stefanie.

MARCEL.

Muszę ojcze jeszcze jedną ranę zadać sercu twemu.

ZACHARYASZ.

Ono już i tak pełne jest boleści. (*ogląda się*) Zawsze przybywał z tobą Ewon a dzisiaj go nie widzę.

MARCEL.

Boleścią, jaka cię ojciec czeka, jest właśnie Ewon.

ZACHARYASZ.

To dobre dziecko, nie sprawi mi jej nigdy.

MARCEL.

Wzmóście ojciec serce wasze i westchnijcie o pomoc do Boga... bo... bo biedny Ewon nie żyje!

ZACHARYASZ.

Chryste! co rzekłeś? ale (*powoli spuszcza głowę*) niechaj się dzieje święta wola Boża! i tę boleść stare me serce znieść musi! Opowiedz (*siada ze spuszczoną smutnie głową*).

MARCEL.

Jam nie winien jego śmierci, bo dopiero z zostawionego do mnie listu dowiedziałem się, że Ewon chcąc ratować Paryż od najstraszniejszego naszego wroga, powziął zamiar poświęcenia swego życia dla zgładzenia go.

ZACHARYASZ.

Mów dalej (*zakrywa twarz rękami*).

MARCEL.

Dowiedziałem się następnie od jeńca, że Ewon wprosił się do jego służby i był najlepiej przyjętym. Potem wierny swemu zamiarowi, ugodził go sztyletem, ale tylko zranił, za co ten straszny człek kazał go powiesić.

ZACHARYASZ.

Kto był tym twoim wrogiem?

MARCEL.

Sir Bernard de Tancarville.

ZACHARYASZ (*wydaje krzyk rozpaczy i pada na kolana*).

Okropność!

(*Długa chwila milczenia*).

MARCEL (*podchodzi, całuje Zacharyasza w ramię*).

Ojcze! Wiara nasza nakazuje pogodzić się wam z wolą Bożą.

ZACHARYASZ (*zrywając się z roziskrzonym okiem*).

Szatańską a nie Bożą była taka wola!

Bóg nie każe dzieciom mordować rodziców, ni rodzicom dzieci!

Ewon był synem Bernarda!

MARCEL (*cofa się dwa kroki w przestרחu*).

Jezu miłosierny! (*po chwili*) Nie moja w tem wina ani grzech, bo powtarzam, nie wiedziałem o tym szalonym zamiarze Ewona.

ZACHARYASZ.

Zapewne, że nie ty kazałeś mu mordować rodzzonego ojca a nawet nie ty kazałeś mu zabijać wroga, a pomimo to dziecko łagodne jak gołąb, zapłonęło żądzą mordu, bo musiało osłuchać się w twem otoczeniu, że mord dla dobra publicznego jest zasługą, że podkraść się i zabić podstępnie wroga jest bohaterstwem, obowiązkiem względem ojczyzny, sławą i cnotą, więc odstąpienie od bożych przykazań, a głoszenie zbrodni cnotami — stało się źródłem ojcobójstwa a potem dzieciobójstwa.

Bóg nie może błogosławić sprawie, w ten sposób prowadzonej. Nie, nie może!

Zostaw mnie teraz mojej nieprzebranej boleści!

(*Zrozpaczony Marcel wychodzi ze spuszczoną głową. Zacharyasz pada znowu na kolana i podnosi ręce do góry*).

Panie! Panie! otom ja winowajca! Zmiłuj się nad duszą Ewona — i nad moją. Miałem prawo przytulić matkę z niemowlęciem, gdy pragnęła opuścić dom gwałtownika i zabójcy jej brata, ale gdy Ewa umarła, a ojciec z miłości do syna poszukiwał dziecka, nie miałem prawa ukrywania, ale obowiązek oddania je ojcu. Więc skarżąc się na panowanie bezprawia i przemocy sam popełniłem bezprawie! Ukradłem dziecko ojcu i wychowywałem je wedle mojej a nie ojca woli i myśli.

Wychowywałem je w nienawistnym kierunku zasad rodzica, jego czynów.

Wychowałem je... na...ojcobójcę! i... zgubiłem duszę tak bardzo przezemnie ukochanego Ewona.

Boże! Boże ulituj się nad zbrodnią moją i karz za nią mnie a nie niewinnego dziecka duszę! (*pada krzyżem na ziemię*).

*

*

*

Plac przed Luwrem. Brama Luwru otwarta, w niej przechadza się dwóch żołnierzy z halabardami na ramieniu, pełniąc wartę. Przed zamkiem na ławce siedzi Henryk w pół zbroi, postawiwszy lekki hełm na ławie obok siebie. Siedzi z podpartą głową na rękę smutnie zamyślony. Z Luwru wychodzi Ludwik Petit, patrzy chwilę na Henryka i przysiadła się do niego.

LUDWIK.

Wiadomości, jakie otrzymał Marcel o powstaniu chłopów, nie wesołe są, bo oni mordują wszystko, palą i niszczą. (*Henryk nie odzywa się. Ludwik kładzie mu rękę na ramieniu*). Henryku, dawny przyjacielu, powiedz mi, czemu czasami ciężki smutek przygniata cię, tak że nawet nie słyszysz co mówię do ciebie.

HENRYK.

Ale spełniam wszelkie polecenia Marcela i spełniam je dobrze.

LUDWIK.

Nikt ich lepiej od ciebie spełniać nie potrafi. Ale może niepokoi cię wyrok spełniony naszymi rękami na owych marszałkach, zdrajcach narodu, bo od tego czasu rzadko kiedy cię smutku schodzi z twego czoła, choć wiem, że kochasz twą narzeczoną, a jej miłość winnaby dawać ci szczęście.

HENRYK.

Nie, przyjacielu. Spełniłem wyrok Marcela na marszałku Champanii, jak pełni rozkaz żołnierz, nie będący odpowiedzialnym za jego wydanie. Zresztą my obydwaj wierzymy, że wyrok Marcela był sprawiedliwym, bo wierzymy w jego cnotę i rozum, jak w ewangelię, jakkolwiek dusze nasze mogły się wzdygnąć przed zabiciem człowieka bezbronnego, spełniliśmy go, bo nam miłość narodu nakazywała dać przykład posłuszeństwa obranemu wodzowi, więc nie ten krwawy czyn rzuca smutek na moją duszę, którego nawet miłość do Johannity rozwiązać nie umie.

LUDWIK.

Wszak od dzieciństwa łączy nas serdeczna przyjaźń, więc jeżeli pytam cię Henryku o przyczynę twego smutku, czynię to przez miłość dla ciebie a nie próżną ciekawość, otwórz twe serce przed przyjacielem, aby szukał balsamu na jego ranę.

HENRYK.

Wierzę w twą przyjaźń Ludwiku, więc odkryję ci tę ranę moją, na której zabliznienie nie istnieje lek żaden; bo uleczyć można tam, gdzie poprawa lub zadosyćuczynienie jest możebnem, ale jej nie ma w obec osoby umarłej. I ta właśnie niemożność najbardziej nas boli i do rozpaczcy prowadzi.

Serce pragnie choćby najcięższą ofiarą naprawić błąd, ułagodzić boleść osobie ukochanej i skowyczy z bólu, bo już nie może, bo już zapóźno, bo ona nie żyje. Więc z tem bezużytecznem pragnieniem, palącem jego duszę, będzie on chodził życie całe, nie mogąc go zadowolnić.

LUDWIK.

Niestety tak jest!

HENRYK (*przecierając sobie czoło*).

W wigilię pamiętnego dnia otrzymałem wiadomość, że matka moja czuje się umierającą w Passy i pragnie mię jeszcze widzieć i pobłogosławić.

Wiesz, że nie mogłem opuścić naszej sprawy i Marcela, więc nie pojechałem, łudząc siebie samego, że i pojutrze zastanę matkę przy życiu. W chwili, gdy topiłem mizerykordyę w sercu marszałka Champanii, matka moja skończyła z boleścią w sercu, że nie mogła doczekać się powrotu jedyne go syna i położyła na jego głowie błogosławiących rąk umierającej rodzicielki.

Nie mam prawie chwili, aby wyrzut sumienia nie gryzł mego serca, że nie spełniłem obowiązku syna, że tej konającej najlepszej matce zadałem wielką boleść w chwili skonu i że... nie pobłogosławiła mnie! A ja przecież boleści tej, którą kochałem nad wszystko, już niczem nagrodzić nie mogę. Niczem! Niczem!! (*zakrywa twarz rękami*).

LUDWIK (*z współczuciem całuje Henryka*).

Biedny Henryku! Ale i w bolesti jesteśmy braćmi.

LUDWIK (*odstaniając twarz*).

Jakto?

LUDWIK.

Wiesz, że od dzieciństwa kochałem Luizę Molot, a gdy została moją narzeczoną, kochając mnie też gorąco, przemieniłem się cały w jedno uczucie nadziei i byłem nad wyraz szczęśliwym. Życie samo śmiało się do mnie i świat cały widziany w oczach mojej Luizy, a jedynie obowiązek w obec naszego celu i Marcela odrywały mnie od mego szczęścia, od Luizy.

Ślub nasz wyznaczony był w Compiègne na 22. lutego.

Zawezwany przez Marcela, opuściłem rozkoszny miesiąc przedślubny i przyjechałem do was, obiecując Luizie, że powrócę za dni parę, które będą dla mnie latami tęsknoty.

Musiałem być z wami przez cały miesiąc, ale napisałem Luizie, że na ślub przybędę, choćby się ziemia trzęsła i niebo gorzało. Aby ona i cały orszak ślubny czekali mnie, bo choć pod wieczór przybędę gnany na lotnych skrzydłach miłości. Wiesz, bracie, że jak ty, wezwany do łoża twej matki, tak i ja w tym dniu nie mogłem opuścić was i Marcela. Wysłałem gońca z oznajmieniem, że przybyć nie mogę na oznaczony dzień szczęścia mego, ale za parę dni zjawię się najniezawodniej z sercem jeszcze bardziej pełnem miłości.

Niestety, banda jakaś wałęsającego się żołdactwa, zabiła w drodze mego gońca. Luiza w wieńcu pomarańczowym w gronie rodziny, družek i družbów czekała mnie do północy, a potem sądząc, że ją zapomniałem, wstąpiła do klasztoru... a w dwa dni później umarła, bo jej serce pękło z żalu i bolesti.

HENRYK (*rzucając się Ludwikowi na szyję*).

Ludwiku! Ludwiku! to jeszcze straszniejsze!

LUDWIK.

Mniejsza o to, że wszelka nadzieja szczęścia zamarła we mnie. Ale widzisz i ja nie mogę jej już niczem nagrodzić za boleść, wstyd i zawód straszny ... niczem! ... ani ją przebłagać, ani dowieść, że wina moja była mniejszą, niżeli sądziła. Nie mogę. Niczem i nigdy już!

HENRYK.

Więc podwójnie jesteśmy braćmi, tak w boleści jako i w poświęceniu wszystkiego dla wielkiego celu odrodzenia ludzkości.

LUDWIK.

Tak, tak, trzeba, poświęcić siebie, swe szczęście dla tego celu i dla Marcela, opatrnościowego męża i naszego wodza.

Człowiek dopóki posiada młodość, musi coś i kogoś kochać. Musi entuzjazm swojego serca, pragnienie czynu i poświęcanie się, ubierać w jakiś kształt widomy a dla nas tym kształtem jest Marcel i jego wielka idea.

Kobiety nie potrafię już nigdy pokochać, bo zanadto kochałem Luizę, więc i tę potrzebę serca oddałem na rzecz sprawy naszej, ucieleśnionej w jednej postaci Stefana.

HENRYK.

Ja też niewzruszenie wierzę w niego i w jego posłannictwo a wiara ta jest moją siłą i nadzieją.

LUDWIK.

Tak jest i ja duszę moją zbolałą, kąpię w tej nadziei i miłości i mniej odczuwam jej ból, kładąc ów balsam na krwawiącą ranę serca mojego!

(Szybkim krokiem wchodzi na plac Pepin d'Essarts i zbliża się do siedzących).

PEPIN.

Czeka cię Henryku znowu robota w twoim kwartale burzliwym, bo tłuszcza z placu des Miracles, szturmuje hotel sir Jana de Brienne i domy sąsiednich mieszczan, głosząc ich

nieprzyjaciółmi ludu ... więc przeznaczili ich mienie dla siebie jako karę tej nieprzyjaźni.

Idąc tutaj, zawezwałem twoją kompanię do broni i oni czekają gotowi na ciebie. Spiesz się, abyś nie przyszedł zapóźno.

HENRYK (*zrywa się, kładzie hełm na głowę*).

Idę, biegnę! Bywaj zdrowy Ludwiku. — Ot taka robota to też lekarstwo na smutki. — (*podaje mu rękę, którą Ludwik ściska*).

PEPIN.

Niechaj Bóg ci szczęści.

HENRYK.

Dziękuję wam sir Pepinie! (*wychodzi*).

PEPIN (*siadając przy Ludwiku*).

Skaranie Boże z tą tłuszcza, a biedny Henryk musi nieustannie narażać życie i pięścią a płazem uciszać tę czerń chciwą krwi i łupu w imię wolności, której bez gwałtu i rabunku nie rozumieją.

Wolność w ich pojęciu, to panowanie ich liczebnej brutalnej przemocy, a wrogiem każdy pragnący ładu i panowania prawa.

LUDWIK.

Mnie się zdaje, że od początku świata podobnie być musiało, czego dowodem Kain mordujący Abła za jego powołzenie i tak też będzie, dopokąd pojęcie prawdziwego chrześcijaństwa nie zapuści korzeni aż w duszę i obyczaj ludzkości, aby ono stało się źródłem praw wszelkich, aby prawo ludzkość uznawała za gwarancję wolności wspólnej wszystkim, zaś miłość bliźniego aby łagodziła różnicę powodzeń życiowych.

PEPIN.

Takie idealne stosunki, może jeno swą wszechmocą wprowadzić Bóg na ziemię.

LUDWIK.

Tak Bóg ... lub konsekwentna praca wieków, prawdziwych chrześcian.

PEPIN.

Bóg i jego szczerzy wyznawcy sięgają dobre ziarna dla przyszłości — ale i szatan nie próżnuje i zasiewa swoje! Marcel na przykład, dał się skusić i poruszył chłopstwo, a żniwem tego ruchu jest jeno krew i zniszczenie.

LUDWIK.

Marcel musiał szukać pomocy w tej drżemącej sile.

Lecz gdy ona się wyburzy, da się ująć w karby, tworząc potęgę nieprzełamalną dla idei wolności.

PEPIN.

Marzycielem jesteś jako i Marcel. Wszak widzimy, jak pojmuje słowo wolność czerń miejska. Marcel pomimo oporu naszego zamianował Karola Złego wodzem wojsk naszych. Będziesz widział, że ten ohydny królik zdradzi nas i do zguby powiedzie.

LUDWIK.

Wszak Stefan wyłuszczył nam swoje powody i one przemówiły i przemawiają za nim.

PEPIN.

Zobaczymy!

Regenta wojsko ściska Paryż coraz bardziej żelazną obręczą i w końcu zwycięży nas.

Radziłem aby wejść w układy z Karolem, choćby przyszło opuścić coś nie coś z naszego programu, ale Marcel nie chce, bo duma mu na to nie pozwala i upór bezwzględny, głuchy na wszystkie najlepsze rady, a ta duma i upór zgubią nas wszystkich. Ty mu wierzysz ślepo jako i Henryk, a ja wam mówię, że Marcel nas zgubi.

LUDWIK.

Dlaczego wy sir pragniecie koniecznie zachwiać we mnie i w Henryku wiarę w Marcela? a mówicie, że czynicie to przez przyjaźń dla nas.

Wiecie wy, że wiara i wszelkie wierzenia człowieka są źródłem, z którego bije dlań cała masa szczęścia.

Odwróćcie człowiekowi to źródło lub go wysuszczone a dusza jego będzie schła aż zmarnieje, zginie, przepadnie ogarnięta posuchą rozpacz, że znikło mu to w co wierzył a z nim spokój zaufania i cała masa radości z tego wierzenia płynące.

PEPIN.

A jeżeli wiara twa była pomyłką?

A jeżeli wierzysz w ułudę tylko?

LUDWIK.

W ułudę mówicie? a czy wy wiecie, gdzie leży granica ułudy i prawdy?

Prawdą bezprzeczną jest jeno Bóg. Reszta wszystko na ziemi może być prawdą lub ułudą — ale dopóki trwa ta ostania, jest ona prawdą przez nasze wierzenie, prawdą może najbardziej kochaną, po której stracie pozostaje nam jeno czarna noc zwątpienia... nicość duchowa.

Te wierzenia nasze zlewają na nas błogi spokój zaufania, rodzą uśmiech słodkiej nadziei, zapalają do czynu i dają moc nadludzką niezwykłości i wytrwanie nadludzkie.

Żołnierz walczy mężnie dopóki ufa w nieomyłność swojego wodza.

Mąż dotąd śpi spokojnie i używa szczęścia dopóki wierzy swej żonie, ojciec dzieciom, a dzieci ojcu, obywatel państwu a państwo obywatelom.

Ja zaś czuję się szczęśliwym i ufnym, dopóki wierzę w Marcela.

Odejmcie mi tę wiarę a padnę jak podcięty badył, uschnę i przejdę w nicość, przeklinając wszystkie daremne moje wysiłki ducha, umysłu i ciała, wszelkie poświęcenia serca mojego ... zrozpaczony sierota po sobie samym!

PEPIN.

Wybacz mi Ludwiku, bo ni boleści ni przykrości nawet nie chciałem uczynić twemu szlachetnemu sercu.

Szanuję i będę szanował twą wiarę — a dajże Boże aby cię ona nigdy nie zawiodła. Tego ci z całego serca życzę.

LUDWIK.

Z utratą tej wiary musiałyby się skończyć i moje życie!

PEPIN.

Nie mówmy już nigdy o tem.

Szanuję w tobie te uczucia zacnego człowieka a politykę zostawię dla siebie. (*do siebie*) Szlachetny fanatyk przyjaźni zaślepiającej go, ale niechaj będzie choć tem uczuciem szczęśliwy!

(*Z Luwru wychodzi Marcel, Maillard, Charny i czterech jeszcze członków wydziału rządzącego*).

MARCEL (*do Ludwika*).

Dobrze, że jeszcze zastaję cię tutaj, bo oto uradziliśmy, że trzeba przygotować akcyę zaczepną, nie czekając na naszego wodza z Nawarry, który za 5 dni nadciągnie z wojskiem do Paryża.

LUDWIK.

(*Ludwik z Essartem wstali na przywitanie przybywających*).
Jestem zawsze na usługi rządu.

MARCEL.

Wódz nasz, jak już listownie porozumiałem się z nim, przeciągnie tylko przez Paryż aby się z nami rozmówić, objąć naczelne dowództwo nad naszą siłą zbrojną i zaraz wyruszy przeciwko regentowi.

Plan ma być następujący:

Król ze swoim wojskiem i częścią naszego, pociągnie na fortecę w Meaux, bo tam jest główne oparcie wojsk Delfina i jego magazyny, ale po drodze będzie się starał urządzić nieco bandy Jakóbków*) i co z nich uładzi weźmie z sobą ku

W roku 1358 kiedy zachodziły opisane wyżej wypadki Jakóbkami (Jacques) nazywano chłopów; stąd Jacquerie — powstanie Jakóbków.

Meaux, jako pomoc przy szturmach — bo do tego tylko okazali swą zdolność.

Ty zaś Ludwiku weźmiesz twoje dwie kompanie i zaraz jutro wyruszysz w stronę obozu Cailleta. — Przygotujesz chłopstwo do poddania się pod rozkazy Karola a zanim on przybędzie podzieli ich na kompanie, dziesiątki i setki dając każdej dowódcę — no i staraj się powstrzymać ich rozpasanie.

D'ESSARTS.

W tem ostatniem trudne będzie miał Ludwik zadanie, bo łatwiej tłuszcę wzburzyć, niżeli z tego materiału stworzyć coś organicznego.

MAILLARD.

W imię własnej wolności i bezpieczeństwa zgodzą się na zaprowadzenie ładu, a tem samem siły własnej.

PEPIN.

Nasze przedmieścia nie dają im dobrego przykładu.

MARCEL.

Przedmieścia i tłuszcę od placu des Miracles trzyma w karchach Henryk — a i ty Ludwiku postaraj się uczynić to samo z tymi pośród chłopów, którzy nie pojmą potrzeby ładu.

D'ESSARTS (*do Pepina*).

Oni wszyscy nie pojmą tej potrzeby.

LUDWIK.

Zrobię na co mnie stać będzie!

(Z lewej ulicy wlewa się powoli tłum ludu przedmiejskiego, pomiędzy nimi Zaczek).

ZACZEK (*do jednego z ludu*).

Sikorka obwiąż mi łeb tą szmatą a potem wdziej mi twój kaptur, aby nie widzieli, żem zraniony.

SIKORKA.

Cofnij się w tył Zaczek, to ci łeb owinę.

ZACZEK.

To ten wściekły Henryk tak mnie uraczył, aby go psy żarły.

(Z ulicy wysuwa się dwunastu poważnych mieszczan, podążając z powagą ku stojącym przed Luvrem).

MARCEL *(do Essartsa).*

Cechu rzemieślniczego i kupieckiego ludzie i przełożeni tych cechów idą ku nam.

(Deputacya cechowa zbliża się i kłania przed Marcelem — a tłuszcza powoli się też zbliża z tyłu poza deputacyą).

RENE *(cechmistrz stolarzy).*

Sir Marcelu wodzu nasz i wy dostojni Sirowie, członkowie rządu.

Cechy nasze wysłały nas z uzaleniem na brak żywności, który z dniem każdym bardziej się czuć daje.

ZACZEK *(z tłumu).*

Chleba chcemy!

RENE.

Dostawy Marną i Sekwaną zupełnie ustały. Tydzień było jakoś lepiej, bo hrabia Bernard mniej pilnował, ale od paru dni przypływają do miasta zawsze puste promy z pobitymi przewoźnikami — a i woda niesie trupy jeno.

Raczejcie dostojności wasze zarządzić, aby przynajmniej od zachodu i południa sprowadzano żywność, bo miasto zostanie ogłodzone.

Na przedmieściach i chleb już coraz rzadszy.

(Głuchy pomruk w tłumie).

Chleba nie mamy. Straż miejska morduje nas niewinnych! Morduje a jeść nie ma co — i to wolnością się nazywa.

ZACZEK *(do innych).*

Wołajcie! Wrzeszczcie!

GŁOSY.

Tyranię cierpimy i głód!

INNE GŁOSY.

Chcemy wolności i chleba!

RENE (*mówi dalej spokojnie*).

Milicyi mamy do 30.000, więc prosimy, abyście dostojni rządcy nasi rozważyli, czyby nie pójść na złego sir Bernaeda i nie wypchnąć go z nad górnej Sekwany i Marny.

Raczzcie, prosimy, zaradzić niedostatkowi miasta.

BERNARD *cechmistrz kupców*.

Handel wszelki ustał, towary ani przychodzą, ani odchodzą. Nie kupuje nikt — a wywieźć towaru z miasta już nie można. Cośmy z towarem wysłali czeladź, to przepadło wszystko, towar i ludzie. Jednych zabrały wojska Delfina; drugich zrabowali zbuntowane Jakóbki; trzecich bandy wałęsające się po kraju.

My już nie mamy żyć z czego, a do tego kramu nie otwieraj, bramy domów trzymaj pod wrzciędzem, bo hołota z przedmieść zaraz wpadnie, kradnie, rabuje i morduje, a i dzisiaj zrabowała hotel de Brienne i kilka mieszczańskich domów i żeby nie straż kwartalna pod dowództwem sir Henryka, którego niechby Bóg i św. Denis błogosławił...

GŁOSY w tłumie.

Niech przepadnie!

BERTRAND.

Toby część miasta zrabowała ta czerń, jeno rabunku i krwi chciwa, (*pomruk w tłumie*).

GŁOSY.

Wam jeno wolność a nam ma być niewola!

MARCEL.

Dobrzy ludzie Paryża! Sławetni cechmistrze! Mogę podać do waszej i całego miasta wiadomości, że to zło na jakie użalacie się słusznie, rychło ustanie.

Rząd wasz oddany jest z całem przejęciem naszej świętej sprawie wolności z ładem połączonej i nie opuści jej do ostatniego tchu w piersiach, do ostatniego uderzenia serc naszych.

Możecie nam zaufać w spokoju, użyjemy wszystkich sposobów dla tryumfu naszej i waszej sprawy, która jest sprawą całej ludzkości, dobra, wolności, sprawiedliwości i szczęścia ogólnego.

Otóż już za pięć dni zjawi się przed naszymi bramami z licznem wojskiem, wódz nasz sławny Karol, król Nawary i też zaraz ruszy na wroga pragnącego nikiemnie ogłodzić stolicę Francyi, nie mającego miłosierdzia dla cierpiących jak nie miał on nigdy miłosierdzia dla narodu, cierpiącego odwieczne nadużycia i przemoc silniejszych.

Teraz moc tego wroga zetrzemy raz na zawsze, aby zapanowała wolność i sprawiedliwość.

Lud wiejski powstał w całej swej mocy i miliony rąk od roli przyjdzie nam z pomocą.

Rząd wasz posyła jutro dwie kompanie milicyi pod dowództwem Ludwika Petit na pomoc chłopskim bojownikom, aby zaprowadzić między nimi ład i posłuch i z tej jeszcze bezradnej masy stworzyć wojsko narodowe, któremu wolność i własność będzie sztandarem, a dobro ludu i ogółu bodźcem do czynów bohaterskich, nim król Karol a nasz wódz, obejmie komendę nad tym dzielnym ludem od roli, a bracią naszą, i powiedzie go do zwycięstwa.

Za parę dni Paryż wolnym będzie od blokady a my wszyscy podamy sobie dłonie w tym dniu radosnym, wołając: „Zwyciężyła idea wolności, sprawiedliwości i bożego ładu na ziemi“!!!

Te zaś niesforne żywioły, dyszące jeno rabunkiem i gwałtem, te piekła siły — rząd wasz potrafi utrzymać w poszanowaniu prawa.

Odejdźcie spokojni, bo rząd wasz czuwa nad wszystkim.

René i deputowani kłaniają się i odchodzą wznosząc okrzyk) Noel! Marcel!

MARCEL.

Kiedy spotkałem cię tutaj Ludwiku to chodź a dam ci na jutrzejszą twoją wyprawę wszystkie objaśnienia i instrukcje.

Bywajcie zdrowi przyjaciele (*klania się wszystkim ręką i wchodzi z Ludwikiem napowrót do Luwru*).

D'ESSARTS.

Chodźmy i my do domów.

(Podają sobie ręce i w małych grupkach rozchodzą się w różne strony. Tłum też rozchodzi się, część jedna z Zaczkiem i Sikorką pozostaje i skupia się koło nich).

ZACZEK.

Słyszeliście bracia co ten łgarz mówił, jak on łął tym łykom miejskim o wolności a te barany wierzą mu.

Ma on wolność dla siebie i swoich, ale dla nas prawdziwego ludu, już mu jej braknie.

SIKORKA.

Tego tyrana drugiego z Nawary sprowadza sobie na wodza, aby pomógł mu gnębić lud.

SEKATY KIJ.

Jakóbki pohulały sobie trochę, chcą i oni użyć prawdziwej wolności a ten tyran już posyła Ludwika a zanim Nawarczyka, aby ich dzielili na dziesiątki i setki, aby wprzęgali ich w nowe jarzmo.

SIKORKA.

Że też to święci nasi znoszą takie na ziemi tyraństwo i fałsz?

Henryk będzie nas trzymał w karbach, ten kundel tyranów i to zwie się wolnością.

ZACZEK.

Czekajcie no bracia, bo mi dobra myśl przychodzi do głowy.

SIKORKA.

To gadaj, bo masz dobry rozum.

ZACZEK.

Marcel i ten jego kochany rząd, posłali swoich do chłopów, aby ich poburzyć na rycerzy a teraz chcą z nich zrobić podpory swej mieszczańskiej tyranii.

Czy to my, lud prawdziwy nie możemy zrobić tego samego?

SEKATY KIJ.

Dlaczegożby nie — tylko jak?

ZACZEK.

Łapy masz silne, ale rozum krótki.

Ot tak. — Roześlemy i my swoich pomiędzy chamów i będziem ich szczuć nietylko na rycerzy ale i na miasta.

Nauczymy ich, że prawdziwa wolność zależy na tem, aby i oni i my z miast zarządzili ale nie łyki i rycerze, karmiający się naszym i ich potem.

Będziem im gadali, co ślina na język przyniesie, byle nie dali się jarzmić i na wojsko obracać, ale niechaj hulają, a w łeb walą każdego co im będzie bronił tej wolności.

Pies ziemie, jeżeli Jakóbki, takiej rozumnej rady nie posłuchają.

SEKATY KIJ.

Co nie mają posłuchać. Wszak wolność każdemu miła; a też miło odbierać pasibrzuchom, co z naszej pracy złożyli.

SIKORKA.

Doskonale gada. Ot rzekłem, że Zaczek to mi łeb!

INNI.

Tak jest, pójdziem do Jakóbków i nauczym ich wolności.

ZACZEK.

A potem zmówim sobie bandę tęgich chłopców z pomiędzy Jakóbków, wpuszcim ich do miasta i dalejże po tyranach aż wióra będą leciały.

WSZYSCY.

Tak zrobim, tak zrobim! Noel Zaczek!

ZACZEK.

Dobrze! ale stulić pyski aby nikt się nie dowiedział, cośmy tu uradzili — bo u nas bydła jest dużo, które nie powinno wiedzieć, co starsi i mądrzejsi robią, bo ich rola milczeć i słuchać, gdy my dla ich dobra pracujem.

Ja i Sikorka dobierzemy sobie z was kilku i dzisiaj jeszcze ruszymy do Coilleta. Ty Kiju ostań tutaj, bo ty mało zdalny do takiej roboty — zaś za dni sześć przyjdiesz nam opowiedzieć co się tutaj będzie działo.

SEKATY KIJ.

Niech i tak będzie!

ZACZEK.

A teraz rozleźmy się i pyski trzymać, aby nie nie wygadać, bo ktoby się wygadał, pójdzie pod nasz sąd i zaraz na hak, jako zdrajca ludu! Warować mi — i ślepo słuchać tych, którzy dla waszego dobra za was myślą — a inaczej nie będzie prawdziwej wolności.

Szeroka bardzo polana w lesie zasiana tu i ówdzie pojedynczo stojącymi wielkimi drzewami.

Na polanie gwar i ruch. Całe tłumy chłopstwa kręcą się wszędzie zbrojne w przeróżny sposób — w kosy bojowe, cepy nabijane gwoździami, piki, osęki i topory.

Niektórzy okryci częściami rycerskiej zbroi, inni pół nadzy.

Szałas na skraju lasu posklecane z chrustu i gałęzi. Ognie palą się wszędzie, a przy nich gotują strawę w czym kto może; w kociołkach, a gdzieś tam w rycerskich hełmach.

Mnóstwo przeróżnego łupu leży kupami, a przy nich największy gwar, klótnie i bijatyki.

Co chwila nadciąga jakaś banda zbrojna, niosąca i wioząca na dwukołowych wózkach przeróżną zdobycz, a czasami prowadzi jakiegoś niewolnika okrwawionego i w podartej odzieży.

Za przybyciem każdej nowej kupy powstaje krzyk i nawoływanie, a nowa banda znalazłszy sobie miejsce, układa się na nim i ogień rozpala.

Na pagórku pod rozłożystym dębem, wzniesienie z ziemi, na którem postawiony rodzaj stołu zbitego z desek, parę zydlów i jedno wielkie karło skórą obite, zabrane z zamku, z wielkim herbem rzeźbionym i malowanym, wieńczącym szczyt wysokiego oparcia.

Przed pagórkiem tym dwóch chłopów z kosami odprawia wartę.

Mazurek siedzi na zydłu wpół zbroi, z głową zawiązaną chustą pokrwawioną, hełmik jego stoi na stole.

Naczelnik każdej powracającej bandy idzie, zdaje mu sprawę z tego, co uczyniono.

Czasem klóćący się lub bijący, odwołują się do jego sądu, a on wydaje go krótko i stanowczo. Kilku ludzi stoi lub siedzi blisko Mazurka, gotowych na wypełnienie jego rozkazów, pomiędzy nimi Kogutek w błazeńskiej czapce, ale w napiersniku, mając przy boku przywiązany szeroki miecz rycerski.

O kilkanaście kroków na lewo siedzi pod drzewem Linda Witowa, blada i bardzo smutna, trzymająca dziecko na kolanach. Obok niej Ludka o obliczu bez kropli krwi, z włosami rozczochranymi,

oczami w obwódkach czerwonych i wzrokiem jakoby szklannym, niewidzącym nic przed sobą.

Przez polanę w stronę wzniesienia idzie Maciek Wrona, chłop w pełnej błyszczącej zbroi rycerskiej, w wysokim hełmie, ozdobionym pękiem piór strusich białych i czerwonych, z ogromnym mieczem przy boku i tarczą z godłem rycerskim.

Zbroja widać za dużą jest na niego, a szczególnie żelazne kamasze za długie, bo co chwila idąc wolno i szeroko rozstawiając nogi, zawadza końcem kamasza o ziemię i potyka się, aż zawadziwszy o korzeń przewala się na ziemię z wielkim brzękiem zbroi. Tłum wybucha śmiechem, wołając:

TŁUM.

Rycerzu naucz się pierwszej chodzić, a potem wdziewaj zdobytą zbroję. Hu! hu! Sir de Rochecrou. Hu! hu!

MACIEK WRONA *(przybrany w zbroję, dźwiga się z trudem i siada)*.

Aby cię psy za życia ogryzały, ty sam psie de Rochecrou, żeś za dużą na mnie kazał sobie zrobić zbroję, a te przekłute żelazne buty za długie i ryją wciąż ziemię jak wieprzki *(zdejmuje żelaza dolne do kolan i rzuca je od siebie, stojąc wolno i ciężko na gołych do kolan nogach)*. Teraz będę mógł choć iść powolnie, bo te piekielne żelaza wszędzie gniotą i ranią mą chłopską skórę. *(Zbierając tarczę, po którą ciężko mu się zgiąć)*. Jak te hycle ruszać się mogą i jeszcze bić w takiej żelaznej skorupie?! Aby ich święty Denis pokarał i wiecznym ogniem palił!

(Idzie raźniej już ku Mazurkowi, a stojąc przed pagórkami, kłania się z trudnością, mówiąc):

Sir komendancie, powracam z moimi z Champiere. Zdobyliśmy cały zamek, bo nam nasi przyjaciele, pachołkowie paterne otworzyli, ale dużo moich naginęło, za to nie daliśmy nikomu pardonu, a baby i dzieci spalili w zamku, zabrawszy wprzód, cośmy ino unieść mogli i co się nam zdało przydatne, więc skóry, żelaziwa, zbroję wszelką, płótno i jadło, zaś resztę spaliliśmy przy wielkiej radości dobrych Jakóbków.

MAZUREK.

Dobrze sprawiliście się, a teraz spocznijcie. (*chłop w zbroi odchodzi wolno napowrót skąd przyszedł*).

KOGUTEK (*woła do odchodzącego rycerza*).

Hej Maćku Wrono! Cóżto kumie, czy od czasu jak zostałeś baronem De Rocheclou, już nie witasz się z towarzyszami i nie oddajesz honoru wesółkowi wojska jasnie wielmożnych Jakóbków?

MACIEK (*zatrzymuje się i powraca do Kogutka siedzącego z czterema innymi na pagórku*).

Jak się masz Kogucie wrzaskliwy, mnie wstyd witać się z tobą kumie, dopóki nie zdejmiesz ze łba twej błazeńskiej uszatej czapki.

Czyż wypada zwycięzcy rycerza de Vertmont nosić na sobie strój błazna?

KOGUTEK.

Myślisz, że każdy jak ty ma prawo nosić nazwisko i hełm po pobitym rycerzu.

MACIEK.

A czyż nie gracko rozwalilem baronowi łeb toporem, więc jako do zwycięzcy, wszystko po nim do mnie należy — takie jest prawo.

Ty zaś poderżnąłeś gardło Vertmontowi, zostałeś jego szwagrem, a dotąd nosisz barwę zwyciężonego wroga.

KOGUTEK.

Tem większy zaszczyt dla wojska i króla Wilhelma, że ja pogromca Vertmonta i zdobywca jego zamku, jestem waszym błaznem.

Ty chłopie baronie nie wiesz, że błazeństwo jest panem świata, a ludzie więcej jemu hołdują, niżeli królom i samemu Bogu — a ty baronie najbardziej.

Ludzie patrząc się na błaznów, nie u jednego potężnego króla nie dostrzegają dzwonków w jego majestacie — ale ty Wrono nie zrozumiesz tych prawd.

MACIEK.

Jużci, że nic nie rozumiem z tego, co ci się tam przegaduje.

Cóżeś zrobił z damą Adelajdą de Vertmont?

KOGUTEK (*śmiejąc się*).

Ha! ha! ha! Ta dumna siostra mojego sira, która za lada mądrzejszy żarcik kazała mnie smagać, po zdobyciu zamku, musiała znosić moje gorące słowa i dowody miłości i tak mnie pokochała, że mnie aż gryzła i pluła w twarz, z czem jej było bardzo ładnie. Ha! ha! Bardzo było jej ładnie!

Towarzyszyła nam ona wprawdzie na sznurze, ale zawsze z wielką do mnie miłością, aż do nocnego szturm na klasztor w Mos, gdzie korzystając z ciemnej nocy, przegryzła sznur i uciekła — niewdzięczna za tyle dowodów mej miłości. Za to ze zdobytego klasztoru wzięłam sobie inną i potulniejszą żonę.

MACIEK (*śmiejąc się*).

Hej Kogutku! Kogutku, wesołe przy wojsku prowadzisz życie.

KOGUTEK.

Największą sztuką jest umieć wesoło żyć — a jak przyjdzie czas taksamo umierać.

MACIEK.

No żyjcie sobie wesoło kumie, a ja muszę już iść do mojej kompanii, bo to bydlę zaraz za łby się bierze o lada łupu kawałek, jeżeli nie czuje mej pięści nad swymi karkami.

Mówię ci, że to skaranie boskie mieć pod swem dowództwem taką trzodę!

KOGUTEK.

Hi! hi! Idźcież kumie, idźcie pięścią uczyć wolności waszych braci w kompanii!

(*Maciek odchodzi*).

O kilkadziesiąt kroków od drzewa, pod którym siedzi Linda i Ludka, zatrzymuje się Henryk, narzeczony Ludki, niosący wiązankę kwiatów i Łazarz.

ŁAZARZ.

Niesiesz kwiatki dla tej biednej obłąkanej dziewczyny?

HENRYK.

Tak. Czasami na widok kwiatów uśmiecha się biedactwo, inaczej siedzi dnie i nocę z temi strasznymi szklannemi oczami, jakby to ich nieszczęście oprócz rozumu i mowę jej odebrało.

ŁAZARZ.

One z tobą tu przyszły?

HENRYK.

Gdy wieczorem owego fatalnego dnia wesoły i swobodny, bo z miłością i nadzieją w sercu szedłem do mojej narzeczonej, zobaczyłem wychodząc z lasu, łunę pożarną w stronie ich chaty, a gdy przybiegłem, bolesny obraz ujrzały moje oczy.

Chata dogorywała, a pod najbliższem drzewem siedziały one. ot jak teraz — Witowa trzymająca dzieciątko, a Ludka — moja Ludka w obłąkaniu. Wita, ni drugiej jego córeczki Maryanki nie było.

Z pomocą dwóch sąsiadów podołałem zaprowadzić je do siebie, a potem powoli dowiedziałem się o straszej rzeczywistości.

Maryanka umarła, zanim zbójcy opuścili chatę, a Ludka dostała obłąkania. Wit wściekł się z rozpacz i sromu. Umęczonej na śmierć Maryanki nie dozwolił ruszać, a chatę podpalił i uciekł w świat.

ŁAZARZ.

Straszną opowieść twoja. Cóż potem uczyniłeś?

HENRYK.

Poszedłem z innymi zdobywać i palić zamki i miasta, a one poszły z nami. Przed tygodniem spotkałem Wita z Cail-letem, Mazurkiem i całą chmarą Jakóbków, powracających po zdobyciu zamku Bouville. Wit cały czerwony od krwi, jaką przelewał, gdy zobaczył niewiasty, zawył tylko jak wilk i zaraz ruszył na nową wyprawę.

Przedwczoraj spotkaliśmy oddział zbrojnych arcy-księdza, pobiliśmy ich, bo nas było dwadzieścia razy więcej i wzięliśmy czternastu do niewoli, ale Wit, nasz dowódca, pomordował wszystkich jeńców, a ich starszego przybił w krzyż na dębie i sam nożem zdarł skórę z niego i tak go zostawił konającego.

ŁAZARZ (*do siebie*).

Okropność!!

HENRYK.

Zaczekaj, aż złożę nieszczęsnej te kwiatki na kolanach.

ŁAZARZ (*patrzac na Henryka, do siebie*).

Poszedł, złożył kwiaty i pocałunek na głowie obłąkanej, a ona nie widziała i nie poznała go, tylko przy pocałunku usta wykrzywiły się jej bólem jako małemu dziecku, któremu się zbiera na płacz.

Odszedł z westchnieniem, a ona nie widzi i nic nie czuje, szklannymi źrenicami zapatrzona w jakąś dal.

HENRYK (*powracając*).

Chodźmy, bo serce pęknie mi z boleści. (*odchodzą*).

(*Pod drzewem siedząca Ludka, budzi się niejako z głębokiego snu*).

LUDKA.

Jakąś woń czuję! (*spogląda na kwiatki leżące na jej kolanach, na twarzy jej maluje się niewinny dziecienny uśmiech szczęścia*).

Kwiateczki! Takie ładne! (*bierze je w ręce i całaje*).

Kwiateczki! (*przygląda się im*). Niebieskie, białe, różowe i lilla. Kwiateczki! To dobry proboszcz przyniósł mi je na ślubny wianuszek, takie świeże i niewinne! Zaraz uwiję z was

wianek na weselne moje gody... a przyjdzie Henryś... Przyjdzie po wianuszek mój.

Zaraz uwić go muszę! (*zwijając wieniec, nuci cichym, smutnym głosem*).

To rozmaryn, a to ruta i zieleni świat,
W którą włożę ten białeńki pomarańczy kwiat.
Zwijam wieniec piękny, zwiję, włożę go na skroń,
A mój miły narzeczony sięgnie ręką poń.

(*Podnosi wieniec w górę z radością w twarzy, potem ogląda go i jakiś bezziemny przestrach i groza odbijają się w jej szklanych oczach*).

Co to? Wianuszek mój ślubny oblaźło robactwo! Jak się ono wije po nim i patrzy na mnie szyderskimi oczkami. Jakież to brzydkie, wstrętne i potworne, a zgnilizna wieje z wianka.

(*Wydaje przeraźliwy krzyk, rzuca wianuszek uwity, zrywa się i trzepiąc rękami jakby owo robactwo strzepać z nich chciała i z krzykiem ucieka przed siebie na lewo, a ludzie wszędzie usuwają się biegnącej z drogi, aż niknie w lesie. — Linda płacząc przytula dziecko do piersi, nachyla się nad niem potem całuje. Dziecko zaczyna płakać*).

LINDA.

Cicho dziecino, zaraz obetrę ci usteczka, bo matki gorzka łza padła na nie, ale widzisz maleńki — oczy moje już jeno takie gorzkie łzy ronić umieją, a słodkich, szczęścia, już w nich nie ma i nie będzie. Cicho dziecino!!

* * *

Przez polanę idzie SIKORKA i ZACZEK, wysłannicy przedmieścia Paryża, zaś z drugiej strony dąży ku nim SĘKATY KIJ.

SIKORKA.

Zaczekajmy, towarzysz nasz Sękaty Kij idzie ku nam. Przybył on dopiero co z Paryża, to nam opowie co nowego.

ZACZEK.

A my mu też opowiemy naszą tutaj robotę. (*zbliża się Sękaty Kij*).

SĘKATY KIJ.

Jak się macie towarzysze i przyjaciele, widać nie próżnowaliście tutaj, bo robotę widziałem dobrą i rzetelną.

ZACZEK.

Jak się masz druhu?

Robiliśmy, cośmy umieli, ale nie wiele trza było namowy, bo Jakóbki jak zakasali rękawy, tak młóć a młóć, że aż plewa leci.

SIKORKA.

Już mało zamków i miast pozostało w tej stronie a Jakóbki oczyścili z nich okolicę. Biją, rzną i palą a rabują, aż miło. Nie przepuszczają nikomu, nawet małe dzieci pieką w ogniu palących się zamków.

SĘKATY KIJ.

U nas nie dobrze, ale i dobrze!

SIKORKA.

Mów.

SEKATY KIJ.

Ci nowi tyrani, Marcel, a szczególnie ów nasz przeklęty kwartalnik, uciskają lud coraz bardziej, żadnej nie dają wolności, bo ona u nich tylko w gębach, ale za byle jaką pohulaną grożą stryczkiem i w kajdany kuja.

Dobrze znowu jest, że nasi mają już dosyć tej okrzyczanej wolności kończącej się tem, że bogate mieszczechy chciałyby teraz rządzić ciężiej od króla i szlachty, bo już po placu des Miracles łażą patroli Henryka, że nieszczęsny lud nie może się nigdzie zgromadzić i uradzić jakąś małą wyprawkę na nienawistnego kupca lub innego mieszczanina, nieprzyjaciela wolności ludu.

Więc wszyscy mamy już dosyć tych mieszczańskich rządów i czekamy ino, abyście kiedy z kupą wielką Jakóbków podeszli zniemack pod naszą bramę.

SIKORKA.

Zrobi się i to.

My już mamy pomiędzy Jakóbkami ujednanych tęgich chłopców, przyjaciół prawdziwej a nie pyskowej wolności, a jak się cała ta chłopska czerń zbliży do Paryża, pójdą oni z nami pomacać i mieszczańskie skóry.

SEKATY KIJ.

To dobrze, ale przyjechał tutaj nowy wysłannik mieszczan i Marcela, Jan Rudy, aby spróbować okiełznać pracę Jakóbków i nakłonić ich do porządnej wojny z Karolem wojskami. Trzeba nam przeszkodzić tej robocie naszych nowych tyranów.

ZACZEK.

Jest tutaj od nich wysłany i Łazarz, ale on ino dopomógł do dobrego początku, bo Jakóbki nie głupie, nie zaniechają pomsty nad szlachtą i mieszczaństwem, gdyż im prawdziwa wolność i rabunek spodobały się.

SEKATY KIJ.

To dobrze... ale lepiej być ostrożnymi.

On tam obalamuca ludzi, więc i my chodźmy rzec mądre słowo.

SIKORKA.

Jużciż, że chodźmy i huzia! huzia! na jego gadanie obłudne.
(*Odcodzą na prawo, gdzie gęsta kupa ludzi zebrała się.*)

Ho! ho! Znamy my język, jakim do Jakóbków przemawiać trzeba, aby go zrozumieli.

* * *

Z prawej strony polany kupa ludzi otacza JANA RUDEGO, stojącego na skrzyni. W tłum ten wciskają się pojedynczo SIKORKA, ZACZEK i SEKATY KIJ).

JAN RUDY (*mówi, stojąc na skrzyni*).

Pan Marcel powiedział i ogłosił, że jak pobijem rycerzy i panów, wtedy wszyscy będą sobie równi i równe mieli prawa, tak chłop na zagrodzie, jako i rycerz w swym zamku.

CHŁOP I.

Coś ci się w łepiecie pomieszało. Czyż na to zdobyliśmy tyle zamków, aby panowie do nich powracali, a my do chat naszych... my do nędzy, a oni do dostatków?

CHŁOP II.

Głupiś! Kiedy my silniejsi, to my panować będziemy a oni niechaj idą w niewolę.

JAN RUDY.

Powiadam równość będzie i równe prawa.

ZACZEK.

Co to jest równość? a gdzie ją masz! Jedna góra jest wielka a druga mała. Jeden człowiek silny a drugi słaby. Jedno zwierze Bóg stworzył wilkiem a drugie baranem. Jednego ptaka orłem a drugiego gołębiem. Gdzie jest równość. Tej nie ma i być nie może!

CHŁOP I.

Jak Bóg stworzył świat, tak on już zostanie. Były i będą wilki i barany, orły i gołębie... silni i słabi. Wilk ma prawo

żyć się baranem, orzeł gołębiem a silny słabszym. Wszędzie tak było od stworzenia świata i inaczej być nie może.

JAN.

Ale Pan Jezus kazał kochać bliźniego jak siebie samego.

PIERWSZY.

Kochać ja mogę ojca, dziecko i swego najbliższego, ale abym kochał tak, jak siebie, na przykład sir Bernarda albo Marcina Dzika, którzy mnie całe życie gnębili, tego i Pan Jezus nakazać mi nie może, bo się to sprzeciwia mojej naturze ludzkiej.

SIKORKA.

Prawo takie rozumieć możemy, że pobiliśmy rycerzy, więc my jako silniejsi panować mamy! Ziemię ich zabrać a ich, o ile żyją, zaprządz do pracy dla nas.

TRZECI.

Tak było i tak być ino może, a inaczej stać się nie może.

DRUGI.

A tego, co gadasz Janie, nikt nie zrozumie, chyba że sam pan Marcel chce nas oszukać, abysmy nie korzystali z naszej siły.

SEKATY KIJ.

Tak jest! Chce nas oszukać i piaskiem nam zdrowe oczy zasypuje i prawi nam rzeczy takie głupie, że i najgłupszy powie, że to głupie.

JAN.

Pan Marcel ustanowił, że cały naród, wszyscy we Francyi żyjący ludzie są od dziś dnia królami kraju... zaś król jest ino urzędnikiem, wypełniającym wolę i rozkazanie tego narodu i musi tak rządzić, jak ten cały naród mu każe, tak aby każdemu dobrze było.

(Chłopi śmieją się).

PIERWSZY.

Czy kto słyszał takie głupstwa, jak rzekłeś.

Król będzie słuchał, co mu wszyscy rozkazywać będą? To ma czynić, co ja, ty i co każdy mu każe? Ależ panu Marcelowi w głowie się przewróciło, że w niej nie ma tyle rozumu, co u maleńkiego dziecka!

DRUGI.

Król jest królem, królem będzie i będzie rozkazywał wedle swej woli, boć na to jest królem i my przeciwko niemu nie występujemy.

Nie! Broń Boże! nie przeciwko królowi, ale przeciwko rycerzom i panom. Ich pobiliśmy, więc ich ziemią się podzielimy, a król zostanie królem, a my jego rycerzami będziemy.

SIKORKA.

Tak jest! tak będzie!

DRUGI.

Bałamutów żadnych nie słuchamy i to jeszcze takich, jakich nikt nawet zrozumieć nie może.

PIERWSZY.

Nie może... bo bezrozumne są!

TRZECI.

Bo się sprzeciwiają porządkowi jaki jest na świecie całym od jego stworzenia. Cóż ty Janie masz jeszcze na to powiedzieć?

JAN (*zakłopotany*).

Ja? Ja rozumiem, gdy pan Marcel wyklada to wszystko co wymyślił o równości prawa i o królestwie wszego ludu... i o miłości bliźniego, która rządzić powinna. Ale ja wam tego wszystkiego ani powtórzyć, ani wyjaśnić nie potrafię.

TRZECI.

A widzisz, że nie potrafisz, bo nikt nie potrafi, gdy głupstwo jest.

JAN.

Sir Marcel potrafi!

PIERWSZY.

Ale musisz przyznać, że równości nijakiej nie ma i nie było na świecie, że jest na nim wilk, baran, orzeł i gołąb, że jest na nim silny i słaby?

JAN.

Też prawda, że było tak i tak jest!

DRUGI.

Też przyznasz, że mocniejszy żywi się słabszym?

JAN.

No prawda, że barany nie zjedzą wilków! a małe dziecko ni baba nie będą mną rządziły.

PIERWSZY.

Ani dziecko nie może mieć tego prawa nad rodzicem, jakie ma rodzic nad dzieckiem.

TRZECI.

Ani nie może być, abyśmy miłowali jak siebie samych, naszych ciemiężycieli.

PIERWSZY.

Ani aby król pełnił twoje i moje rozkazy?

JAN (*coraz więcej zakłopotany*).

No prawda jest wszystko, ale gdyby tu był pan Marcel, toby wam okazał, że on ma rację i że to wszystko możebne jest i dobre, co się oczywiście wydaje, że niemożebne. Ale ja tego wygadać nie potrafię.

PIERWSZY.

A widzisz, że i ty jego powiernik nie potrafisz, bo nie rozumisz, a chcesz abyśmy zrozumieli co do zrozumienia nie jest.

ZACZEK.

Rozumieć można to, na co oczy patrzą, to co jest i jakie jest, ale zrozumieć nie można tego, czego niema i wedle naszego rozumu nie może być.

TRZECI.

Może ono mogłoby być kiedyś przed końcem świata, ale teraz nie może być, boć tego nikt rozsądny, chłopski prosty rozum mający, nie zrozumie.

ZACZEK.

Szkoda gęby na puste gadanie. Szkoda czasu na mitręgę. Jest nas kupa, mamy siłę, więc na zamki, na fortece. — Brać, zdobywać, palić i niszczyć gniazda złe kamienne... dalej robić jak robiliśmy.

TŁUM.

Bić, mordować, zabierać! Na zamki, na fortece, na miasta. My silniejsi, więc prawo nasze. Bić, mordować, zabierać!

SIKORKA.

Zabierać, bośmy silniejsi, ich w niewolę — a ich dobro dla nas!

DRUGI.

Mamy naszego króla Cailleta, jego jeno słuchajmy.

ZACZEK.

Żadnych mieszczan paryskich znać nie chcemy, bo i oni wrógami są prawdziwej wolności ludu biednego.

SEKATY KIJ.

Tak jest! Oni teraz chcieliby rządzić i uciskać lud gorzej od króla i od szlachty. — Śmierć i im, nowym tyranom!

SIKORKA.

Śmierć wszystkim sprzeciwiającym się wolności ludu i jego woli.

TLUM.

Tak jest, tak jest! — Powracaj skąd przyszedłeś. My nikogo nie słuchamy, jeno siebie i króla Cailleta.

ZACZEK.

Pięścią w zęby Judasza, sługę nowych ciemieżców, kłamcę oszukującego lud głupią i kłamaną mową.

SIKORKA.

Zdrajca, sprzedawczyk wrogom ludu. Walić go! *(kijem zamierza się na przestraszonego Jana Rudego, ale MAZUREK przecisnąwszy się przez tłum a z nim czterech starszych w wojsku, chwytą go za kark i odrzuca na bok. Tłum z pomrukiem ustępuje się Mazurkowi trzymającemu w ręce miecz goły).*

MAZUREK.

Łeb rozplątam pierwszemu, który go ruszy.

Przybył do nas wysłany od sir Marcela i rządu z Luwru. Naszą, starszyny rzeczą i króla Wilhelma gadać z nim. *(do Jana)* A ty z nami gadaj nie z nimi. Idź mi pod dąb i nie rusz się stamtąd.

(Jan ze strażnikami odchodzi pod dąb... Mazurek chowa miecz i odchodzi na lewo).

SIKORKA.

(do Zaczka) I tutaj zaczyna się tyrania a te barany słuchają tego Jakóbka, obranego trzecim ich panem.

Oj! kiedyż nastanie prawdziwa a nie obłudna wolność ludu!

* * *

Od lewej strony polany nadciąga kupa zbrojnych z krzykiem i tryumfem wiodąc siedem młodych kobiet jeńcem i Mateusza ze związanymi rękami skaleczonego w głowę. Zbrojni niosą i wiozą na wózkach wiele zdobyczy. Inne gromady biegną naprzeciwko przycho-dzących, witają się, głośno nawołują i wypytują o wynik wyprawy. Na czele zbrojnych idzie dwóch dowódców w kawałki zbroi ubranych, kłócąc się ze sobą.

KAROL BRODATY i JACEK OLBRZYM.

KAROL.

Dziewki są nasze, bośmy pierwsi weszli do miasta ze wschodniej strony.

JACEK.

Wasze? proszę! Ale gdybyśmy nie byli wpadli z południowej, kuso byłoby z wami.

KAROL.

Już się nie wadźcie, mam tego krzyku dosyć, niechaj król Wilhelm rozsądzi czyje są — a ja wam proponuję tak: my weźmiemy te trzy szlacheckie dziewczki i jedną mieszczańską tę czarną a wy bierzcie sobie trzy inne.

JACEK.

Nie ma zgody na taką krzywdę.

KAROL.

To niechaj król nas sędzi!

JACEK.

Niechaj sędzi, ale wam nie przysądzi!
(*Nadchodzi Łazarz*).

ŁAZARZ.

Widzę, że powiodło się wam dobrze, a gdzież król wasz, Wit i reszta zbrojnych?

KAROL.

Król z Witem i dwoma tysiącami, pociągnęli w stronę ku Paryżowi, nam zaś kazali zdobyć zamek w Montleaux. Gdyśmy szli do zameczku nie bardzo obronnego, widzieliśmy z góry jak jego mieszkańcy cichutko wynosili się z niego drugą stroną ku miastu, więc Jacek poszedł ino zobaczyć co zostało w zameczku, my zaś poszliśmy prosto do miasta.

Mury w nim ladajakie i bramy pognite, więc hurmą napadliśmy, wylamali bramy i nuże po rycerzach, którzy do miasta uciekli... a było ich tam siła, więc bij! zabij! na broniących się w ulicy, aż my ich uspiłi wszystkich.

JACEK.

Z naszą pomocą, bo gdyście borykali się w ulicy, myśmy wleźli drugą bramą i napadli ich z tyłu.

KAROL.

Jużciż prawda, że przyszliście, gdy moc ich już słabła.

JACEK.

Nie bardzo jeszcze słabła, ale myśmy ich dokonali, a potem pohulali nieco z mieszczankami.

ŁAZARZ.

Miasta są naszymi przyjaciółmi, mówiłem wam to tyle razy, ale wy na polityce nic się nie rozumiecie.

KAROL.

A nie znamy, a jak bijem, to bijem wszystko w czambuł... a jak bierzem, to bierzem co się nam nada.

JACEK.

Jak wojna to wojna i trudno tam pytać kogo, jaki on jest. Jakóbek, to swój, a nie Jakóbek to go przez łeb i kwita a jego dobro dla nas. — Taką jeno politykę znamy.

ŁAZARZ (*kiwa ręką z niecierpliwością*).

Król wasz i Wit czy daleko pójść mieli?

KAROL.

Mieli iść na spotkanie jakichś wojów ciągnących nam na pomoc z Paryża. Nam też kazali, abyśmy ucapili jaki oddziałek z bandy arcy-księdza i żywcem go przywiedli do obozu, bo się chcą od pojmanych dowiedzieć, gdzie jest reszta wojska rycerskiego.

ŁAZARZ.

I co? Złowiliście kogo?

JACEK.

Dobrze i nie bardzo... bo ujrzelismy jak pod górę dążyła kupka, może dwudziestu a... może i coś więcej zbrojnych wojów na pomoc miastu.

KAROL.

Co gadasz, że dwudziestu? Jam ich porachował na ziemi a leżało tego więcej niż trzydzieści.

JACEK.

A może... ja tyle palców nie mam, abym to zliczył dobrze. My się zasadzili w domach a oni walą prosto ulicą. My z domów i bij! i z okien śmigamy w ciasną ulicę co było ciężkiego. No i tak oni ni wprzód ni w tył, bo z przodu stanął Karol a ja z tyłu z bocznej ulicy a z okien śmigają nasi różności i łomotają wojów... kilku zaś z naszych uznało, gdy jeszcze szli ku miastu, pod górę, że oni z bandy arcy-księdza.

KAROL.

Ja wołam żywcem brać, bo taki rozkaz.

JACEK.

Ja też tak wołam i krzyczę aby się poddali.

ŁAZARZ.

No i co?

KAROL (*drapie się w głowę*).

Oni to niby poddali się, ale cóż robić z naszym bydłem nieposłusznem. — Ten go kosa, ten siekiera a ten pika. — No i uspili wszystkich tak, że ino Jacek jednego dowódcę podolał trochę żywego wziąć do niewoli.

ŁAZARZ.

To źle się stało. Ale chociaż tego jednego uwiążcież do drzewa i nie dajcie go zgładzić, boć od niego dowie się król Wilhelm co mu wiedzieć trzeba.

JACEK.

A no tak zrobimy i postawię przy nim wartę — a jak nie będzie jucha chciała gadać prawdy, to my już mamy sposób, aby mu gębę otworzyć. *(odchodzi w tył do Mateusza i swoich).*

Przywiązać go do drzewa dobrze sznurami i postawić przy nim wartę, aby żył i gadał przed królem, o co się go będą pytali.

(Chłopi prowadzą Mateusza i przywiązują go stojąco do drzewa wpół i przez ramię tak że ruszyć się nie może a ręce wtył już ma związane).

MATEUSZ *(proszącym głosem).*

Dajcież mi chrześcijanie choć łyk wody bo pragnę bardzo.

CHŁOP *(który go przywiązał).*

Jeszcze ci zbóju po wodę będę chodził, widzisz go! *(odchodzi).*

JACEK.

Mrok się już robi pod drzwiami, zapalić pochodnię a jest ich dosyć przyniesionych z miasta i wbić ją przed jeńcem, aby po ciemku czego nie zmalował. *(Jeden z chłopów przynosi zapaloną pochodnię i wbija ją w ziemię o parę kroków przed Mateuszem; wszyscy odchodzą na prawo rozpalając ogień — tak, że Mateusz zostaje się sam — a o kilka kroków od niego kładzie się jego wartownik na ziemi z kosą przy sobie, wyciąga się podłóżywszy ręce pod głowę).*

MATEUSZ *(zmęczonym i cierpiącym wzrokiem rozgląda się).*

Nawet wody nie dadzą... Pogańskie chamskie plemię! Pomordowali naszych w mieście, pomimo, że się poddali i mieszczan pomordowali. Pogański naród!

Z lasu wychodzi Ludka, podrapana do krwi na twarzy gałęziami, w obdartej odzieży. Idzie bardzo zmęczonym i chwiejnym krokiem z wzrokiem omdlewającym ze znużenia. Nadchodzi na pochodnię — staje przed nią bezmyślnie i patrzy w światło — za nią o sto kroków postępuje Henryk i też zatrzymuje się.

LUDKA.

Światło! ogień! To chata goreje a w chacie pali się trup Maryanki... Och! (*chwytą się za serce*) — (*powoli oczy jej zapalają się złowrogim ogniem*). A w tej chacie... oni... zbóje!

(*Oczy jej spotykają przywiązanego do drzewa Mateusza. Bezmierny strach maluje się w nich*).

On i znowu on! (*zakrywa oczy*).

MATEUSZ.

Wody daj mi kropelkę na miłość boską... kropelkę wody.

LUDKA.

(*Obudza się na ten głos, wściekłość bezprzytomna ogarnia nią całą i wstrząsa nią*).

Wody chcesz? Masz ją!

(*Wyrwa pochodnię z ziemi i przytyka ją do twarzy Mateusza, któremu zapala się broda i włosy i wydaje krzyk bólesci i przerażenia*).

Gorejesz! ale oczy twoje jeszcze patrzą na mnie. (*Pochodnię wypala mu oczy*). Niechaj nie patrzą.

Zgasły oczy! Więc wargi jeszcze spalę, które mnie bezcześciły. (*Przykłada mu pochodnię do ust. Na krzyk Mateusza zrywa się strażnik. Henryk biegnie pędem a i inni schodzą się ludzie. Mateusz cały czarny od opalenia z wypalonymi oczami i wargami tak, że w jamie ustnej bieleją jeno zęby, wydaje przeraźliwe głosy bólu*).

LUDKA.

Zęby jeno świecą ci się do mnie a oczy zgasły a płonąłeś jak pochodnia. (*śmieje się strasznym śmiechem*) Ha! ha! ha! tylko zęby zostały. (*obraća się parę razy w koło wołając*) Zęby jeno! białe zęby!

(*Upada na ziemię. Henryk nadbiega, podnosi jej głowę, opierając ją o kolana. Czerwone światło pochodni odbija się w Ludki zeszlonych oczach*).

HENRYK (*z bólescią*).

Umarła! (*bierze ciało w ramiona i odchodzi w las*).

MAZUREK (*pilnujący porządku w obozie, nadchodzi*).

Co tu za krzyki i jęki?

JACEK (*przybiegając*).

Oh dla boga spalił mi ktoś jeńca (*do strażnika kopiąc go w brzuch nogą*).

Łotrze! dozwoliłeś spalić go, kiedy kazałem ci pilnować.

STRAŻNIK (*podnosząc się*).

Ja ległem sobie... a w tem nadeszła obłąkana Witowa dziewczka i zanim poskoczyłem, ona pochodnią zapaliła go.

MAZUREK.

Niema drugiego jeńca.

JACEK.

Jednego jeno żywego wzięliśmy.

(*Mateusz wydaje ciągle niezrozumiałe straszne jęki*).

MAZUREK.

Już z tego nic się nie dowiemy. Nie mogę znosić tych strasznych jęków i patrzeć na mękę tego człowieka. (*do straży swej*). Rozwał mu łeb toporem, niech się to skończy.

(*Strażnik uderza toporem w głowę Mateusza — jęki jego milkną. — Mazurek odchodzi*).

* * *

Z lasu wyjeżdża chłop na koniu, powiewając chustką; jedzie galopem, wołając:

„Król nasz jedzie, a za nim wojów dużo zbrojnych“.

Pędzi ku pagórkowi, wołając ciągle: „Król jedzie“.

Zamieszanie w obozie, wszyscy biegną ku lasowi — a Mazurek ze swą strażą idzie na wzgórek pod dąb, przy którym siedzi JAN RUDY rozmawiając ze strażą. Ci, którzy później przychodzą, idą na środek polany. Starsi w wojsku chłopskim ubrani jak kto mógł się przystroić, podążają ku dębowi, a z nimi ŁAZARZ; tenże wita się z JANEM RUDYM.

JAN (*do Łazarza*).

Żleście pokierowali Łazarzu, to nie wojsko wolności, ale rozbewolniona tłuszcza, swawolna, ino krwi chciwa i łupu!

ŁAZARZ.

Nie można było inaczej... oni słowa moje zupełnie inaczej zrozumieli, no i stało się jak widzicie, ale będą się oni dobrze bili z wojskiem Regenta, byle kto rozumny objął nad nimi komendę.

JAN.

Och! Czy to drapieżne bydło, posłucha kogo rozumnego?!!

(*Od strony lasu wznoszą się krzyki i tumult*).

GŁOSY.

Noel królowi Jakóbków! Noel król Wilhelm!

(*Wyjeżdżają z lasu obok siebie jadący: w środku Wilhelm Caillet, na ogromnym bojowym ogierze, ubrany w półpancerz i hełm z mieczem przy boku, po jego lewej stronie jedzie Wit bez żadnej zbroi, jeno z toporem w ręce i tarczą zarzuconą na plecy, chmurny i dziko patrzący. Po prawej zaś stronie jedzie Ludwik Petit w pełnej rycerskiej zbroi z podniesioną spiczastą przyłbicą. Za nimi czwórkami idą dwie kompanie gwardyi pary-*

skiej, porządnie uzbrojone, ze sztandarem miasta Paryża. Bębny biją i piszczałki grają. Tłum chłopski patrzy na żołnierzy paryskich, jedni z niechęcią, a drudzy z pewną dumą i radością).

TŁUM (woła).

Noel królowi! (to znowu) Noel Paryżowi!!

(Z pagórka zchodzi Mazurek i Jan Rudy i reszta naczelników. Trzech jeźdźców zsiada z koni przed pagórką, oddaje konie służbie i witani przez czekających wchodzi na pagórek. Wilhelm siada na wysokim krześle... po prawej jego stronie Ludwik, po lewej Wit, a obok Ludwika Mazurek — reszta 12 naczelników stoją około stołu lub siadają na stołkach i na czem kto może.

Gwardya paryska zatrzymuje się o sto kroków przed pagórką, a następnie kapitanowie rozkazują złożyć broń w kozły i spocząć, jak kto może i chce. Jedni siadają, drudzy kładą się na ziemi, a inni kupkami rozmawiają.

Tłum chłopów w półokrąg otacza milicję, trzymając się od niej w odległości paru kroków.

W tłumie stoją Zaczek, Sikorka i Sękaty Kij).

SIKORKA (do Zaczka).

Czy ty masz jeszcze takie dobre uszy, jak je miałeś, gdyśmy jeździli z budą po Overgnii, a tyś dziwował naród, że słyszysz wszystko, co kto najdalej gada.

ZACZEK.

Cobym nie miał ich mieć, ja i stąd, choć nie bardzo dobrze słyszę, bo wiaterek w bok idzie, co oni tam gadają pod dębem, witając się.

SIKORKA.

Stańmyż tedy pod wiatr, ot tam. Ty słuchaj i gadaj nam wszystko, co usłyszysz, bo musimy pierwsi wiedzieć ich zamysły.

ZACZEK.

Dobrze, chodźmy na prawo nieco. (idą na prawo i stają, Zaczek wysunięty naprzód o trzy kroki).

SIKORKA *(do Sękatego Kija)*.

Ludwik zdjął helm i rozprawia coś z zapalem do chłop-
skich dowódców, a oni potakują mu głowami. Teraz podnieśli
ręce i wrzeszczą: „Chcemy wolności i ziemi“!! *(do Zaczka pół
głosem)*. Co on im gada.

ZACZEK.

Łże, że im wolność przynosi, tak jak nam w Paryżu łgali
o tej ich wolności, a głupie chamy myślą, że to prawda.

SĘKATY KIJ.

Znowu gada, a chłopcy jakoś nie tak wesoło patrzą i spo-
glądają na siebie zdziwieni i niezadowoleni. *(do Zaczka)* Co
im prawi teraz?

ZACZEK.

Zaraz! *(po chwili)*.

Aha! Powiada, że taką wojną, jaką dotąd prowadzili, nie
nie wywalczą, ale trzeba, aby z band swoich utworzyli porządne
wojsko, bo inaczej Regent i rycerstwo pobije ich.

(Słychać wyraźnie podniesiony głos dowódców).

My też do nich nie idziem!!

(Głos podniesiony Ludwika).

Ale oni przyjdą do was i rozniosą was na kopiach i mie-
czach!!

SIKORKA *(do Kija)*.

Ha! ha! To się im jakoś nie podobało i nie podoba, co
on dalej wyklada, bo Jakóbki poruszają się i strach im z oczów
patrzy, a po łbach się drapia. *(po chwili)* Gada ciągle i coś
przedstawia.

GŁOSY DOWÓDCÓW.

Nie chcemy innego wodza i tu mamy króla swojego
Caillaeta!!

SIKORKA.

Dobrze! Dobrze! nie dajcie się zakuć w kajdany... *(po
chwili do Zaczka)* Co on powiedział?

ZACZEK.

Powiedział, że Paryżanie wybrali sobie na wodza króla Nawary i że on przyjdzie tutaj z wojskiem swoim uczyć Jakóbków wojny.

SIKORKA.

Aha! tego się im zachciewa, aby i u Jakóbków udusić prawdziwą wolność. Łotry! Szalbierze! Tyrany! *(za chwilę)* Ah! ah! co to? Wit się zerwał ze ślepiami krwią nabiegłymi i wali pięścią w stół.

(Głos Wita donośny).

Nie chcę... Bij! zabijaj, nie chcę tych wilków wściekłych! Śmierć im! *(do Zaczka).*

Czego on się tak wściekł?

ZACZEK.

Bo Ludwik powiedział, że nowy ich wódz weźmie na żołd bandy rycerskie, aby im dopomagały w wojnie.

SIKORKA *(cicho się śmiejąc).*

Wierzę, że Witowi nie smakują gachy jego żony i córek!

SEKATY KIJ.

Ot znowu gada Mazurek, no i ich król gada, a Witowi ledwie krew z gęby nie tryśnie, ale spuszcza łeb coraz niżej. Znowu Ludwik łże im cosik, a chamy spuszczaają też łby, coś źle się dzieje. *(do Zaczka)* Co gadają?

ZACZEK *(kiwa wtył ręką).*

Cicho!

(Wszyscy stoją w milczeniu, aby z ruchów radzących odgadnąć co mówią).

SIKORKA.

Znowu Caillet gada, a łeb ma spuszczoney i chmurno mu patrzy z oczów. Wit zakrył twarz rękami. Ludwik podaje ręce królowi i Mazurkowi, a Witowi coś perswaduje. Wstają.

ZACZEK.

Skończone!

Aby ich psy pożarły — chodźmy na bok, opowiem wam
(*odchodzą w głąb i stają pod drzewem*).

ZACZEK (*ciężko addychając*).

Barany, głupcy, bydło, trzoda chlewna, chamy. Na wszystko się zgodzili!

SEKATY KIJ.

Gadaj, a prędko. — Na co się zgodzili?

ZACZEK.

Długo nie ma co gadać. Oto nowi tyrani ludu, swego wodza króla Nawary narzucili głupiemu chłopstwu.

SIKORKA.

A oni zgodzili się na takiego wodza, który weźmie ich w łapy i pozbawi dotychczasowej wolności.

ZACZEK.

Co to gadać z tem bydłem przywykłem do jarzma. Zgodzili się i koniec!

SEKATY KIJ.

A Wit, który się tak rzucał, też się zgodził?

ZACZEK.

I jego też zagadał ten pies Ludwik. Ale szkoda gęby i czasu.

Tutaj sprawa wolności skończyła się, chłopstwo pójdzie w jarzmo naszych mieszczańskich tyranów, bo się boi, że samo nie podola rycerstwu, więc część jego więcej do bata nawykła, pójdzie bić się z wojskiem regenta, a potem i nas bić i jarzmić gotowa.

Ale i pomiędzy Jakóbkami są, jak wam mówiłem, tęgic chłopcy, nie chcące być pacholkami tej tam pyskowej wolności Marcela i mieszczan.

Otóż tak zrobimy.

Wy dwaj zostańcie tutaj, zmówcie sobie tych chłopów a gdy oni ruszą ku Meaux, które głupcy mają szturmować, wy z tymi przyjaciółmi prawdziwej wolności, oddzielcie się od całej tej głupiej bandy i posuńcie się ku Paryżowi, a weźcie ze sobą Karola i Kłodę, bo oni mają mądre głowy.

Ja zaś pójdę przygotować naszych paryżan i wszystko zarządzić, abyśmy gdy podciągniecie pod Paryż i ukryjecie się w lasach, w sposobnej chwili otwarli wam naszą bramę. Ja zaś jeżeli się to da jakoś tam wlulam się do Maillarda i przystawię stołka Mercelowi, któremu Maillard nie ufa i zazdrości.

SIKORKA.

Bardzo dobrze! My z Jakóbkami wpadniemy do miasta i hejże po mieszczanach, tyranach, a Marcela, Maillarda i tego Henryka i cały ich tyrański rząd obwiesim w oknach Luwru i zaprowadzimy rząd... rząd wolności ludu niczem w swej woli niekierowanego.

SEKATY KIJ.

Tak zrobimy, a ty Zaczek będziesz znowu naszym królem, bo masz rozum potemu. Pohulamy sobie w mieście z nożem i żagwią.

ZACZEK.

Więc pamiętajcie, abyście się dobrze sprawili.

Hej! gdy dostanę ja w moje pazury tego psa Henryka, to go ze skóry żywcem obłupię, bo to największy nasz tyran, a wszędzie znajdzie się, gdzie my pragniemy użyć naszej wolności i sprawiedliwość sobie wyrządzić nad ludu wrogami.

SIKORKA.

A może trza wziąć i Maćka Wronę. Jego chłopcy dzielnie sprawili się w Rochecrou.

ZACZEK.

Dajcie mu jeszcze spokój.

Od czasu, gdy wdział hełm barona, zaczyna pomiatać ludźmi i już mu w głowie jakieś posłuszeństwo starszyźnie.

SIKORKA.

A no! to niechaj zostanie tutaj, ale część jego kompanii weźmiemy, bo jest tam dużo takich, co im już się sprzykrzyło słuchać tego nowego barona.

ZACZEK.

Róbcie, aby dobrze było i niechaj wszyscy święci dopomagają wam, a mnie święty Denis i inni patronowie Paryża.

Bywajcie zdrowi! *(podając im ręce, odchodzi).*

Duża sala w Luwrze, przeistoczona na izbę radną posiedzeń rządzącego wydziału. Wielkie okna frontowe i drzwi prowadzące na balkon otwarte.

Na krześle prezydyalnem za stołem siedzi pośepny Marcel ze zmarszczonem czołem i oczami pełnemi gniewu.

Przy stole z jednej strony siedzi Henryk w pełnej zbroi ale bez hełmu z głową zawiązaną chustą, przez którą miejscami przebijają czerwone plamy krwi.

Z drugiej strony też w pełnej zbroi i hełmie na głowie siedzi de Picquigni oparty oburącz na mieczu z twarzą chmurną. Trzydziestu czterech członków wydziału stoi w różnych grupach ze wzburzonymi twarzami, rozmawiając pomiędzy sobą i przechodząc się z jednej grupy do drugiej.

W grupie stojącej przed oknem i patrzącej na plac, z którego od czasu do czasu dolatuje pomruk tłumu, słysząc głośniejsze wykrzykniki.

RADNY (*do Charniego*).

Jak nędznie wygląda ta reszta naszej najlepszej milicyi, jaką przyprowadził Picquigni z wyprawy niefortunnej.

CHARNY.

700 ich legło a dwa razy tyle rannych przywlekło się z powrotem do miasta — no i ta garstka stojąca tam. — *pokazuje na plac*).

RADNY.

Toż to pogrom zupełny!

(*W drugiej grupie*).

INNY RADNY (*do Essartsa*).

Wszak plan naszego wodza króla Nawarskiego był jasny.

On ze swoimi wojami i częścią milicyi miał zebrać wojsko Jakóbków i w pochodzie ku Meaux zetknąć się z Piquignim w oznaczonem miejscu. Więc dobrze nie rozumiem, dlaczego

nasze milicje z Henrykiem, Iwonem z Brestu, Bertrandem i Augurém nie zastały króla i cofnęły się.

D'ESSARTS.

Cóż miał uczynić Piquigni.

Czekał, jak mówi, trzy dni na króla a gdy się dowiedział, że on poszedł tam ku południowemu wschodowi, nie mógł przecie z tą małą siłą ciągnąć pod Meaux, gdy całe wojsko Regenta przecinało mu drogę do fortocy. — Więc cofnąć się musiał.

(Trzech radnych rozmawiając, przystępuje do Picquigniego).

JEDEN z RADNYCH.

Więc wy sir Janie, nie mogliście się dowiedzieć, dlaczego król Karol, poszedł inną drogą i nie w kierunku Meaux?

PICQUIGNI.

Sam Henryk w sto koni jeździł za królem, ale tyle się tylko dowiedział, że poszedł z całym wojskiem wgląb Beauvais a potem zebrał wielką część wojska chłopskiego i pociągnął z niem jeszcze dalej.

RADNY.

I wtedy sir nakazaliście odwrót?

PICQUIGNI.

Musiałem, bo ani mogłem wydać bitwy wojsku rycerzy, ani czekać, aż oni mnie ogarną.

DRUGI RADNY.

I w tym odwrocie oni was napadli znienacka.

PICQUIGNI.

Tak. — Wojska nieprzyjacielskiego nie było blisko, więc nie mogłem się spodziewać, że z boku nadejdzie tak wielka jego siła i rzuci się na nas znienacka przed wawozem Cordoux.

(Z innej grupy odłącza się kilku i przybliża do Henryka).

RADNY.

Więc zasłaniając wasz odwrót zginął dzielny Iwon?

HENRYK.

Gdy raptem z za góry z dwóch stron, wypadli na nas pancerni z nastawionymi kopiami i rozbili pierwsze szeregi, czoło im postawić zaledwie czas mieliśmy. — De Picquigni odrazu spostrzegł, że zginiemy wszyscy, jeżeli wpuścimy wroga w wąwóz, będący jedyną naszą drogą odwrotu i polecił Iwonowi aby go bronił do ostatniego.

RADNY.

Iluz wziął ludzi?

HENRYK.

Zaledwie czterdziestu miał czas zebrać i z tą garstką rzucił się, aby zasłonić wejście do wąwozu.

Zatrzymali oni z miejsca pędzącą do wąwozu jazdę hr. Tancarville i wstrzymali ją na nasze szczęście dopóki reszta naszych nie wkroczyła pomiędzy dwie góry okryte lasem, przez które trudno się było przedrzeć jazdzie.

DRUGI RADNY.

Tamże legł Iwon?

HENRYK.

A z nim wszyscy czterdziestu i Angus; a ja zaś wyszedłem cało z przełupanym hełmem. — Iwon bił się jak lew, a na kogo spadła jego żelazna kula łańcuchem do trzona uwiązana, na tym pękała wszelka zbroja i śmierć gasiła mu oczy. Aż sparty z dwóch stron naraz kopiami runął z konia, ale wtedy już podołałem moich ustawić i odeprzeć resztę jazdy.

MARCEL (*do zbliżającego się doń Essartsa*).

Masz dowód, co to znaczy niedoświadczony wódz! Cofał się bo musiał, ale nie pomyślał, aby zbadać podjazdami okolice przez którą miał się cofnąć. Więc napadli milicję niespodziewanie i zadali jej klęskę. Karol Nawarski nie byłby popełnił takiego błędu, ale chcieliście koniecznie, aby Picquigni prowadził i macie skutek!

D'ESSART.

Nie wiem coby był zrobił Karol... lecz dlaczego ten doświadczony twój wódz, nie trzymał się własnego planu, ale zniknął gdzieś z wojskiem wystawiając na niebezpieczeństwo a nawet na zagładę Picquigniego oddziały.

MARCEL.

Musiał on mieć w tem jakąś dobrą rację, o której rychło się dowiemy... a dziwi mnie, że od pięciu dni Ludwik przydzielony Karolowi nic nie donosi.

CHOVIGNI (*w grupie przed oknem, głośno*).

Cóż to znowu? Tłum ludzi z krzykiem i z czerwonymi roznamietnionymi twarzami wali tutaj z ulicy St. Honoré.

RADNY.

Za tłumem pokazują się szeregi wojska z naszą chorągwią. (*wszyscy rzucają się do okien*).

(*Z placu podnosi się coraz głośniejszy pomruk niezadowolenia. Niektóre głosy wołają: „zdrada! zdrada“ Inne „Nawarczyk zdradził“ Śmierć mu! Inne: Marcel zdrajca dał nam wodza zdrajcę sprzedawczyka, wroga narodu. Śmierć zdrajcom*).

RADNY.

Plac napełnia się ludem po brzegi... a wszyscy wrzeszczą „zdrada“. — Wkracza wojsko i jego dowódca na koniu.

HENRYK.

Święty Rochu! to Ludwik i jego milicya!

INNI.

Tak to resztki dwóch kompanii Ludwika Petit a to on sam w pogiętej i połamanej zbroi — bez lewego naramiennika a błądy jak trup — jeno oczy mu się jarzą. (*Marcel poblady patrzy w okno i pociera sobie czoło*).

MARCEL (*do Maillarda*).

Co się stało? On i jego ludzie wyglądają jak cienie.

MAILARD.

Zbroje na nich pokruszone a jest tego może pół kompanii wszystkiego.

MARCEL.

Jakieś nieszczęście się stało.

RADNY.

Stanęli przed bramą a Ludwik zsiada z konia i idzie tutaj.

CHARNY.

Tłum otacza milicyantów i mówi z nimi... a wściekłość budzi się w ludzie; ot znowu krzyczą „Zdrada“!!

GŁOSY (*coraz z placu donioślejsze*).

Zdradzono nas... Rząd cały nas zdradził... Zdradził Marcel. (*Inne*). Wszystko stracone! biada nam! Przekleństwo zdrajcom!

(*Marcel d'Essarts i kilku radnych idą szybko ku drzwiom które otwierają się i staje w nich Ludwik*).

WIELE GŁOSÓW.

Ludwik co się stało? Skąd przybywasz? Czy was pobito, zaledwie część ludzi przyprowadziłeś?

MARCEL.

Proszę uciszcie się i siadźcie spokojnie, bo inaczej nie dacie Ludwikowi opowiedzieć nam co się stało.—(*do Ludwika*) Chodź, siadź i opowiedz porządnie od początku wszystko.

(*Ludwik idzie trzymany za rękę przez Marcela ku stołowi i opiera się na nim. Wszyscy to siadają, to stoją w pobliżu niego... Z placu dochodzą coraz burzliwsze krzyki i przekleństwa*).

MARCEL.

Zmiłujcie się i zamknijcie okna, inaczej nie usłyszymy głosu Ludwika.

(*Kilku radnych zamyka okna*). (*Marcel siadając na swym krześle*).

Jeżeli ci Ludwiku głosu nie zaparło, to mów proszę od samego początku, abyśmy dobrze zrozumieli co się stało, bo że się stało nieszczęście to każdy widzi.

LUDWIK.

Zaraz... wybaczenie, ale hełm zdjąć muszę bo pogniecony i ciśnie mi ciemię (*zdejmuje hełm i stawia go na ziemi*). Tak, nieszczęście! Kiedy dotąd milczę o tem (*pokazując na plac*) mówi ono głośno — (*zbierając myśli*).

Szliśmy z wojskiem Karola aż w Beauvois a tam wszędzie witała nas straszna ruina kraju... Zamki rozwalone szczyrzyły do nas okopcone i dymiące resztki bastyonów i wież. Miasta mniejsze wszystkie w gruzach, trupów w nich pełno nie pogrzebanych i gnijących. Kraj wyludniony, bo swawola i okrucieństwo Jakóbków, przeszły tamtędy. Pod Bar, oddzieliłem się, gdzie stanęło wojsko chłopskie i jak mi rozkazano poszedłem przygotować obozowisko Cailleta do przyjęcia na wodza Karola... i to mi się udało nieźle.

Dnia drugiego nadciągnął Karol i tak umiał zyskać sobie większość chłopów, że go okrzyknęli wodzem, zaczęła się nibyto organizacja tej rozszalałej tłuszczy. — Setnicy Nawarczyka rozdzielili ją na dziesiątki i setki i uczyli niezbędnych obrotów. — Nowość ta bawiła Jakóbków.

KILKU RADNYCH.

No dotąd dobrze... nie można przecież nie zorganizowanej tłuszczy wyprowadzać w pole przeciwko pancernym rotom.

LUDWIK.

Nawet chłopci uznawali tę prawdę. Gdy już wiele tysięcy najtęższych chłopów było w ten sposób uformowanych, zabrał ich król dalej na wschód a stanawszy obozem pod lasem, zaczął znowu naukę obrotów. — Broń wszelką zostawiono w obozie, dla nie obciążenia nią przyszłych bojowników i tak dnia jednego pomaszzerowano o świcie w kierunku pagórków. Król i konetable Rejmond jechali obok dowódców chłopskich Cailleta, Wita i Mazurka, rozmawiając najpoufalej ze sobą, co jeszcze bardziej budziło zaufanie tłuszczy. Ja z kilkoma towarzyszami pojechałem też z ciekawości.

RADNY.

Więc rozmawiał król za pan brat z Jakóbkami?

LUDWIK.

Wilk gdy ma pożreć jagnię, też do niego przymila się.

WSZYSCY.

Jak to?

MARCEL.

Przestańcie mu przerywać, niech skończy.

LUDWIK.

Marsz ten całego tłumu odbywał się wesoło, choć lipcowe słońce piekło.

Wszyscy weszli w wąż pod Jeon, gdzie już czekały kotły pełne jadła jakim swoje wojsko raczył ich dobry wódz. Wszyscy rzucili się do jadła. Król siadł na chwilę przy jednym kotle z dowódcami chłopów. Potem wstał, mówiąc, że musi obejrzeć okolicę, bo tak przezorny wódz winien czynić i odjechał z Rejmondem... Mnie coś tknęło niemile i z moimi też wyjechałem na górę... Nie minęło godziny a wzgórze zarośli się żołnierzami Nawarczyka z dwóch stron zaparła wąż pancerna jazda.

MAILLARD.

Na co?

LUDWIK.

Chłopstwo jadło lub leżało rozciągnięte na ziemi śpiąc ze znużenia.

W tem zagrały trąby i cały rój strzał i bełtów spadł na bezbronne chłopstwo, a jak w dzień upalny sypie się grad z miedzianej chmury, tak leciały pociski na zbitych w kupę i przelękłych Jakóbków.

GŁOSY.

Jezus Marya!

(Marcel zrywa się z siedzenia i przelkłymi oczami patrzy na Ludwika).

LUDWIK.

Krzyk, jęki i wrzawa przerażenia rozległy się w wąwozie. Lud rzucił się ku wyjściom, ale jazda wpadła na niego i zaczął się mord tak straszny, że podobnego chyba w świecie nie było. Chłopsstwo padło na kolana, żebząc litości, a zbóje Nawarczyka mordowali wszystkich — a tylko owych trzech naczelników pojmano żywcem. Za chwilę zapanowała tam cisza śmierci, a swąd z oparów krwi, że aż dusił za gardło. Żywy nie pozostał nikt, prócz tych trzech dowódców.

(Marcel, chwytając się za głowę, wydaje głuchy jęk, siada; wszyscy przejęci niewymowną grozą stoją w milczeniu z rozwartymi z przerażenia oczami. — Ludwik ciężko wdycha, przeciera sobie ręką twarz i mówi dalej).

W tem zamieszaniu daliśmy koniom ostrogi i całym pędem ruszyliśmy do swoich. Zabrałem moje kompanie stojące pod lasem i pociągnąłem w lasy z obawy, że i nas napadną, ale nikt nas nie ścigał, bo wojsko Karola poszło dalej mordować w obozie pozostałą resztę chłopsstwa rozlatującego się na wsze strony, jak kuropatwy, gdy na nie jastrząb z góry uderzy; a jeźdźcy Karola uganiali za nimi i mordowali wszystkich. *(zapytania ze wszystkich stron: »Dlaczego. Poco ich wymordował«).* Bo jak się potem dowiedziałem, porozumiał się w drodze z regentem i za 400.000 florenów sprzedał nas jemu i poszedł wyniszczyć naszych sprzymierzeńców!

GŁOSY.

Ohyda, sprzedawczyk, zdrajca!

D'ESSARTS *(do Marcela).*

Teraz poznałeś przyczynę kierującą twoim wodzem. *(Marcel nie odpowiada, a tylko czerwony wściekłości wzrok rzuca chwilowo na mówiącego, a potem go zastania na wpół spuszczo-nemi powiekami i tak siedzi nieruchomy, blady, a tylko czasami przebiega mu po twarzy drganie).*

MAILLARD *(oparty o stół obydwoma rękami z twarzą groźną, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na Marcela).*

Mów dalej!

CHARNY.

Co zrobił z wodzami chłopów?

LUDWIK.

W pierwszym mieście wystawić kazał rusztowanie Mazurka i Wita nagich przywiązać do słupów, zaś Cailleta w płaszczu szkarłatnym zarzuconym na gołe ciało posadzono na trójnogu, pod którym zapalono ogień, a na głowę kazał katowi wdziać mu do czerwoności rozpalony mniejszy trójnóg, niby koronę i tak upiekł żywcem króla Jakóbków, a z tamtych zdarto ciało rozpalonymi obcęgami.

MAILLARD (*i inni*).

Okropność!

LUDWIK.

Pomny, że nasza milicya miała ciągnąć na Meaux poszedłem i ja w tę stronę. Po drodze zebrałem około 3.000 zbrojnych kup chłopstwa. Mieszczanie z Meaux dali mi znać, że niewiele wojska pozostawiono w fortecy. Bramą zachodnią część mieszczan połączyła się z nami. Przypuściliśmy szturm. Chłopi nieumiejący stawić czoła rycerstwu w otwartem polu, darli się wściekle na mury, wywalali bramy kłodami niesionemi jak tarany. Zdobyliśmy już zachodni bastyon, gdy raptem zjawiała się ciężka jazda, prowadzona przez Gastona Febusa i hrabiego de Foix i jak grom runęła na masy chłopskie, a te uciekając w popłochu przełamały szyk drugiej naszej kompanii, która padła pod kopytami jazdy Febusa. (*pomruk obecnych*).

HENRYK.

A pierwsza co uczyniła?

LUDWIK.

Widząc, że wszystko stracone, bo i od zachodu wychyliła się jazda, w zbitym czworoboku zacząłem cofać się ku lasom. Wytrzymałszy dwa ataki nadciągającej lżejszej jazdy, ale choć z pół kompanią dostałem się do lasu.

MAILLARD.

A z tamtymi?

LUDWIK.

Oba oddziały jazdy wycięły chłopów i potopiły w Mar-
nie co do nogi.

MAILLARD.

Skończone wszystko! (*patrzac na Marcela*). Wódz nasz
zapłacił nam za zaufanie godnie. (*Pomiędzy radnymi zaczyna
się gwar głośny i narzekania*).

RADNY.

Ja nie doradzałem wyboru Nawarczyka.

DRUGI.

Ni ja.

MAILLARD (*głośno*).

Ni ja!

(*Tworzą się grupki coraz namiętniej mówiących, a wszyscy
wrogo spoglądają ku Marcelowi siedzącemu nieporuszenie
z twarzą bladą i jakby skamieniałą, lecz z oczami palącymi się
wewnętrznym ogniem i jakąś nieugiętością. Henryk zakrywa
twarz rękami, zaś u Ludwika obserwującego zgromadzenie odbija
się ból wielki w obliczu. Z dziedzica podnoszą się złorzeczenia
i lament tłumu*).

MARCEL (*głosem zimnym nakazującym*).

Uciszcie się proszę. Niechaj Ludwik skończy! (*powoli
ucisza się — do Ludwika*). Mów, jak się dostałeś do Paryża?

LUDWIK (*przemagając dławiący go ból*).

Szedłem lasami, ale nie mogłem podążyć wprost na
Paryż, bo wojska Regenta stały pomiędzy mną a miastem,
więc kołując ku południowi, musiałem przechodzić przez oko-
lice znaczone pochodem Nawarczyka. Straszny był to pochód.
Straszny! Każdy gaj przydrożny, każdy dąb samotnie stojący
uginał się aż pod ciężarem powieszanej na nim masy chłopów
zczerniałych, zdziobanych przez drapieżne ptactwo. Wszędzie

walały się trupy po drogach i polach, a wilki i psy szarpały te nie pogrzebane ludzkie ciała. Dzień cały szliśmy w pośród tych strasznych cmentarzy, aż dotarliśmy do bram Paryża. Oto wszystko.

MARCEL.

A czy nie dowiedziałeś się, gdzie udał się Karol Nawarski?

LUDWIK.

Mówiono mi już w okolicy Paryża, że widziano jego obóz rozbity za lasem, naprzeciwko bramy St. Denis.

(Milczenie zapanowuje w zgromadzeniu, wszyscy spuszczają zrozpaczone głowy. Z placu dochodzi wściekły wrzask tłumów. Kamień rzucony z placu wybija okno i godzi w głowę radnego. Drugi kamień przelatuje ponad głowami zebranych i odbija się o przeciwległą ścianę. Popłoch pomiędzy przebywającymi w sali. GŁOSY z placu): Śmierć zdrajcom! Śmierć Marcelowi! Śmierć rządowi! (Trzeci kamień rozbija drugie okno i wpada do sali).

RADNY.

Ratujmy się, bo nas ukamienują. Tłum wdziera się tutaj, a warta nie zdoła go powstrzymać.

MARCEL *(głosem rozkazu)*.

Spokój! Ty Ludwiku i Henryku idźcie na dół i wprowadźcie wasze resztki milicyi do Luwru, a bramy niechaj zamkną i most podniosą. *(Ludwik i Henryk wychodzą)*.

MAILLARD.

Wyjdźmy do ludu i przemówmy do niego.

MARCEL.

Teraz nie można, niech się uspokoją. Wy sir Rodryku zwołajcie z dziedzica waszych łuczników. Niechaj staną w oknach i pogrożą tłumowi, że puszcza nań strzały, jeżeli się nie uciśszą i nie odstąpią od Luwru. Dowódca zaś ogłosi, że wyjdę do nich jak będzie czas na to, i przemówię.

(Jeden z radnych wychodzi).

MARCEL.

A teraz i my przejdźmy na naradę do południowej sali.

RADNY (*do drugiego*).

Co tu radzić? Wszystko skończone.

MAILLARD (*do Essartsa*).

Marcel swym uporem wszystko zgubił.
(*Wychodzą*).

Gabinet królewski w Luwrze.

MARCEL (*siedzi z troską na czole*).

Wszystko się rwie i rozprzega, wszystkie cięciwy, jakie nawiązałem do mojego łuku, pękają jedna po drugiej.

Jakóbkowie przemienili się w straszliwą zgraję wilków krew jeno żłopiących, a pożar, zniszczenie i trupy znaczą ślady ich pochodu.

Karol z Nawary wyciął ich główną siłę, więc pomocy od nich już mi się nie spodziewać, a okrucieństwa popełnione przez tę rozszalałą tłuszcę spędziły już i miasta po części do obozu rycerskiego i regenta.

Jutro lub za dni kilka stanie on zwycięski u bram Paryża.

W przedmieściach tłum małomiejski szaleje, pali i rabuje.

Z takim trudem założone przezemnie magazyny zbożowe spalili... Spalili swe własne pożywienie; to przecie nie do wiary było, a jednak się stało. Henryka straż pobili z pomocą chłopstwa, które wpuścili do przedmieścia. Mnie obrzucili obelgami, błotem i kamieniami, że musiałem cofnąć się z dwoma kompaniami straży miejskiej.

Dzień, dwa, może reszta straży nie wpuści tej szalejącej dziczy do środka miasta — ale co potem? Głód zapanuje w Paryżu, ten najstraszniejszy wróg wszelkiego ładu w społeczeństwie. Ojciec Zacharyasz miał słuszość, twierdząc, że zawczasie zerwałem niedojrzały owoc, bo ludzie niezrozumieli mojej idei — niedorośli do wolności — i wszystko zwróciło się przeciwko niej.

Regent pewny zwycięstwa, nie chce wchodzić w układy, a żadnego ustępstwa nie zrobi, zasłaniając się rozkazem króla ojca. Więc co miałem uczynić, aby wyratować choć część mojej wielkiej myśli, mojej pracy dla szczęścia narodu i ludzkości? (*wstaje*).

Co mogłem uczynić innego, jak to, co uczyniłem?

Miałem poddać się regentowi i głowę moją położyć pod topór — lub co sto razy gorzej otrzymać jego przebaczenie,

żyć w nicości i stać się pośmiewiskiem tłumu... Ja, którego on czcił jak bóstwo, przed wolą moją się korzył, a zamiary moje i idee rozpierały mu serce i zapalały umysł!... Nigdy!

Przysięgam sobie, że do ostatka będę walczył, choćby przeciwko moim niegdyś najlepszym przyjaciołom i pomocnikom, w walce niechaj zginę — ale poddać się, ni uleść nie mogę... Nie mogę! Ostatecznym ratunkiem moim zmiana dynastii... Karol z Nawary... zły jest i zdradliwy, ale jeżeli oddam mu Paryż, to on chcąc utrzymać się na tronie Francji musi przyjąć i wykonać choć część mych wywalczonych urzędzeń, bo na kimże innym oprócz się będzie mógł wobec dawnej dynastii? Tylko na nas zwolennikach reformy, na miastach i wszystkich rozumnych ludziach z naszego stronnictwa...

Ale czy i oni przyjmą tę zmianę? *(z siłą)* Muszą! Choćby opornych przyszło usunąć siłą i zmusić do milczenia... choćby... choćby milczeniem śmierci... Oni nigdy niezrozumieją, że ten nieunikniony mus będzie ciężył na nowej dynastji — a ja stojąc przy Nawarczyku dopilnuję wykonania umowy — i — nazwą mnie zdrajcą! *(machnąwszy ręką)* Mniejsza i o to. Ale ratować muszę bodaj strzępy mojego dzieła! Muszę!

Za chwilę przyjść powinien uppełnomocniony wysłannik króla Nawary dla dokończenia naszego układu *(wchodzi służący)*.

SŁUŻĄCY.

Sir, przybył jakiś człowiek w mieszczańskiej opończy i kazał wam Sir wręczyć ten pierścień. *(podaje mu go)* Co mam mu rzec od Was?

MARCEL *(zaledwie spojrział na pierścień)*.

Proś go do mnie i niechaj mi nikt nie przeszkadza... rozumiesz — nikt! *(służący kłania się i wychodzi)*. Ostatnia moja cięciwa, a jeżeli i ona pęknie? Wtedy i życie me skończyć się musi! *(Wchodzi człowiek w opończy szerokiej z kapturem na głowie — wolno zdejmując kaptur i opończę, rzuca je na stół. Marcel patrzy na rozbierającego się, wyczekując stojąc na środku pokoju)*.

MARCEL.

Kto jesteście Sir?

PRZYBYŁY.

Jestem Regmond z Saint Jean de Luz.

MARCEL (*klaniając się*).

Poznaję Waszą miłość, Sir Conetablu Nawary.

Racście spocząć! (*pokazuje mu na karło przy stole stojące, nalewa dwa kielichy wina i podaje gościowi jeden*) i wychylić ten kielich na cześć i zdrowie Karola króla Nawary... a pytam, czy mogę dodać i Francyi?

REGMOND.

Przynoszę Wam podpisany pergamin. Król Karol przyjmuje Wasze Sir warunki (*wyjmuje list z pieczęcią wiszącą u takowego i kładzie na stole*).

MARCEL (*któremu twarz się rozjaśniła — podnosi kielich w górę*).

Za zdrowie Karola piątego, króla Francyi i Nawary! (*pije*).

REGMOND (*biorąc drugi kielich i pijąc*).

Za zdrowie Sir Stefana Marcela, kanclerza Francyi! (*stawiając kielichy*).

Wiele nie mamy czasu do stracenia, bo wojska regenta jeszcze dziś w nocy staną pod bramą świętego Antoniego, a naszego króla Karola za lasem naprzeciw bramy St. Denis.

Przeczytajcie Sir ten akt! (*Marcel bierze pergamin i czyta, Regmond patrzy nań złym i szyderczym wzrokiem, mówiąc do siebie*):

Głupi a nadęty łyku paryski, chciałbys utrzymać się choć przy części władzy, którą oświecałeś łuną zamków i podlewałś hojnie krwią rycerską... Ty morderco, pyszałku! Ty dla twej ambicyi i głupich mrzonek rozpasujący dzikie instynkta mas. Czytaj pergamin i ciesz się przyszlęciem kanclerstwem, bo nie wiesz, że na drugi dzień po koronacyi, nowy król Francyi podniesie cię najwyżej możebnie, bo na najwyższy hak szubienicy na Montfaucon, a wymierzeniem tej sprawiedliwości zyska sobie mir u szlachty. Głupi i potworny zdrajco!

MARCEL.

Tak! Król Karol przyjmuje główne zasady reform uchwalonych przez ogólne zgromadzenie stanów, ale odrzuca radę koronie dodaną przez to zgromadzenie. Gdzież tedy gwarancya, że choć część tych reform będzie wykonaną?

REGMOND.

Wszak nowy król obowiązuje się nie wydawać żadnych rozporządzeń bez pieczęci kanclerza, a kanclerzem jest zamianowany Sir Stefan Marcel.

MARCEL.

Tak, to jedna gwarancya.

REGMOND.

Wobec niej, innej nie potrzeba. (*Marcel zamyśla się*). Nie ma czego Sir kanclerzu namyślać się, król spełnił wszystkie wasze żądania możebne... więc przywieście do pergaminu waszą pieczęć i położcie wasz podpis, bo czas uchodzi, a za nim powrócę musimy ułożyć plan postępowania.

MARCEL (*wzdychając ciężko*).

Niech się stanie!

Pójdę przywiesić pieczęć — a wy Sir wybaczenie, że was na chwilę zostawię samego.

REGMOND.

Idźcie Sir!... Ja zaczekam tutaj, a raczcie dać rozkaz, aby wpuszczono do mnie tutaj posłańca króla, który już musiał nadjechać.

MARCEL.

Dobrze... (*otwiera drzwi mówiąc*): Jeżeli jest lub będzie kto do mojego gościa, wprowadzić go tutaj zaraz. (*głos służącego*): Właśnie przybył człowiek ten. MARCEL: Niech wejdzie! (*sam wychodzi. — Wchodzi człowiek w podobnej opończe z kapturem na głowie, rozgląda się chwilę i zrzuca opończę*).

REGMOND.

Co mi przynosicie Sir Tomaszu?

TOMASZ.

Król dał mi dwa polecenia: pierwsze, abyś się spieszył Sir Konetablu, bo mamy pewne wieści, że już z północy rycerstwo regenta stanie pod miastem, a powtóre, dał mi król otę listę nazwisk ludzi, którzy muszą być usunięci zaraz przy wejściu króla do Paryża. (*podaje mu pergamin*) Warunek ten

jest nieodzownym, bo ci ludzie gotowi podnieść zbrojny opór i przejść ostatecznie na stronę Regenta, coby mogło zniweczyć wszystkie nasze zamiary.

REGMOND (*oglądając pergamin*).

Tak, tego muszę żądać od Marcela, ale czy zgodzić się zechce, poświęcić śmierci najlepszych przyjaciół?

TOMASZ.

Wszak nie pozostaje mu już żaden inny ratunek.

REGMOND.

Zobaczymy.

TOMASZ.

Czy Wy Sir macie nadzieję, że nasz król podola utrzymać się na tronie Francyi?

REGMOND.

Mam nadzieję, że tak, bo naczelnicy wszystkich niemal band zbrojnych pójdą z nami, wiedząc dobrze, że regent myśli tylko nad tem, aby się ich pozbyć jak najprędzej z Francyi, a zresztą...

TOMASZ.

Dopowiedźcie Sir?

REGMOND.

Zresztą mój przyjacielu, król nic nie ryzykuje, a tylko wiele zyskać może, bo jeżeliby nawet nie doprowadził do koronacyi, to regent najchętniej odkupi od niego Paryż i zapłaci mu zań krajem Cahors i Pau.

TOMASZ.

Tak, to prawda, stracić nic nie możemy.

REGMOND.

Idź już Sir Tomaszu, bo Marcel zaraz nadejdzie i powiedz królowi, że stanie się jak żąda.

TOMASZ (*wdzięwa swą opończę*).

Więc pod noc mogę posunąć wojska nasze pod bramę?

REGMOND.

Możecie stanąć na skraju lasu, ale tak, aby was broń Boże nie widziano z murów.

TOMASZ (*podając Regmondowi rękę*).

Szczęście Wam Boże! Królowi czy mogę powiedzieć, że sir Marcel przyjął układ?...

REGMOND.

Możecie Sir, Bóg was prowadź Tomaszu! (*Tomasz wychodzi jednymi drzwiami, a za chwilę Marcel wchodzi drugimi*).

MARCEL.

Wybaczenie Sir za przydługą chwilę, ale musiałem porównać oba pisma i oto macie mój podpis z wiszącą pieczęcią. (*Oddaje Regmondowi jeden pergamin*).

REGMOND (*biorąc pismo do ręki i chowając je za ubranie*).

Dziękuję!

A teraz omówmy wykonanie całego układu. Posłaniec króla przyniósł mi potwierdzenie grożącego niebezpieczeństwa, bo pewność, że wojska regenta staną po północy przed bramą św. Antoniego, zatem nasze wojsko musi zająć Paryż przed nocą.

MARCEL.

To niepodobna... jedynie w nocy mogę wpuścić zbrojne zastępy króla Karola, bo inaczej musiałoby przyjść do walki ulicznej z przeciwnikami króla, a ma on ich nie mało w Paryżu od chwili, gdy zamiast walczyć z regentem jako wódz nasz, poszedł tępić powstanie chłopskie.

Tylko w nocy możemy raptownem najściem opanować Paryż.

REGMOND (*z miną poważną*).

Więc sami przyznajecie Sir, że nie wszyscy paryżanie pójdą za Waszym rozkazem, i że trzeba się przygotować na silną opozycję.

MARCEL (*nieco zakłopotany*).

Większa część paryżan pójdzie za mną, ale pewna ilość po zaszłych faktach, rozumiecie Sir Konetablo, że nie ufa królowi Karolowi.

REGMOND.

My dobrze to wiemy i dlatego też musimy uradzić zaraz środki dyktowane nam nie tylko przezornością, ale i przez konieczność. Jakąż jest Wasza rada i plan działania?

MARCEL.

Noc zapada o godzinie 20-tej, więc mogę o 23-ciej otworzyć wam bramę Saint-Denis, przez którą wojsko króla wszedłszy w cichości, opanuje całe miasto.

REGMOND.

Dobrze! ale nieprzyjaciele nasi i wasi, rozbudzeni naszym wejściem, zerwą się do broni... i wojska króla zamiast przyjacielskiego zajęcia stolicy, będą musiały w jej ulicach zaciętą prowadzić walkę, nie jako przyjaciele miasta, ale jako zdobywający je wróg. Zastanówcie się Sir, czy taką powinna być droga wiodąca do korony Ludwika świętego.

MARCEL (*zasepiony milczy, a potem mówi niepewnym głosem*).

Możemy obsadzić domy nieprzejednanych i uwięzić ich tam czasowo. Potem będą musieli przyjąć fakt dokonany...

REGMOND.

Lub... podburzą lud... i otworzą inną bramę regentowi. (*patrzy na Marcela zakłopotanego i niepewnie spoglądającego, po chwili*). Czy Jan Maillard, Pepin d'Essarts, Jan Chovini i inni członkowie wydziału rządzącego przyjmą milczeniem zajęcie Paryża przez króla Karola i schyllą głowy przed nową władzą?

MARCEL.

Maillard... nie ugnie się nigdy!

REGMOND.

Ani tamci!

(Chwila kłopotliwego milczenia ze strony Marcela, który patrzy w ziemię, a na wyniosłem jego czole powstają głębokie bruzdy).

REGMOND *(wstaje powoli, z twarzą pełną groźnej energii przystępuje do Marcela, a kładąc mu rękę na ramieniu, mówi głosem powagi pełnym):*

Otrząśnij się z przygnębienia Stefanie Marcelu! Mężowi czynu nie wolno przygnębiać się koniecznością, wskazywaną mu przez rozum — ale musi ją uznać, a uznawszy spełnić z mężnem sercem.

Dla dopięcia waszego celu nie wahaliście się Sir podnieść całe chłopstwo i wylać morze krwi niewinnej, zasypać część Francji gruzami i popiołem.

Czyż dziś przyciśnięci koniecznością, zawahacie się przed przelaniem kilku jej kropelek, dlatego tylko, że ona była niegdyś wam drogą jako przyjaciół, a dziś płynie w żyłach waszych i naszych wrogów?

Czyż przez tę miękkość serca kobiecego, chcecie narazić sprawę ocalenia resztek waszej myśli, waszej pracy, tyle już ofiar kosztującej?

Albo jesteście mężem czynu o szerokiej myśli i silnej woli...

Albo byliście marzycielem tylko, dzieckiem bawiącym się w niezłomnego męża stanu!

MARCEL *(podnosi na Regmonda przełknięte oczy i drżącym głosem pyta).*

Czegóż żądacie?

REGMOND.

Tego, czego żądać musimy, tego, co wam rozum nakazuje, a o co wasze serce za miękkie się lęka...

Śmierci natychmiastowej naszych nieprzejednanych wrogów, gotowych spaczyć całe nasze wielkie przedsięwzięcie!

MARCEL.

Śmierci?... czyjej?

REGMOND (*wydobywając listę przyniesioną mu przez Tomasza*).

Tych oto ludzi spisanych tutaj ręką samego króla Karola. (*podaje listę Marcelowi, ten ją bierze, trzyma w drżącej ręce, czyta powoli, a z twarzy mu widać, że każde wyczytane nazwisko sprawia mu ból ogromny. Regmond patrzy nań z obawą*). (*MARCEL czyta pojedyncze nazwiska drżącym i przełkłym głosem*): Maillard, d'Essarts, de Chovigni (*czyta cicho dalej, głośno i z oburzeniem*): Ludwik Petit! Henryk Balle! (*rzucając papier*).

Nigdy nie zgodzę się na całość tej listy... byłby to ohydny mord a bezużyteczny ...

Ludwik i Henryk są moimi najlepszymi przyjaciółmi, oddanymi mi duszą i sercem. Pocóż miałbym skazywać na śmierć ludzi, którzy w każdej chwili spełniali i spełnią każde moje polecenie, i to bez namysłu; ludzi, których wolą jest moja wola, rozumem — mój rozum, a sercem moje serce. Ludzi, na których niezbędną pomoc liczyć mogę w przeprowadzeniu i tego naszego zamiaru.

Nigdy nie zgodzę się na taki bezcelowy, a nawet szkodliwy mord!

REGMOND.

Jesteście Sir tak pewnym Ludwika i Henryka?

MARCEL.

Jak siebie samego!

REGMOND.

A gdyby który z nich stanął wam nieprzepartą przeszkodą?

MARCEL.

To niemożliwe!

REGMOND.

A gdyby?

MARCEL.

Wtedy nie zawahałbym się i jego poświęcić wielkości celu; ale mówię, że takie obawy są płonne — a mnie też oni są niezbędni w tej godzinie...

REGMOND.

Więc, gdy za nich ręczycie, skreślcie ich Sir z listy. *(podaje mu zamaczane pióro. — Marcel je bierze i skreśla te dwa nazwiska)*.

Więc na resztę zgadzacie się Sir?

(Marcel przechadza się parę razy, widać że wielka walka toczy się w nim).

(Regmond powtarza po pewnym czasie pytanie).

Na resztę zgadzacie się Sir?

MARCEL *(staje przed nim z determinacją)*.

Poco pytacie?

Domy ich będą oznaczone czerwonym krzyżem.

REGMOND *(wstaje, wdziewa swoją opończę)*.

Więc o godzinie dwudziestejtrzeciej, do widzenia w bramie St. Denis?

MARCEL.

Tak...

REGMOND.

Bywajcie zdrowi Sir, kanclerzu Francyi. *(wychodzi)*.

MARCEL *(stoi chwilę ze spuszczoną głową, poczem mówi)*.

Dokądże to zawiodła mnie fatalność nieuniknionych skutków! *(wzdycha ciężko, potem podnosi głowę)*. A teraz kończmy zaczęte dzieło, zaczęte może przedwcześnie! Kończmy tak, jak można obecnie! *(wychodzi w boczne drzwi)*.

Pokój w mieszkaniu Jana Maillarda.

Przy małym stoliku, na którym stoją kubki i dzban srebrny z winem, siedzą d'Essarts i Charny, Maillard zaś chodzi po pokoju z rękami w tył założonemi, cały wzburzony, stając kiedy mówi.

MAILLARD.

Źle się dzieje bracia, wszystko zbliża się ku końcowi. Jeżeli mamy ginać, to gińmy z honorem, zasypując się gruzami Paryża, bo z tych gruzów może kiedyś zmartwychwstać myśl nasza, ale nie zmartwychwstaje się z błota!

A wszystko mi świadczy, że Marcel chce nas wepchać w jakieś błoto ohydne.

Przez moich ludzi wiem, że przed trzema dniami wychodził w nocy bramą St. Denis w stronę wojsk króla Nawary i powrócił dopiero nad ranem.

Wczoraj posłałem sprytnego łotra, byłego kuglarza, posiadającego niezwykły słuch, aby śledził Marcela, jeżeli tenże wyjdzie przez bramę St. Denis.

Ten Zaczek przyszedł opowiedzieć mi rano, że rzeczywiście Marcel przed 24-tą godziną podążył na północ spieszonym, ale cichym krokiem w zakapturzonej opończy. Zaczek czekający za bramą poszedł za nim, aż do lasu... W lesie czekało go troje ludzi zakapturzonych, powitali się wszyscy a Marcel z jednym z nich odszedł na bok i długo rozmawiali... Zaczek podpełznął ku nim, ale że wiatr silny wiał z jego strony, mało co usłyszał z ich rozmowy. Gdy zrzucili kaptury Zaczek najwyraźniej poznał Marcela w towarzystwie Karola złego. Marcel w końcu dał mu rulon pergaminu. Rozmawiali przeszło godzinę... Gdy Marcel po pożegnaniu się odchodził, odprowadzał go król Nawarski do skraju lasu, a gdy przechodzili około ukrytego Zaczka, ten usłyszał tylko parę słów. Król mówił „Przyszlę jutro do was Sir Regmonda, a jeżeli ułożycie się ostatecznie, to o godzinie 23-ciej wejdziemy bramą St. Denis“.

CHARNY (*zrywając się*).

Ależ byłaby to potworna zdrada!

MAILLARD.

Jak rzekłeś, potworna!

D'ESSARTS.

Ja już dawno nie ufam Marcelowi...

Ale czy możesz Janie dać wiarę temu wszystkiemu, co taki kuglarz Ci opowiada, do tego ów Zaczek?

MAILLARD.

Znaszże go?

D'ESSARTS.

Ja, nie, ale słyszałem od Henryka, że jest on jednym z najgorszych przewódców tłumu z placu de Miracles i całego przedmieścia... On też najczęściej podżega lud do napadów i rabunków będąc jego głową, nieraz zaznaczył go Henryk swym mieczem, ale dotąd ująć go nie podolał, bo zręcznym ma być jak kot dziki, i zawsze potrafi wywinąć się od szubienicy. (*Do Maillarda*). Skąd przyszedłeś do tego łotra?

MAILLARD.

Sam on z kilkoma mu podobnymi ofiarował mi się śledzić Marcela i naszych wrogów... zaś po wyjściu z miasta Karola złego z wojskiem, on pierwszy mi doniósł, że podsłuchiwał jak Karol układał się z Regentem o zdradę... Ale mu wtedy wierzyć nie chciałem.

Poleciłem też temu Zaczkowi, aby śledził, czy ów pełnomocnik Regmond przyjdzie dzisiaj do Luwru i dał mi zaraz znać o tem.

D'ESSARTS.

Regmond? To chyba Sir Conetabl Nawary.

CHARNY.

Niezawodnie!...

SŁUŻĄCY (*wchodzi*).

Jakiś człowiek z ludu zwący się Zaczek, prosi o posłuchanie Was, Sir.

MAILLARD.

Wpuścić go zaraz! (*służący kłania się i wychodzi, Maillard mówi do obecnych*). Wy wejdźcie za tę kotarę, bo może nie chciałby mówić w waszej obecności.

(*D'Essarts i Charny wychodzą za kotarę na prawo i spuszcza ją...* Zaczek *wchodzi z lewych drzwi*).

ZACZEK (*kłaniając się nisko*).

Kłaniam się do stóp Waszej wielmożności.

MAILLARD.

Co przynosisz?

ZACZEK.

W tej chwili wszedł do Luwru człowiek w opończy z kapturem na głowie i poszedł prosto do bocznych schodów, kazał odźwiernemu aby go zaraz oznajmił Sir Marcelowi... zdjął pierścień z ręki i podał go odźwiernemu.

MAILLARD.

Nie mogłeś dojrzeć, kto on był?

ZACZEK.

Kaptur miał nasunięty na głowę i szedł odemnie, zatem tyłem obrócony, ale Zaczek nie głupi i wie co ma czynić, aby dopiąć swego; więc niby to na kogoś krzyknąłem „dawaj tędy“. Przybyły na ten głos obrócił głowę nieznacznie i poznałem go.

MAILLARD.

Któż był?

ZACZEK.

Sir Saint Jean de Luz Konetable z Nawary.

MAILLARD.

A ty skąd go znasz?

ZACZEK.

Widziałem go w Paryżu, gdy był tutaj ze swoim królem, a potem był on też z nim przy układzie z regentem, o którym Wam Sir doniosłem, ale nie chcieliście mi dać wtedy wiary.

MAILLARD.

Dobrze się sprawileś... weź to! (*rzuca mu kieskę, którą łapie Zaczek w powietrzu*). Idź już i patrz co dalej będzie się działo w Luwrze.

ZACZEK (*kłania się nisko wychodząc*).

Bądźcie spokojni Sir, uwagi mojej nic nie ujdzie.

MAILLARD.

(*Po wyjściu Zaczka, do wchodzących z za kotary Essarta i Charny*). Słyszeliście?

D'ESSARTS.

Niestety, niema wątpliwości, że zdrada jest gotową!...

MAILLARD.

Biegnę zaraz do Marcela i rzucę mu w twarz wyraz „zdrajca“ (*chce wychodzić*).

D'ESSARTS (*zatrzymuje go*).

Czekaj Janie!

Zdrada jest sprawdzoną, ale jeżeli w nagłości twojej powiesz Marcelowi, że wiesz o wszystkim, uprzedzisz go tylko, ale nie powstrzymasz.

Niechże na Boga nie słyszy o bramie St. Denis, że my o niej wiemy, bo gotów jakąś inną wpuścić Karola do miasta a my temu przeszkodzić nie będziemy mogli.

MAILLARD.

Masz rację przyjacielu, i dziękuję Ci, że mię ostrzegłeś, bo w oburzeniu mojem mogłem wszystko zepsuć. Ale pójdę

zaraz bo może naocznie przekonam się i spotkam jeszcze wychodzącego Konetabla... Wy czekajcie tutaj na mnie i bądźcie na wszystko przygotowani... wezmę opończę z kapturem. *(wychodzi)*.

D'ESSARTS.

W gruzach Paryża zasypać się nie sztuka, ale szkoda miasta, naszych przyjaciół i nas ginących bezowocnie.

CHARNY.

Maillard nie chce i słyszeć o poddaniu się regentowi, a regent nie przystaje na żadne ustępstwa.

D'ESSARTS.

Tak, nie chce, ale gdy się przekona naocznie o zdradzie Marcela, będzie musiał zgodzić się na jedyny możebny ratunek.

Karol Regent jest dobrym człowiekiem a przytem rozumnym, wolimy ostatecznie poddać się jemu, niżeli zgubić tysiąc ludzi w szturmie Paryża, boć przecie o zwycięstwie niema teraz mowy... a zakończy się tem samem i ta wojna domowa i ta wstrętna walka z czernią uliczną, grożąca zagładą miastu.

CHARNY.

Masz rację! Innego wyjścia nie ma, a i Maillard widzi to samo lecz dotąd tylko przez upor nie chciał przystać na tę ostateczność nieodzowną... ale teraz nie odrzuci jej.

MAILLARD *(powraca ubrany w opończę z kapturem)*.

Chodź ze mną Pepinie!

Przestrzegłeś mnie przed nagłością moją, więc proszę, towarzyszyć mi, aby mię znowu oburzenie nie uniosło.

Ty Janie zaczekaj nas tutaj, niebawem powrócimy a Roch niechaj będzie gotowy udać się do obozu Regenta. *(wychodzi z Essartem)*.

Dziedziniec Luwru.

Przez bramę wchodzi MAILLARD i d'ESSARTS, straż prezentuje broń.

MAILLARD (*do Essartsa*).

Siądź na ławeczce przed bramą, ja zaraz powrócę.

D'ESSARTS.

Dobrze.

(*Odchodzi za bramę i siada na ławce kamiennej, około bramy, po lewej jej stronie.*)

MAILLARD (*do straży*).

Czy Sir Marcel jest w zamku, czy zeń wyszedł już?

STRAŻNIK.

Nie wychodził Sir z zamku.

(*Maillard idzie dalej ku schodom bocznym, wiodącym prosto do mieszkania Marcela, przed którymi przechadza się odźwierny z założonemi w tył rękami; na widok idącego ku niemu Maillarda staje w postawie podwładnego.*)

MAILLARD.

Kochany Mikołaju, czy Sir Marcel jest u siebie?

ODŹWIERNY.

Tak miłość Wasza.

MAILLARD.

Sam czy konferuje z kim?

ODŹWIERNY.

Przed godziną i pół przyszedł jakiś człowiek i kazał się oznajmić Sirowi.

MAILLARD.

Kto?

ODŹWIERNY.

Nie wymienił swego nazwiska, tylko kazał mi podać Sirowi pierścień.

MAILLARD.

Wyszedł już?

ODŹWIERNY.

Dotąd nie.

MAILLARD.

Nie chcę przeszkadzać Sir Marcelowi, więc przyjdę później. *(Kłania się głową, a odźwierny składa mu niski ukłon. Maillard odchodzi za bramę, lecz się zatrzymuje za nią; Essarts wstaje i idzie do niego).*

MAILLARD *(do Essartsa)*.

Więc musi to być Regmond, Zaczek nie kłamał, mówiąc o pierścieniu; niechaj nas nie widzi i nie pozna. *(Cofają się za mur bramy, nasuwają kaptury od opończy na głowę i siadają na ławeczce za bramą. Od prawej strony idzie człowiek też w opończy, zagląda w dziedziniec i siada na ławce z drugiej strony bramy. Maillard obserwuje go z pod swego kaptura, po chwili człowiek wachluje się chustką i zrzuca kaptur, by otrzeć pot z czoła).*

MAILLARD *(do Essartsa)*.

Ernest, rękodajny Regmonda, czeka na niego... Nie mam już wątpliwości... ale zaczekajmy jeszcze, bo słychać kroki. *(Wychodzi Regmond przez bramę, ogląda się stojąc po za nią, człowiek siedzący po prawej stronie zrywa się i podbiega ku Regmondowi).*

REGMOND.

Jesteś Erneście? a gdzie nasze konie?

ERNEST.

W ulicy za Luwrem czekają.

REGMOND.

To chodźmy!

(Przechodzą około siedzących i niby drzemiących Maillarda i Essartsa, po przejściu Maillard patrzy za nimi).

MAILLARD.

Więc nie można już wątpić, widziałeś? Nie tylko głos, ale i samego Regmonda poznałem.

ESSARTS.

A zatem co Zaczek mówił, jest niestety prawdą!

MAILLARD.

Więc prawdą jest, że Marcel chce nas zdradzić haniebnie, wydać miasto i nas w ręce tego ohydneho króla na to tylko, aby nas sprzedał regentowi, jak nas już raz sprzedał za nędzne srebrniki, ten Judasz, morderca stu tysięcy zrozpaczonych chłopów, którzy mu też zaufali!

Ohydny potwór! *(biorąc się za głowę).*

A Marcel! Marcel! ten mąż wielkiego ducha i szerokiej myśli, ten, który nas wszystkich ujarzmił swym geniuszem, swą miłością wolności porwał i pociągnął do czynu... w którego wierzyliśmy wszyscy... Jakie to straszne!

Straszne! że mnie aż w głowie się mąci i ból w sercu czuję ogromny!

ESSARTS.

Jest to prosta zdrada, nie ulega wątpliwości; ale jaki cel w takiej ohydzie? Chęć utrzymania się przy władzy? bo Marcel opił się już jej trucizną i stał się samowładnym tyranem, nie znoszącym żadnego oporu.

Ale sama żądza władzy, bez jakiejś przymieszki oszukiwania siebie samego, nie mogła skłonić Marcela, aż do takiego kroku wydania nas wszystkich na śmierć.

Lecz czemuż on mógł się ludzić? *(zamyślają się obydwaj).*

MAILLARD (*uderza się w czoło*).

Tak! to jedno, tonący chwytą się brzytwy! Zmiana dynastyi! Osadzenie Nawarczyka na tronie Francyi!

Zatem wojna domowa, dynastyczna, wiek cały trwać mogąca... w tej chwili, gdy zuchwały Anglik władnie niemal połową kraju i on będzie to jednego, to drugiego króla brał w opiekę, aż sam zagarnie wycieńczony taką wojną kraj! (*chwytą się za głowę*).

Jezus Marya! Toż to najstraszniejsza zbrodnia przeciwko Francyi!

Nie mamy się czego dłużej namyslać, trzeba ratować Francję! Choćby ją potem oddać w ramiona regenta. Niechciałem przystać na wasze układy z regentem, odrzucającym wszystkie nasze reformy, ale wolę jego, niż Nawarczyka, i dynastyczną wojnę.

Poszlę zaraz do regenta, niechaj podstępnie pod bramę św. Antoniego, a nam wyda glejty bezpieczeństwa życia i mienia, bo Nawarczyk odbierze je nam.

Niechaj nie tryumfuje Marcel i jego zdrada!

ESSARTS.

Słyszę chód dwu koni! (*zrywa się i zagląda w dziedziniec*).
Marcel jedzie z pazim.

MAILLARD.

Cofnij się na róg ulicy, a ja dwa słowa pomówię z nim.

ESSARTS (*odchodząc*).

Dobrze pójdę! ale pamiętaj Janie nie zdradź, że wiemy o wszystkim.

MAILLARD.

Bądź spokojnym!

(*Gdy Marcel wyjeżdża z bramy, Maillard zachodzi mu drogę z odrzuconym kapturem. Marcel zaniepokojony tem spotkaniem, mimo woli wstrzymuje konia. Maillard kładzie rękę na szyi konia i tonem pomimo woli ostrym mówi*).

W tej chwili wyszedł od ciebie Regmond de Luz. Co ty knujesz z tymi naszymi wrogami?

MARCEL.

Jako naczelnik rządu mam prawo traktować ze stronami...

MAILLARD.

Zły Nawarczyk już raz nas sprzedał! Nie chcemy drugiej zdrady! Co ty z nim knujesz?

MARCEL (*wyniośle*).

Przed tobą Janie Maillardzie nie odpowiadam za moje czynności... Jutro zapytaj mnie na pełnej radzie wydziału, to jej odpowiem! (*pociska konia i odjeżdża klusem, Maillard patrzy za nim aż znikł w ulicy*).

MAILLARD.

Jutro mówisz, ale dzisiaj w nocy chcesz wpuścić Karola do miasta! Ani chwili nie mamy do stracenia; dzisiejsza noc wszystko rozstrzygnąć musi! (*odchodzi za Essartsem*).

* * *

Platforma najwyższej baszty murów Paryża, niedaleko bramy St. Denis.

Z niej roztacza się szeroki widok na okolicę poza miastem.

Nizki parapet kamienny otacza brzeg baszty, stojącej ponad głęboką przepaścią. Na środku platformy na rusztowaniu drewnianem zawieszony jest dzwon alarmowy, pokryty spiczastym dachem, w formie wygiętej na zewnątrz a zakończony chorągiewką żelazną, obrażaną się za wiatrem.

Sznur od dzwonu przymocowany do koluszką w rusztowaniu. Schody kamienne prowadzą z wnętrza baszty na jej platformę kamienną.

Zachód słońca...

Schodami wstępuje Marcel a za nim Ludwik Petit z twarzą zropaczoną, bladą i iskrzącymi oczyma.

Marcel zasłania ręką oczy od słońca, i patrzy w dal ku lasowi.

MARCEL.

Dobrze! chorągiewka biała powiewa pod lasem, nasz umówiony znak, że Nawarczyk zapuka do bramy dzisiaj o dwudziestej trzeciej godzinie.

LUDWIK (*składając ręce do prośby*).

Marcel! zaklinam Cię, odstęp od Twego piekielnego zamiaru.

MARCEL.

Daj pokój Ludwiku. Ufałeś mi dotąd, więc ufaj mi do końca.

Wszystkie względy polityczne zmuszają mnie do tego, co czynię. Ty masz zalet bez miary, ale politycznego rozumu Ci brak, więc nie możesz sądzić, czy ja dobrze robię, czy źle... Ja muszę uratować choć część naszej myśli i to za każdą cenę!

LUDWIK.

Zapewne, że brak mi politycznego rozumu i nim samym nie umię rozstrzygać zawitych spraw... ale w duszy jest jeszcze

coś innego, poza tym rozumem, co zastępuje brak takowego, jest instynkt zwierzęcia strzegącego się zatrutego ziela, jest coś płynącego prosto z sumienia poczciwego człowieka wskazującego co złe, dobre i sprawiedliwe, i to „coś“, mówi mi głośniejszy, niż zimny rozum, że czynisz złe, zdradzając tych, którzy powierzyli wszystko Twemu nie tylko rozumowi, ale i cnocie.

To sumienie mówi mi, że złe czynisz wobec całej Ojczyzny, dając powód do dynastycznej wojny, i rozbijając siły Francji, w chwili gdy zwycięski najezdca żelazną stopą ciśnie jej pierś...

To moje sumienie mówi mi, że Karol Zły, nie dotrzyma Ci żadnych zobowiązań i zdradzi Cię raz wtóry, bo oprócz zdrady jest w nim niepomysłowana chciwość, okrucieństwo i bezwstyd własnych niecności... a Ty temu człowiekowi chcesz powierzyć pielęgnowanie Twojego posiewu?

Nie do Twojego Stefanie rozumu odzywam się, ale do Twego sumienia, i zaklinam Cię, nie czyn tego przez Twój upór szalony! Nie leć sam w przepaść i nie pociągaj w nią całą Francję! Jeżeli duma i pragnienie władzy opanowały Twą duszę, każąc Twoje sumienie... otrząśnij się z tej szatańskiej obieży...

Jeżeli nie ma dla nas rady, to gińmy z honorem, ale nie stawiajmy sobie pomnika zdrady i nie trujmy przyszłości posiewu dobra, cnoty, miłości i sprawiedliwości!

MARCEL.

Dzieckiem jesteś i entuzystą, takim jakim i ja niegdyś byłem, dopóki piołun doświadczenia nie nauczył mnie słuchać tylko rozumu!

LUDWIK.

Jeżeli rozumowania mego i perswazyi słuchać nie chcesz, to proszę mojej usłuchaj...

Poświęciłem dla Ciebie wszystko co człowiek poświęcić może, bo moje gotowe osobiste szczęście... a serce me i sumienie zabiłem w służbie Twoich zamiarów. Służyłem Ci wierniej od psa, myśląc i czując wedle Twojej woli... ale była we mnie niespożyta wiara w Ciebie i Twą doskonałość.

Ta wiara stała się mem szczęściem, uspokojeniem wszystkich moich zawodów i bolesti, mojem sumieniem i spokojem.

Zmiłuj się Stefanie, nie odbieraj mi tego ostatniego dobra mego, wiary w Ciebie... lub zabij mię pierwszej a jeszcze w chwili skonu będę Ci błogosławił, *(klękając i podnosząc ręce do prośby)*. Tylko nie wyrwyj ze mnie mej wiary... mego dobra, mego szczęścia ostatniego...

Nie gub nas wszystkich i Francyi!

MARCEL *(z pośępnym czołem, ale z drżeniem w głosie)*.

Mówię Ci dzieckiem jesteś Ludwiku. Kocham Ciebie, to prawda i jesteś mi bardzo drogi, ale dla dogodzenia twej dziecinnej zachciance nie mogę odstąpić od mego postanowienia, bo ono jest jedyną drogą, jaka mi jeszcze pozostaje.

LUDWIK *(w uniesieniu)*.

Droga zdrady nie jest drogą uczciwego człowieka!

MARCEL *(wyniosłe)*.

Ciągle powtarzasz słowo, którego doniosłości nie rozumiesz nawet.

Co postanowiłem stać się musi i stanie się! *(robi kilka kroków do schodów)*.

LUDWIK *(w najwyższej rozpacz i egzaltacji)*.

Nie stanie się, bo ja Ci nie dam popełnić hańbiącego czynu, bezczeszczonego Twoją pamięć w późne wieki i zabijającego tą bezczeszcza całą ideę Twoją i naszą *(biegnie i porywa za sznur od dzwonu)*.

Patrząc trzymam oto sznur od dzwonu alarmowego i jeżeli nie ustąpisz, uderzę weń, a zanim zejdziesz do bramy cały Paryż zbrojny stanie przed nią i nie dopełnisz zbrodni.

MARCEL *(zatrzymuje się i odwraca przelekły i groźny z błyskiem stalowym w oczach)*.

Szaleńcze! nie uczynisz tego!

LUDWIK.

Przysięgam Ci Stefanie na zbawienie duszy mojej, na wiarę moją w Ciebie, na dobro narodu mego i ludzkości, że ocalę Cię od hańby i uderzę w dzwon... jeżeli nie odstąpisz Twego okropnego zamiaru!

MARCEL (*postępuje ku Ludwikowi krok jeden i głosem do głębi przejętym mówi*).

Ludwiku! na rany Chrysta proszę Cię ustąpić bo... bo ja nie mogę!

LUDWIK (*w najwyższej egzaltacji*).

Nie mogę! i żywy nie ustąpię! Przysięgłem!

MARCEL (*patrzy na Ludwika wyprostowanego, trzymającego sznur od dzwonu, w którego obliczu maluje się niezłomność postanowienia... Po twarzy Marcela przechodzi parokrotne drganie, oczy jego nabierają chwilowo wyrazu rozrzewnienia i miłości... a potem wielkiego bólu, siada na niskim parapecie baszty, patrząc nieustannie na Ludwika to wzrokiem czułości, to znowu odbija się w nich stalowy błysk nieugiętej woli i srogości dzikiej*).

Patrzą oni na siebie długą chwilę w milczeniu, Marcel wdycha głęboko, widocznie w jego duszy toczy się straszna walka... jeszcze raz dziki błysk zapala mu się w źrenicach, wstaje powoli wyciągając ku Ludwikowi ramiona, mówi złamanym głosem).

Ludwiku dziecko serca mojego, kocham Cię za wszystko szlachetne będące w Tobie nawet za tve szaleństwo!

LUDWIK (*wypuszcza sznur z ręki i z rozpromienioną szczęściem twarzą rzuca się w objęcia Marcela*).

Dzięki Ci! dzięki Stefanie!

MARCEL (*bierze jego głowę w swoje ręce, całuje ją parę razy z największym uczuciem miłości, odsuwa ją, spogląda na niego z czułością i znowu całuje, raptem całą siłą popycha go w tył ku przepaści tak, że Ludwik zaledwie mogąc wydać krzyk zgrozy spada przez niski parapet na dół w otchłań! Marcel zakrywa*

sobie twarz rękami i długo tak stoi, w końcu otrząsa się i mówi cichym głosem).

I tę jeszcze największą ofiarę musiałem spełnić, dla ratowania bodaj części celu, mojego strasznego żywota... *(po chwili)*. A on też nazwał mnie zdrajcą. Straszne!

Stało się! Od tej chwili nic mnie nie zabol, bo serce we mnie umarło!

Teraz do dzieła tak drogo okupionego! *(śmiałym i pewnym krokiem schodzi ze schodów w dół)*.

Plac przed Bastylią św. Denisa, otoczony domami różnej wysokości z wysokimi spiczastymi dachami i narożnemi wierzyzkami o wązkich okienkach.

Przeróżne szyldy wiszą na wystających żelaznych drągach po nad zamkniętymi sklepami. Trzy wązkie kręte ulice rozchodzą się od placu w miasto.

Bastylia St. Denis o potężnych murach, zakończona spiczastym dachem i narożnymi wieżycami, z blankami krytemi, biegnącymi w około popod okapem dachu.

We froncie ciemna sień prowadząca do bramy, brama zamknięta i podniesiony most zwodzony. Z boku przy wejściu małe okienko zakratowane, w którym połyska światło kaganka palącego się w izbie strażniczej.

Po obu stronach Bastylji ciągnie się szeroki mur obronny z krenelami i blankami.

Na nim w odstępach porozmieszczane stoją maszyny do rzucania strzał, kamieni, ognia i różnych pocisków, balisty łukowe, kotły do warzenia smoły, na potężnych trójnogach z drzewem przygotowanem do podpalania. Pod niemi beczki ze smołą, stosy kamieni i kłód drzewa nabitych wielkimi gwoździami leżą pod krenelami na posadzce muru.

Do muru Bastylji przyczepione schody kamienne trzy razy złamane, wiodące na platformę muru obronnego.

Noc księżycowa, lekkie chmurki przeciągają po szafirze nieba.

Księżyc blask wydobywa z cieni nocy wystające wieżyczki, oświeca jasno wysokie szczyty muru i balkoniki domów, w trzech górnych okienkach widne czerwone światelka lamp, zresztą wszędzie ciemno, świadczące, że ludzie do snu się już ułożyli. Cisza, tylko z lewej ulicy dochodzi odgłos miarowo stąpających kilku ludzi, z teje wychodzi na plac stróż nocny z halabardą i zgaszoną latarką wiszącą u pasa, za nim postępuje rond z sześciu żołnierzy z halabardami na ramieniu. Na środku placu stają, stróż ogląda się w około, przykładając trąbkę do ust i wydobywa z niej trzy przeciągłe tony, potem sennym głosem odśpiewuje:

Gaście światła paryżanie, sen niech oczy klei,
Jutro wstawać, nim zaświta słoneczko nadziei!

Trzy światła w domach gasną. Rond oddała się ulicą środkową.
Po pewnym czasie słychać znowu trzy tony trąbki i monotony
śpiew stróża, po chwili wszystko pogrąża się w zupełną ciszę.

U wylotu ulicy, na prawo od placu, z pod domu o wystającym
balkonie wychodzi z cienia Zaczek w stroju milicyanta miejskiego
w hełmie na głowie, półpancerzem na piersiach, z krótkim, szerokim
mieczem po lewej stronie pasa, a kołczanem pełnym strzał i łukiem
po prawej, za nim wychodzi drugi milicyant tak samo uzbrojony.

ZACZEK *(oglądając się, do towarzysza)*.

Z wieży wydzwoniono dwudziestą drugą godzinę i rond
już przeszedł, a Maillarda nie widać. *(patrzy w ulicę)*.

Słyszę kroki żołnierzy ciche, ale miarowe. Błysnęły heł-
miki, cicho teraz, zatrzymali się o jakie sto kroków stąd...
idzie ich trzech... a za nimi mała kupka stąpająca najciszej
możebnie... kupka zatrzymuje się, a ci trzej idą dalej — to
Maillard! i dwóch z nim! *(wychodzi na środek ulicy i robi
ręką ruch przyzywający)*.

MAILLARD *(wchodzi w zbroi okrytej opończą i hełmie niskim
okrytym kapturem, z toporem w rękę. Towarzyszą mu Essarts
i Charny tak samo ubrani)*.

MAILLARD *(półgłosem do Zaczka)*.

Jak rzeczy stoją?

ZACZEK.

Stańmy przy ścianie Wielmożności Wasze, to bezpieczniej.
(cofają się w cień balkonu).

Eustachy zaufany sir Marcela, przybył samotrzeć przed
godziną i złuzował wartę przy bramie, został w niej w izbie
strażniczej z jednym tylko żołnierzem, zaś drugiego postawił
na blankach nad bramą.

MAILLARD.

To dobrze. Tych dwóch zwiążemy łącno, ale trzeba posłać
kogo, aby ubezwładnił tamtego na blankach.

ZACZEK.

Nadtem już pomyślałem, pójdę z towarzyszem tym zluzować go niby z rozkazu Eustachego.

Niezawodnie nie będzie chciał odejść, bo Eustachy nakazał mu, aby się nie ruszył z blanków i nikogo do nich nie dopuścił, lecz czy będzie chciał, czy nie, to już my sobie z nim poradzimy.

MAILLARD.

A jak narobicie wrzawy?

ZACZEK.

Bądź Wasza miłość spokojnym. Gdzie ja pracuję z Ogonkiem, tam wrzawy niema. Cicho, ładnie, grzecznie robim takie sprawy.

MAILLARD.

Mówisz, że dwóch tylko jest w izbie przy bramie?

ZACZEK.

Dwóch tylko, nikogo więcej.

MAILLARD *(do Charnego)*.

Zawołaj Janie czterech ze straży, oni wystarczą. *(do Zaczka)*. A wy idźcie na górę i sprawcie się cicho. Ty powróć, a tamten niechaj patrzy za bramę, a dajcie zaraz znać, jeżeli zobaczycie jakich ludzi nadciągających. *(Zaczek i Ogoniek wychodzą)*.

Ja ze zbrojnymi wejdę, a wy zaczekajcie pod bramą. *(Odhodzą w bramę z czterema zbrojnymi, jacy nadeszli na zawołanie Charnego, zaś Essarts i Charny stają w jej zagłębieniu)*.

ESSARTS.

Dobrze, że poleciłem Johanicie, aby koniecznie zatrzymała Henryka, on by bronił Marcela i życiem chyba przepłaciłby musiał jego obronę.

CHARNY.

Biedny Henryk, jakże on będzie cierpiał — a najbardziej nad zdradą przyjaciela.

ESSARTS.

Upór postanowienia na swoim, a może i miłość władzy, gubią Marcela.

CHARNY.

Okropność pomyśleć, że tyle walki i krwi przelanej, tyle poświęceń poszło na marne i ten Marcel tak wielkiego ducha mąż...

ESSARTS.

Oprócz części paryżan, nikt nie zrozumiał wielkiej myśli wolności połączonej z ładem.

CHARNY.

Ha! może podnieśliśmy ją zawczasie! ale oto i Maillard powraca.

MAILLARD (*przystępując do nich*).

Zwiążaliśmy ich i zakneblowali po małym uporze.

(*Na dalekiej wieży Notre-Dame zaczyna bić 23-cia godzina wszyscy milkną... przy piątym uderzeniu Ogonek pokazuje głowę z za muru i mówi przyciszonym głosem*).

OGONEK.

Od lasu wali całe wojsko.

MAILLARD (*pół-głosem*).

Jak daleko są?

OGONEK.

Na dziewięć strzelań z kuszy.

MAILLARD.

Dobrze, schowaj się... (*na wieży Notre-Dame zaczyna bić dalej 23-cia godzina*).

ESSARTS (*do Charnego*).

Każdy dźwięk głosu dzwonu uderza prosto w me serce dech w piersi zapiera... (*żegna się*).

CHARNY.

Mnie też... ale trudno!

MAILLARD.

Cofnijmy się w mroczne zagłębienie bramy. *(cofają się wszyscy w tył)*.

(Przy skonaniu ostatniego uderzenia dzwonu, wibrującego jeszcze chwilę w przestworzu, wchodzi z lewej bocznej uliczki Marcel, zatrzymuje się u wylotu tejże, przyciska piersi rękami. Potem podnosi głowę z wyrazem energii, wydobywa wielki klucz od bramy z zanadru i trzymając go w rękę, postępuje śmiałym, choć przyciszonym krokiem ku bramie. Na środku placu staje raz jeszcze na chwilę, przeciera sobie czoło ręką, westchnienie lekkie wydobywa mu się z piersi, jednak idzie dalej ku bramie — o parę kroków przed nią występują z otworu przed bramą Maillard, Essarts, Charny i Zaczek ze strażą. Marcel przerażony tak niespodziewanem pojawieniem się ich, cofa się dwa kroki w tył, wydając bezwiednie cichy krzyk przestrachu).

MAILLARD *(z toporem w rękę i roziskrzonym wzrokiem)*.

Co robisz Marcel tutaj o tej godzinie?

MARCEL *(w połowie przychodząc do siebie)*.

Jako dowódca miasta czynię mą powinność, doglądając czujność straży.

MAILLARD *(strasznym głosem)*.

Klucz od bramy trzymasz w rękę zdrajco! aby wpuścić do miasta zbójów Karola Nawarskiego, czekających przed bramą. Śmierć ci! *(jednem cięciem topora rozwała głowę Marcelowi, który bez wydania jęku upada na ziemię przewracając się na wznak. Chwila milczenia)*.

MAILLARD *(podnosząc krwawy topór do góry)*.

Ukarałem zdrajcę narodu! *(wydobywa piszczalkę i wydaje z niej długi, przenikliwy gwizd, na który pędem z uliczki na lewo przybiegają zbrojni straży miejskiej)*.

Na mur paryżanie i gradem pocisków powitać zbójckie wojsko Karola Złego z Nawary! *(zbrojni szybko zbiegają po schodach na mur obronny)*.

MAILLARD (*do Essartsa i Charnego*).

Skończyło się wszystko, ale i zdrada została udaremniona... a teraz do bramy św. Antoniego na przyjęcie regenta, bo dzisiaj w nim już tylko nasz i Ojczyzny całej ratunek! (*idzie szybkim krokiem w główną ulicę, a za nim Essarts, Charny i Zaczek, ten ostatni zatrzymuje się przed ciałem Marcela, uderza go nogą i mówi*):

ZACZEK.

Zemściłem się na tobie ciemieżco wolności ludu... na tamtych (*pokazuje na idących*) przyjdzie też czas i na tego psa Henryka. (*wychodzi za odchodzącymi*).

(*Z murów słychać świst cięciw, krzyki przerażenia i bóleści żołnierzy nawarskich stojących za bramą. Powoli i te głosy cichną, zbrojni odchodzą platformą muru na lewo, ginąc zastłonięci domami. Na placu zalega zupełna cisza, tylko księżyc przesuwający się po niebie, odbija swe zimne światło w otwartych oczach nieżywego Marcela. Chmura przysłania księżyc, a na niej rysuje się ogromna postać VERCINGETORIXA bez hełmu, ze spuszczoną smutnie na piersi głową, ze złożonemi na piersiach rękami w postaci kornej czekającej wyroku, z blademi usty. Rozpacz bije z całej postaci*).

DUCH VERCINGETORIXA (*cichym głosem*).

Litości Panie!...

POTEŻNY GŁOS (*rozbrzmiewa gdzieś z góry*).

Ponieważ zapomniałeś co w chwili ponownego wcielenia się twego objawionem ci zostało, że „Miłość tylko jest płodną, a gwałt i rozbudzanie nienawiści i zemsty nie płodzą życia“; ponieważ, siejąc jedną ręką dobre ziarno, rzucałeś drugą trującą kąkole, będziesz przez wieki zbierał łyż, liczył krople krwi, jakie z powodu twojego mieszanego posiewu przyjdzie ronić ludzkość — a każda kropla krwi i bólu padnie na twe serce i sumienie, jako ogień palący, jako jad żrący. Aż, gdy po wiekach światło miłości i prawdy wypłeni twoje kąkole; gdy ludzie poznają, że miłość własnego narodu i braci blizkich losem nie utożsamia się z nienawiścią do innych; gdy poznają, że wolność

własna nie rozdzielna jest od takiejże wolności innych, wtedy pokuta twoja będzie ukończoną!

DUCH VERCINGETORIXA *(spuszcza jeszcze niżej głowę, wstchnienie głębokie wydobywa się z jego piersi — i powoli roz-
pływa się w przestworzu).*

(Chmura zasłaniająca księżyc przechodzi, a jego promienie oświecają ponownie jasno cały plac z otaczającymi go domami i trupa Marcela nie odbijając się już w jego zamartwych oczach).

KONIEC.



30, -

78081/ 30.6.75





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000316823



II 477674